

MARGINESY



# Spalone mosty



EILEEN CURTRIGHT

# Spalone mosty



**EILEEN CURTRIGHT**

PRZEŁOŻYŁA  
Dorota Konowrocka-Sawa

**MARGINESY**

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Podziękowania

Tytuł oryginału THE BURNED BRIDGES OF WARD, NEBRASKA  
Przekład DOROTA KONOWROCKA-SAWA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja MAGDALENA TYTUŁA  
Korekta SYLWIA SANDOWSKA-DOBIJA, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI  
Zdjęcie na okładce © filadendron / iStock by Getty Images  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

*The Burned Bridges of Ward, Nebraska*

Copyright © 2015 by Eileen Curtright

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © for the translation by Dorota Konowrocka-Sawa

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65780-46-1

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Dla Lance'a*

Opanowała mnie nagle szaleńcza chęć wytarzania się w gigantycznej stercie pieniędzy – moich zakumulowanych przyszłych przychodach – i może nawet zmysłowego pomasowania sobie banknotami odsłoniętego ciała, którego nie było tak znowu dużo, bo nadal byłam ubrana w lawendową odzież medyczną. Ponieważ jednak miałam przy sobie zaledwie dwa dwudziestodolarowe banknoty i dziecko szukające we mnie wzorca do naśladowania, powstrzymałam się i popchnęłam wózek dalej alejkami miejscowego supermarketu, podczas gdy mój syn truchtał obok, próbując nadążyć. Wieści szybko się rozchodziły. Zanim dotarłam do naszego ostatniego przystanku – alejka ósma, ciastka i przekąski – pogratulowano mi dwukrotnie. Zamiast skromnie umniejszyć swoje osiągnięcie („Och, to naprawdę nic wielkiego” – spuszczone wzrok, nieśmiały uśmiech), z rozkoszą pławiłam się w podziwie. Nie mogłam się opanować. Zachowywałam się tak, jakby sukces był mi należny z urodzenia. Krótko mówiąc: zachowywałam się jak mężczyzna. No i wyszłam na zarozumialca. Ale w obliczu mojej niepowstrzymanej radości normy społeczne na krótką chwilę przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Dziecko jak zwykle znakomicie odczytało mój nastrój.

– Co powiesz na to? – zapytało, wybierając z półki wyjątkowo odrażające ciasteczka.

BOMBY CZEKOLADOWE! – wrzeszczało pudełko. – „Teraz z pełnym ziarnem”. Pełne ziarno było listkiem figowym kryjącym listę składników podejrzenie często kończących się na „-nian” i „-ek -anu”.

– Jasne, nie żałuj sobie – powiedziałam. – Wrzucaj.

Pocałowałam Mitchella w czubek głowy, a on nawet nie pisnął, choć przecież zza sterty puszek fasolki po bretońsku mógł w każdej chwili

wychynąć jeden z jego kolegów z piątej klasy, stając się świadkiem tego żenującego pokazu matczynych uczuć. Reputacja mojego syna mogła zostać nadszarpięta. Przygładził włosy w miejscu, gdzie zmierzwiłam je ustami.

– No to mamy już wszystko – stwierdziłam.

Podjechaliśmy do kasy ekspresowej obsługiwanej przez Shane'a Glassa, podstarzałego kasjera o aparycji niegrzecznego chłopca, i wyjęliśmy z wózka osiem butelek wina i jedno opakowanie ciasteczek. Nie przestawałam się uśmiechać, kiedy chardonnay i rozmaite gatunki czerwonego wina podskakiwały na taśmie. Shane spojrzął na wina, a potem na mnie, badając uważnie wzrokiem moją fizjonomię, jakbym odsłaniała właśnie jakieś nieznanne mu dotąd oblicze. Wydawał się zaintrygowany możliwością ukrywania się pod moją medyczną bluzą osoby żywiącej jakieś uczucia. A w każdym razie lubiącej się zabawić.

– A co to za okazja? – zapytał.

– Impreza u mojej siostry. Zostałam partnerem w klinice.

– Super – powiedział Shane. Wokół ramienia miał wytatuowany drut kolczasty, wyraźnie dawał bliźnim do zrozumienia, że ma ich w dupie. Zazdrościłam mu stosunku do życia, ale wybrałam inną drogę.

– Teraz mogę mieć tylko nadzieję, że nie skrewię – dodałam, krzyżując palce na szczęście i puszczać oko, co było próbą stosownego w przypadku kobiety pomniejszenia własnych zasług. Sądząc z konsternacji malującej się na jego twarzy, próba wypadła nędznie, w głębi ducha bowiem morderczym kopnięciem wbijałam właśnie piłkę do bramki, zaś Shane nie wybiegł myślami poza imprezę. Teraz skanował butelki jedną po drugiej. Jeszcze wczoraj kupowanie ośmiu butelek wina zakrawałoby na desperację, ale dzisiaj wydawało się po prostu wyrazem wspaniałomyślnej radości i ochoty do zabawy. Planowałam dokonywać tego rodzaju impulsywnych zakupów częściej; teraz, kiedy już miałam pieniądze i udziały w najlepszej klinice leczenia niepłodności w stanie Nebraska.

– Twoja siostra mieszka niedaleko Sosnowego Zakątka? – zapytał Shane.

– Tak. Ale będzie tylko kilka osób z rodziny. Czysty spontan.



– Łapię.

Zapakował butelki do dyskretnych papierowych torebek. Jedną z nich podałam Mitchellowi. Kiedy wyszliśmy na parking, minęła nas pędem Viola Holts na swoim elektrycznym wózku.

Ktoś powinien uprzedzić obsługę sklepu, zanim Viola napcha sobie lukrowanych pączków do kieszeni podomki, ale byłam zbyt rozradowana, by stawać na drodze do czyjś szczęścia. Niech sobie ostatni raz poszaleje.

Za Violą nadbiegł Kevin, jej syn. Dostrzegł nas kątem oka i zatrzymał się, po czym się odwrócił, rozdziawił usta i wbił w nas osłupiałe spojrzenie niczym praworządny obywatel, który przypadkiem znalazł się na miejscu zbrodni. Nie widzieliśmy się od ponad dziesięciu lat.

– Kevin!

To było nie tyle powitanie, ile mimowolny okrzyk, który mi się wyrwał, jakbym znalazła moszczącego się w moim bucie skorpiona. Mitchell przysunął się ukradkiem bliżej mnie, nie mając chyba pewności, czy ten na oko czterdziestoletni mężczyzna w nieczęstej o tej porze roku wiatrówce jest kimś, kogo powinien się obawiać.

– Cześć – powiedział Kevin. – Rebecca – dodał, jakby potrzebował chwili na wydobycie mojego imienia z odmętów pamięci. Był szczuplejszy, niż go zapamiętałam, właściwie przypominał na wpół zagłodzonego maratończyka.

– To jest Mitchell – odparłam, gdy nie przestawał się w nas wpatrywać.

– Kevin Holts – przedstawił się. Kiedy uścisnęli sobie dłonie, zadźwięczały butelki w siatce Mitchella.

– Na długo przyjechałeś do miasta? – zapytałam.

– Na czas nieokreślony – odpowiedział Kevin.

Nie było potrzeby pytać, co sprowadziło go tutaj z Zachodniego Wybrzeża, gdzie budował Crucible, jedną z tych zmieniających paradygmaty firm technologicznych, które stawiają sobie za cel płynną integrację czegoś tam z czymś zupełnie innym. Powód jego powrotu mknął już bez opamiętania alejkami sklepu, nie zwracając najmniejszej uwagi na bezpieczeństwo publiczne. W kwestii Violi Holts coś wreszcie należało zrobić. Kevin chyba

raptownie sobie o tym przypomniał, bo bez słowa pobiegł na halę supermarketu.

– Kogo właściwie zaprosiłaś? – zapytał Ben, kiedy z Mitchellem ustawiałam butelki wina na kuchennym blacie.

Mój szwagier ubrany w fartuch z napisem „Kuchnia taty, nieznośnie gorąca” powitał nas niedźwiedzim uściskiem. Z podwórka napływał do kuchni uroczysty zapach propanu, a na kuchennych kinkietach ktoś zamotał serpentyny. Pod plastikowym przykryciem ociekał krwią talerz surowych steków.

– Nikogo – odpowiedziałam, robiąc w lodówce miejsce na białe wino. Podczas imprez i uroczystości organizowanych przez moją siostrę pełniłam zwykle funkcję starej ciotki, gościa oczekiwanego, lecz niezaliczającego się do ścisłego kręgu domowników. Dzisiejszy wieczór należał jednak wyłącznie do mnie.

Madge odkorkowała najbliższą stojącą butelkę i nalała wina do dwóch kieliszków. Przyszła prosto z biura i wciąż jeszcze miała na sobie swój sztandarowy czerwony spodniom i pióro kulkowe wetknięte w ciemny kok.

– Gratulacje, Becky. To... fantastyczne – powiedziała, stukając się ze mną kieliszkiem. – Ciężko na to zapracowałaś.

Madge potrafi płakać na zawołanie, zwykle podczas rekapitulacji argumentów stron, ale tym razem jej zwilgotniałe spojrzenie wydawało się szczere.

Wychyliłam łyk najlepszego wina dostępnego w miejscowym supermarkecie i zastanowiłam się nad przebiegiem własnej kariery, na którą składały się dziesiątki godzin, jakie Mitchell musiał przeżyć z opiekunkami – część z tych kobiet matkowała mu radośnie, a część omiatała go nieobecny, choć przypuszczalnie nieznarkotyzowanym spojrzeniem. „Rozkoszuj się tymi chwilami!” – tak brzmiała jednogłośnie rada wszystkich starszych mieszkańców miasta, o którą wcale nie prosiłam, potykając się półprzytomna z niewyspania i targając na biodrze swoje szczupłe, poważne niemowlę, a później pchając w wózek swoje pochmurne dziecko. Czymkolwiek było nierozkoszowanie się każdą chwilą, tym właśnie się zajmowałam. Wlekłam

się ku przyszłości, a terażniejszość przeciekała mi przez palce. Nim się obejrzałam, mój syn był już niewytłumaczalnie wysoki i dojrzały.

– No to co planujesz dalej? – zapytał Ben.

Niewiarygodne. Przełknęłam jeden łyk odświętnego wina.

Madge zerknęła na Mitchella, który stał obok mnie, zajadając jedno ze swoich neurotoksycznych pełnoziarnistych ciasteczek.

– Zaprojektujesz sobie kolejne dziecko?

– Jest to jakiś pomysł – odpowiedziałam z uśmiechem, jakby ta uwaga była absolutnie na miejscu. Moim najwcześniejszym wspomnieniem była walka z siostrą o chabrową kredkę. Zapamiętałam z tego sporu smak jej łydki, w którą wgryzłam się mleczakami, i fakt, że obie straciłyśmy nieco włosów. Nie potrafiłam sobie natomiast przypomnieć, komu ostatecznie dostała się kredka, co zapewne oznaczało, że nie mnie.

Z kieliszkiem wina w ręce poszłam za Benem i Madge na patio, wypychając Mitchella za drzwi z siatką i kierując go w stronę kuzynów. Mój syn z natury wolał klimatyzację i towarzystwo dorosłych, a tymczasem moi siostrzeńcy, Ethan i Aidan, pochylali się właśnie nad chodnikiem i przysmażali mrówki szkłem powiększającym. Burknęli coś do niego na powitanie, a on usiadł obok nich, popijając mleko ze szklanki i z rezygnacją godząc się na kolejny wieczór w ich towarzystwie.

– Nie ucieszyłbyś się, Mitchell? – zapytała Madge, wskazując na swoich synów, którzy przy różnicy wieku wynoszącej osiemnaście miesięcy stanowili idealny tandem solidnie zbudowanych, ciemnowłosych dzieci, w obecności dorosłych mogących uchodzić za niemowy. Ich zamięłowanie do przemocy powinno zapalić czerwoną lampkę w umyśle matki tak zaznajomionej ze sposobem rozumowania kryminalistów, ale Madge widziała tylko braterską miłość, której Mitchellowi do tej pory odmawiano.

– Ale z czego? – zdziwił się Mitchell. Patrzył na swoich kuzynów w taki sam sposób, w jaki oni przyglądali się skwierczącym mrówkom. Był od nich tak różny, tak różny pod każdym względem od nas wszystkich, że na rodzinnych zdjęciach wyglądał jak ktoś, kto wskoczył w kadr dla żartu. Odziedziczył wiele cech po swoim ojcu (tak w każdym razie zakładaliśmy, jak podkreślała

Madge), anonimowym geniuszu, który pracował w programie badań kosmicznych i nie miał w wywiadzie chorób serca. Mitchell wyglądał jak igła ze stopami, do tego miał ni to rude, ni to brązowe włosy i błękitne żyłki rysujące się zawsze wyraźnie pod bladą skórą. W wieku dziesięciu lat był już w pełni pogodzony z historią swojego pochodzenia. Został powołany do życia w moim laboratorium, w absolutnie sterylnych warunkach, przy użyciu najlepszej dostępnej na rynku spermy. Moi rodzice zajmujący apartament na wolnej od zimy Florydzie uznawali to za tragedię, zaś Madge oburzała się, że to forma oszustwa. Jej naturalnie poczęci chłopcy nie zbliżali się nawet ilorazem inteligencji do Mitchella. Dla samego Mitchella było to jednak po prostu nieco mniej obrzydliwe niż alternatywa.

– Małego braciszka albo siostrzyczki – powiedziała Madge. Głos jej złagodniał, kiedy wyobraziła sobie wysokowydajne, zaprojektowane zgodnie ze specyfikacją rodzeństwo dla Mitchella. – Możesz dostać więcej, prawda? – To pytanie zostało skierowane do mnie.

– Madge, no naprawdę – zachnął się Ben, rozkładając steki na grillu. Szczerza, otwarta dyskusja o reprodukcji, w której element męski zredukowano do słomki bezrozumnej spermy, odbierała mu pewność siebie jako mężczyźnie i ojcu. Zaczerwienił się nad stekami.

– Dobre pytanie – zamyśliłam się.

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć im, że mój dawca wypadł już z obiegu, a zatem Mitchellowi przeznaczone jest pozostać jedynakiem, ale to tylko przeciągnęłoby niepotrzebnie tę rozmowę. Skupiłam się na winie i czekałam, aż temat umrze śmiercią naturalną. Mrówki zwijały się w małe unicestwione kulki, kiedy moi siostrzeńcy, okiełznawszy potęgę słońca, zaprzęgli je do własnych celów.

– Tak naprawdę chciałbym dostać phantoma – wyznał Mitchell, mając na myśli niedorzecznie drogi dron rekreacyjny, dla którego dziesięcioletni chłopiec nie miał prawa znaleźć żadnego uzasadnionego zastosowania. Obsesyjnie, niemal romantycznie pragnął tego latającego śmiecia służącego amatorskiemu szpiegostwu. Z poświęceniem godnym szczególnie zaciętego stalkera gromadził zdjęcia i przypadkowe informacje na jego temat.

Rozwiewanie marzeń jest najmniej przyjemnym elementem macierzyństwa, więc zaoponowałam z powodów finansowych, co postawiło mnie w bardzo niezręcznej sytuacji, bo leczenie niepłodności słusznie określa się mianem dojrzałej krowy specjalności medycznych. Mnie i Mitchella czeka w przyszłości trudna rozmowa, w której wyjaśnię mu, że nigdy nie miałam zamiaru kupować mu latającego robota naruszającego granice ludzkiej prywatności, który mógłby przypadkowo doprowadzić do katastrofy samolotu pasażerskiego. Na razie tylko uśmiechnęłam się wymijająco.

– Ale, swoją drogą, powinnaś zrobić coś szalonego – stwierdził Ben, przewracając mięso na drugą stronę. – Rozerwij się trochę.

Ben był artystą ceramiką. Z jego bezkształtnych kubków w kolorach ziemi gorące płyny wylewały się na koszule wszystkich, którzy zdecydowali się ich użyć, a jednak ludzie wciąż je kupowali, nie zwracając uwagi na oparzenia, bo te naczynia wyrażały jakąś fundamentalną prawdę o istocie natury ludzkiej. Ben uważał mnie za sztywnego, scjencyzującego robota wymagającego przeszkolenia we wszystkich kwestiach nieopisanych w książkach.

– Byle nie za bardzo. Może po prostu popłynąć w rejs? – zasugerowała Madge. Miała na zębach lekkie przebarwienia od wina. Mitchell spojrzał w moją stronę, a ja potrząsnęłam głową, milcząco zapewniając go, że nigdy nie skazemy się na pływające więzienie ani na potyczki z rotawirusem i piratami, nie wspominając o balach przebierańców. Skinął głową. Rozumieliśmy się bez słów.

– Nie bój się planować z rozmachem – powiedział Ben, gestykulując dwuzębnym widelcem.

– A ja polecam ci metodę małych kroczków – zaoponowała Madge. – Zbyt wiele widziałam przetrąconych życiorysów.

Moja siostra do tezy, że podążanie drogą bezprawia jest czymś, co może się zdarzyć dosłownie każdemu, przekonała tyle ław przysięgłych, że sama zaczęła w to wierzyć.

– Och, daj spokój, Marjorie – powiedział Ben z normalną w długoletnim związku wrogością. – Jakby kiedykolwiek był czas na to, żeby wrzucić na luz.

Otworzyłam usta, by zwierzyć się ze swojej fantazji dotyczącej tarzania się

w pieniądzech, ale zamknęłam je z powrotem. To nie miało nic wspólnego z małymi kroczkami. Madge podniosła ze stołu dwulitrową butelkę korzennego piwa i zaczęła nią wstrząsać.

– Widzisz? Widzisz, co robię? – Nawet Ethan i Aidan podnieśli wzrok znad mrówek. – To korzenne piwo to Becky. – Plastikową butelkę wypełniała brązowa piana. – A ty proponujesz, żeby odkręcić nakrętkę!

– Nie! – krzyknęłam, ale Madge była szybsza. Korzenne piwo trysnęło na patio istnym gejzerem, pryskając lepкими kroplami na nas wszystkich i splukując resztę mrówek.

– Więc lepiej zostawmy nakrętkę na miejscu – zamknęła temat Madge, zadyszana od tego całego potrząsania. Starłam korzenne piwo z twarzy i przytaknęłam. Prezentacja mojej siostry zrównywała ją z trzecioklasistami, ale miała rację. Widziałam wystarczająco dużo wyświetlanych późnym wieczorem dramatów dokumentalnych, by wiedzieć, że na początku tych pięćdziesięciminutowych historii katastrof jest zawsze kobieta, która „miała w życiu wszystko”. Właśnie stałam się taką kobietą.

– Och, z nim na pewno zajdzie pani w ciążę. Jest najlepszy – powiedziałam. Siedziałam w klinice za kontuarem recepcji, odbierając telefony i gapiąc się na małą, złoto oprawioną fotografię naszej recepcjonistki i jej sióstr. Zdjęcie przedstawiało trzy wysokie, myszowate dziewczyny, których robiący zdjęcia w galerii handlowej fotograf nie zdołał skłonić nawet do lekkiego uśmiechu, a wszystkie były tak do siebie podobne, że nie miałam pewności, która z nich dla nas pracowała. Którąkolwiek z nich była, znów się spóźniała. Przypuszczałam, że obudziła się skacowana po popijawie, do której to ja miałam wszelkie prawa. W rezultacie to ja odbierałam telefony – wbrew życzeniu doktora Thada, który uważał, że rozmowy telefoniczne nie są moją mocną stroną. Jak dotąd radziłam sobie całkiem nieźle. – Osobiście nie podejmowałabym próby zapłodnienia bez niego. Umówię panią na pierwszy wolny termin – zadeklarowałam i zapisałam dzwoniącą osobę na konsultacje u doktora Thada. On pracował na froncie, ciepło witając pacjentki i pokazując im kolorowe, trójwymiarowe modele jajowodów, a ja zasadniczo na zapleczu, w ciszy i spokoju laboratorium sortując nasienie i zamrażając embriony. Ale doktor Thad wziął sobie dzień wolnego z powodów osobistych, a ja już robiłam bokami.

Trochę mnie suszyło od wypitego poprzedniego wieczoru wina, ale spięłam włosy w pragmatyczny kucyk, wbiłam się w świeżo uprany lawendowy mundurek i przyjechałam do kliniki wcześniej jak zwykle, w pełnej gotowości do pracy – w przeciwieństwie do naszej błędnej recepcjonistki. Nakrętkę miałam szczelnie zakręconą. Maryellen, nasza pielęgniarka, twierdziła, że imię recepcjonistki kończy się chyba na „n” i że przywiało ją tutaj z North Nee, ale niewiele więcej na jej temat wiedziałyśmy. Tak czy inaczej, nasza recepcjonistka była prawdopodobnie dla kogoś ważna, była cenioną przez

kogoś przyjaciółką, a w pewnych kręgach może nawet stanowiła przedmiot pożądania, ale dla mnie była postacią ze wszech miar tajemniczą i jednocześnie sekretem zbyt nudnym, by go rozwikływać, niczym system trójpodziału władzy czy zawodowy bejsbol. Odłożyłam telefon w chwili, w której dziewczyna o nieznanym mi imieniu weszła do środka. Sprawiała wrażenie zaniedbanej, ale nie na swój zwykły sposób, charakterystyczny dla zakompleksionej dziewczyny z małego miasteczka. Cienkie włosy z jednej strony przylepiły jej się do czaszki, a z drugiej sterczały nieporządnie. Nie dałabym głowy, czy wczoraj nie miała na sobie tej samej szarej bluzki i szarobrązowej spódnicy.

– Ciężki poranek? – zapytałam.

– Korki. Utknęłam za kombajnem – wymamrotała.

– Wystarczy – powiedziałam, zauważając jej spuchnięte powieki i fioletowe cienie pod oczami. Od wczoraj nie dotarła do domu. Byłam tego tak samo pewna jak faktu, że jej imię składa się z jednej sylaby i zaczyna się na „C” albo na „J”. – Ładne zdjęcie. To, na którym jesteście z siostrami.

Recepcjonistka stała bez ruchu, blada i wiotka, sprawiając wrażenie zupełnie zdezorientowanej.

– Mam tylko jedną siostrę – wydusiła niepotrzebnie cichym głosem. Podniosłam zdjęcie jako dowód, zastanawiając się, czy może jeszcze nie wytrzeźwiała. – Jedną siostrę i jednego brata – dodała. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć, więc wstałam z krzesła stojącego przy jej biurku, pozwalając jej zająć miejsce, za którego zajmowanie jej płacono.

– No cóż, jest zatem bardzo przystojny. Wszyscy jesteście – dodałam, by ukryć gafę. – Ale dobry wygląd nie wystarczy, dziewczyno. Tutaj, w klinice, cenimy punktualność i profesjonalizm.

Zostawiłam ją, żeby przemyślała tę dobrą radę, i poszłam przygotować gabinet do porannych wizyt. Nie miała za grosz charyzmy. Byłam zaskoczona, że jest zdolna do rozpusty prowadzącej do pojawiania się w pracy z wczorajszym makijażem.

Mężczyzna siedzący na krześle po przeciwnej stronie lubił sobie pogadać.



Z takim pacjentem można było strawić cały poranek. Był młody, w każdym razie młodszy ode mnie, i miał cienką hipsterską bródkę podkreślającą zarys jego szczęki. Nie przestawał mówić, a ja przenosiłam spojrzenie z jego twarzy na notatnik, w którym niebieskim tuszem szkicowałam fretkę. Byłam prawie pewna, że spotkaliśmy się już wcześniej, ale nie potrafiłam powiedzieć gdzie i kiedy. Miałam nadzieję, że jego żona odświeży mi pamięć. Zostawiłam dla niej otwarte drzwi gabinetu, a on tymczasem roztaczał przede mną szczegółową panoramę wypadków i urazów ze swojego życia. Nauczył się jeździć na rowerze pod presją, raz po raz spadał krocem na ramę niebieskiego bmx-a. Ojciec, nie zwracając uwagi na jego łzy, zmuszał go do tego, by z powrotem wskakiwał na siodełko i pedałowal. Jako nastolatek zaliczył niefortunne uderzenie w krocze kijem do lacrosse'a i zniesiono go z boiska na noszach, bladego i wymiotującego, przy wątłym aplauzie kibiców. Pamiętał, że obie drużyny stały w milczeniu w dwóch rzędach, z kijami skrzyżowanymi w hołdzie, kiedy jego pakowano do karetki. W college'u dostał kolaniem w podbrzusze podczas turnieju kickboxingu, który to turniej wymknął się spod kontroli organizatorów. Jako dwudziestokilkulatek, co sądząc z jego wyglądu, musiało być zaledwie kilka lat wcześniej, zwykł sporo czasu spędzać w saunie. Może ciepło wyrządziło trwałe szkody?

– To wszystko są znakomite pytania – powiedziałam, tłumiąc ziewnięcie. Problem mojego stosunku do pacjentów był czymś, co wielokrotnie omawialiśmy z doktorem Thadem. Zalecał mi postawienie się w ich sytuacji. Próbowałam sobie wyobrazić, jak ktoś mnie kopie w krocze, ale żeby to naprawdę pojąć, musiałabym najpierw wyobrazić sobie siebie jako mężczyznę, a następnie jako ten typ mężczyzny, który uprawia kickboxing. Szło mi nieudolnie. Był to zdecydowanie zbyt duży wysiłek umysłowy, jeśli miałam w dodatku pozorować zainteresowanie, więc się poddałam.

Drugie krzesło wciąż stało puste. Może partnerka mojego pacjenta dostała pietra na myśl o zrobieniu sobie dziecka z tym mężczyzną? Jeśli faktycznie tak było, należały jej się wyrazy uznania.

– Gdzie jest...? – zapytałam, wskazując na puste krzesło obok niego.

– Gdzie jest co?

– Pana żona.

– Moja żona? – Roześmiał się.

– Pana partnerka – poprawiłam się.

– Aktualnie z nikim się nie spotykam, prawdę mówiąc. – Zawiesił spojrzenie na niewielkim dekolcie mojej bluzy medycznej, odsłaniającym odrobinę nagiego ciała, i zrobił to w sposób, który można byłoby uznać za aluzję.

– A zatem nie stara się pan o spłodzenie dziecka?

– Nie staram się aktywnie – powiedział tonem, który uznałam za zbyt radosny.

– Przyznam, że nie do końca rozumiem.

– Boże, ja tak samo – odparł, odsuwając włosy z czoła. – Rzuciłem się w szaleńczy wir dysfunkcji, no i mam. Nigdy nie należy się angażować w układy z rodzicami. Zasada numer jeden.

– Rodzicami?

Odłożyłam długopis i przyjrzałam mu się uważnie, próbując się połapać w tej rozmowie. Energicznie pokiwał głową.

– Głupi, bardzo głupi błąd. Ale na moim stanowisku jestem otoczony matkami. Każdego dnia pod moim gabinetem stoi kolejka. Za każdym razem gdy dzwoni telefon, okazuje się, że to jakaś matka. Nie wiem już nawet, jak rozmawiać z kobietą, która nie ma dziecka między piątym a jedenastym rokiem życia.

– Panie... – Przejrzałam akta w poszukiwaniu jego nazwiska, ale wyglądało na to, że dziewczyna z recepcji nie zadała sobie trudu, by je zapisać.

– Proszę mi mówić Calvin. – Uśmiechnął się, jakby mi wręczył wyjątkowy smakołyk.

Calvin. Żadnych skojarzeń. A jednak to lekkie zaciągnięcie w jego głosie, ta sztywno wyprostowana sylwetka...

– Calvinie, obawiam się, że to zupełnie wykracza poza moje kompetencje.

– Nie, proszę mi wierzyć, na tym właśnie polega sedno sprawy. A więc ta kobieta i ja... – Zawiesił głos.

– Mama? – przynagliłam.

– Tak. To wszystko objęte jest tajemnicą lekarską, prawda?

– Ależ oczywiście – odparłam. – To znaczy tak przypuszczam.

– Sądziłem po prostu, że w jej wieku, przy dwójce dzieci, o wszystko się zatroszczyła. Wie pani doktor, co mam na myśli. Ale pewnej nocy wyznała mi, że przez cały czas próbowała zajść w ciążę. Ze mną. Może pani w to uwierzyć?

– Nie do końca – powiedziałam.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli: dzieci są moim życiem. Ale nie jestem jeszcze gotowy pożegnać się z wieczorami i weekendami. No w każdym razie: kulka chybiła. Ale zacząłem się zastanawiać... Może to ze mną jest coś nie tak? Może strzelam ślepakami?

Wychylił się do przodu ze swojego krzesła. Miałam wrażenie, że czeka, aż ryknę śmiechem i wykluczę możliwość, by jego płodność mogła nie plasować go powyżej przeciętnej.

– Proszę zostawić próbkę, przeprowadzimy testy – obiecałam.

– Próbkę? – Skrzywił się z obrzydzeniem. – Nie, raczej nie. Miałem nadzieję, że jest pani w stanie coś ustalić na bazie tego, o czym mówiłem.

– To byłyby tylko przypuszczenia.

– W porządku. Proszę powiedzieć, co pani przypuszcza.

Zlustrowałam go, pukając długopisem w wargę i udając, że oceniam na oko jego zdolność płodzenia potomstwa. Kim on jest, do diabła?

– Wydaje mi się, że wszystko z tobą w porządku. Ale jeśli coś takiego zdarzy się ponownie...

Calvin położył rękę na piersi.

– Nigdy więcej. Może być pani tego pewna. Pomijając wszystko inne, mógłbym stracić pracę, a przecież w tej chwili jestem już na świeczniku. Tu nie ma miejsca na jeden fałszywy krok. Proszę mi wierzyć, skończyłem

z mamuškami.

Nawet gdybym zafakturowała to jako konsultację piątego poziomu, poważnie przekroczyliśmy przeznaczony na nią czas. Im dłużej zwlekał z wyjściem, tym więcej naszych pieniędzy spływało do kanalizacji, ale ta myśl nie dawała mi spokoju.

– Calvinie, czy ja cię skądś znam?

– Nie sądzę – powiedział Calvin. – Zapamiętałbym.

Ruszyliśmy w kierunku drzwi. Stał o pół kroku za blisko, co sprawiało wrażenie, jakbyśmy wkroczyli na dwuznaczne terytorium flirtu. Był przystojny w ten nieostentacyjny sposób, który uznałam za lekko prowokujący. Może moje bezwiedne, współczujące potakiwanie zostało niewłaściwie odebrane?

– Jestem przekonana, że gdzieś musieliśmy się spotkać. – I w końcu myśl, która próbowała się przebić do mojej świadomości jak ćma trzepocząca się na oknie, znalazła szczelinę. – Szkoła podstawowa Davisa! Jesteś zastępcą dyrektora. Mój syn Mitchell chodzi do piątej klasy.

Na twarzy pana Chestera – oto kim dla mnie był: panem Chesterem, mężczyzną, który kierował przewalającymi się przez szkołę potokami uczniów, ubrany w trzyczęściowy garnitur, wyszczekując polecenia przez megafon – odmalowała się bogata paleta uczuć, jakby był aktorem charakterystycznym sprawdzającym zakres swoich możliwości. Satysfakcja z przypomnienia sobie natury naszej relacji zmarła nagłą i niezręczną śmiercią.

– Oczywiście. No cóż, to wyjaśnia fakt, że tak dobrze... się rozumiemy. Choć prawdę mówiąc, w tej chwili jestem już dyrektorem. Dyrektor Krupka właśnie zrezygnował ze stanowiska z powodów osobistych.

Znacząco uderzył się kantem dłoni w szyję. O tym akurat nie słyszałam.

– Szkoda. Ale moje gratulacje.

– Mitchell Meer. Oczywiście. Chociaż sądziłem, że on jest synem Vicky – powiedział pan Chester. Vicky była naszą najnowszą opiekunką, studentką miejscowego college'u, która często odbierała Mitchella ze szkoły. Miała dziewiętnaście lat, ale była korpulentna i nosiła obszerne spodnie, które ją postarzały.

– Zdecydowanie nie jest – sprostowałam, podnosząc głos. Pomyłka zabolęła mnie bardziej, niż skłonna byłam przyznać.

– No cóż, w każdym razie dziękuję za uroczą konsultację. – Skłonił się, udając się brązowym korytarzem w kierunku recepcji, gdzie nasza spóźnialska przypomni sobie o pobraniu od niego stosownej opłaty. Taką w każdym razie miałam nadzieję. Wyobraziłam sobie, jak moja siostra kręci głową w swojej koszulce drużyny Davis Boosters, podczas gdy Ben dostarcza sześćdziesiąt muffinków domowego wypieku na najnowszą aukcję charytatywną. Madge była skarbnikiem rady rodziców, Ben członkiem trójki klasowej, a ja... No cóż, administracja szkoły była przekonana, że matką Mitchella jest studiująca teatrologię nastolatka otoczona kłębamii dymu z e-papierosa, z chrześcijańską rybką wytatuowaną nad elastycznym paskiem spodni do biegania. Nie było powodu się zadreć. Wielu kochającym rodzicom brakowało czasu, by zaangażować się w życie szkoły. Problemem była Vicky. Każdego popołudnia stawała się wzorem niechlujności, pretensjonalności i pogłębiającego się uzależnienia od nikotyny o zapachu piña colady. Ewidentnie rzutowało to na Mitchella. Dzisiejszy dzień będzie jej ostatnim.

Gdy tylko uchyliłam drzwi wejściowe, zaatakowała mnie jazgotliwa kanonada telewizyjnej reklamy.

– I to jeszcze nie wszystko! – wykrzyknął prezydent. Na stoliku do kawy stało terrarium z dwiema żabami, piętrzyła się sarta zadań domowych i leżało kilka skórek od bananów. Dzięki nim zwolnienie Vicky z pracy powinno być łatwiejsze, ale ponieważ znów się spóźniłam, nie miałam wystarczająco wysokiej przewagi moralnej, by móc zrezygnować z jej usług, co oznaczało, że będę musiała odłożyć to na inny dzień, kiedy racja będzie zdecydowanie po mojej stronie.

– Cześć – powiedziałam. Mitchell i Vicky jedli na kanapie rozmrożone pizze w rozmiarze mikro, czego wyraźnie zakazałam. Żadne nie podniosło na mnie wzroku. Zahipnotyzowała ich reklama rewolucyjnego urządzenia kuchennego pozwalającego z łatwością przygotować w domu słynną „kwitnącą cebulę” smażoną w głębokim tłuszczu, tak by wyglądała jak wykwinna

przystawka podawana w restauracji. V rozwaliła się na kanapie w swoich workowatych spodniach, a sos z marynary kapał jej na bluzę z kapturem Ward College Plainsmen. Mitchell zastygł bez ruchu w swojej typowej sztywnej postawie, tak pochłonięty telewizją, że aż przestał mrugać. Wyobrażałam sobie kiedyś, że wychowam poliglotę w bircie, żywiącego się jedynie niepryskanymi winogronami, ale porzuciłam te fantazje. Mitchell okazał się typowym Amerykaninem: uwielbiał kapitalizm i nagrania ludzi branych na rogi przez zwierzęta, a przy tym wolał jedzenie, które należało nie tyle ugotować, co podgrzać. Wyłączyłam dźwięk i oboje aż podskoczyli.

– Dzień dobry pani – powiedziała Vicky. Na kolanach miała otwarty podręcznik do matematyki, ale przykrywał go *Szykowej dziewczyny przewodnik po facetach*.

– Skąd tu te żaby?

– To ropuchy – poprawiła mnie Vicky. – Ćwiczenie z odpowiedzialności. Gdzieś tutaj, razem z instrukcją karmienia i czym tam jeszcze, jest informacja na ten temat.

– Były trzy, ale jedna się zgubiła – stwierdził Mitchell.

– Gdzie się zgubiła?

– W domu – powiedział Mitchell z pełną buzią.

– Gdzieś mi tu po domu łązi ropucha?

– Niewielka szansa, że wyskoczyła za drzwi, bardziej prawdopodobne, że ciągle tu gdzieś jest – głośno myślała Vicky. – W końcu wylezie.

– No, bardzo ci dziękuję, Vicky. – Podałam jej zwitek banknotów. To był sygnał do wyjścia, ale nie ruszyła się z miejsca. Któregoś razu powiedziałam jej, żeby czuła się jak w domu, i tak właśnie robiła. Z naddatkiem.

– Popatrz! To ciocia Madge! – wykrzyknął Mitchell. Nadawano właśnie wieczorne wiadomości i Madge eskortowała swoją klientkę do budynku sądu. Klientka, oskarżona o morderstwo, była blondynką ze szklistym spojrzeniem, cofniętym podbródkiem i skomplikowanym tatuażem na szyi. Miała na sobie skromną bluzkę z golfem, której zdecydowanie sama dla siebie nie wybrała.

– Wygląda na to, że idzie w Amelie – skwitowałam ten widok. Obrona

Amelie to specjalność Madge. Odmaluje oskarżoną jako osobę odrobinę dziwną i impulsywną, coś w rodzaju nieobliczalnego chochlika, który wymachuje bronią dla kaprysu. Nigdy bym nie przypuszczała, jak często ława przysięgłych daje się na to nabrać.

Vicky wyszła nieśpiesznie ze swoimi pieniędzmi, wykrzyknawszy jakieś pożegnanie. Usiadłam obok Mitchella i położyłam dłoń na jego policzku. Sprawiał wrażenie czujnego – jak zawsze, gdy przeczuwał poważną rozmowę.

– Mitchell, jesteś coraz większy... – zaczęłam.

– Mamo! Ile można! – zawołał Mitchell, chwytając się za serce i padając na poduszki kanapy, jakby miał zawał. Skręcał się i rzeził teatralnie, aż wreszcie znieruchomiał.

– Wiele dzieci z twojej klasy jeździ autobusem do domu i spędza kilka godzin samotnie.

– Cooper, Mallory, Owen P. i obie Emmy – przerwał mi, wstając z martwych i odhaczając listę kolegów biegających z kluczem na szyi.

– Och. Obie Emmy? Wow.

– A ja jestem znacznie bardziej odpowiedzialny niż którakolwiek z nich – powiedział, obracając argumentację na swoją korzyść. Powoli oswajał się z koncepcją spędzenia dwóch godzin po szkole samemu, samodzielnego odrobienia pracy domowej i własnoręcznego odgrzania burritos w mikrofalniczym osobie obyta w świecie. Jedna z siedzących w terrarium ropuch wydała dziwny, odbijający się echem rechot, oplakując zaginionego kamrata.

– Znajdź ropuchę, a ja dam znać Vicky.

### 3

– Chyba ją tylko trochę przypłaszczyla – powiedziałam, ostrożnie zsuwając trzecią ropuchę z łopatki do przewracania naleśników. Spadła jak kamień na dno terrarium. Dwie pozostałe nie zainteresowały się powrotem koleżanki, chociaż nie było jej przez całą noc. Wychodziłam właśnie spod prysznic, kiedy poczułam, jak coś suchego i grubego rozpłaszcza mi się między stopą a kafelkami.

– Mamo – odezwał się Mitchell. – Ty ją zabiłaś.

Oczy mu rozbłysły znad miseczki płatków śniadaniowych. Poprzedniego wieczoru przetrząsnął cały dom w poszukiwaniu ropuchy, ale te stworzenia były jego zdaniem mistrzami kamuflażu, chociaż w kserówkach rozdanych przez panią Vasquez nic na ten temat nie było. Ropucha nie poruszyła się, odkąd zdrapał ją z podłogi łazienki, ale byłam zdecydowana nie porzucać nadziei.

– Przycupnęła w postawie obronnej, by odstraszyć drapieżniki. Daj jej chwilę – zasugerowałam.

– Ale ona naprawdę wygląda na martwą – zaproponował Mitchell, zerkając przez pokrywę terrarium.

– Nie skreślaj jej jeszcze! – wykrzyknęłam, pokrywając wesołością beznadziejność sytuacji. Miałam już powiedzieć coś o sile pozytywnego myślenia, ale każdy, kto dobił do trzydziestki, powinien się orientować, kiedy sprawa jest nieodwołalnie przegrana, i wykazać się wystarczającą dojrzałością, by to przyznać. – No dobra, raczej z tego nie wyjdzie – powiedziałam, trąc ją delikatnie pałeczką. Brak reakcji. – Ale pozostałe dwie mają się świetnie!

– Nauczycielce się to nie spodoba – westchnął Mitchell.



– No i co pani Vasquez powiedziała na temat ropuchy?

Przyszedliśmy do parku, szukając rozległej polany pozwalającej przetestować latającą zabawkę. Zwolniłam Vicky esemesem jak ostatni tchórz, na co odpowiedziała serią emotikonów, które wydały mi się zbyt przeładowane uczuciami. Mitchell i ja zgodnie uznaliśmy rezultaty ropuszego testu na odpowiedzialność za nierozstrzygające. Zapisałam go do działającej po południu świetlicy prowadzonej przez funkcjonujący w Ward klub tenisowy. Weszliśmy w nowe widełki dochodowe i musieliśmy się stosownie do tego zachowywać. Mitchell był w umiarkowanie kiepskim nastroju.

– Nic. Mieliśmy nauczyciela na zastępstwo – odpowiedział. Niósł zdalnie sterowany helikopter, który mu kupiłam zamiast drona. Podziękował, bo helikopter jest zawsze lepszy niż nic, ale dość sztywno. Nadal czuł się związany uczuciowo z phantomem.

– No to co powiedział ten nauczyciel na zastępstwo?

– Powiedział, żebym się na ciebie nie wściekał. I że życie czasem daje po dupie.

– Tak ci powiedział? Nie może tak do ciebie mówić. – W myślach układałam już e-mail ze skargą do Calvina Chestera.

– A to nieprawda?

– To szczerą prawdą.

W kategorii utartych frazesów hasło „Życie czasem daje po dupie” było tym, które sięgało do najgłębszych pokładów ponadczasowej prawdy. Nawet jako naklejka na zderzak miało unikalną zdolność jednoczenia ludzi ponad podziałami klasowymi i politycznymi. Ale na takie gadanie jest odpowiedni czas i miejsce.

– Patrz! Bandercookowie – wyszeptał Mitchell.

Zobaczenie ich w takiej liczbie w świetle dnia, o ile nie stało się akurat na wyboistym parkingu sklepu monopolowego, było czymś rzeczywiście niezwykłym, a jednak naprawdę tam stali, wszyscy, zaledwie kilka metrów od nas, w samym środku parku Hiram Warda, w sobotni poranek. Byli

najsłynniejszą rodziną Ward, złożoną w większości z nieudaczników i złodziei. Prawie wszyscy ostro popijali i rzadko zabierali głos. Kilku odznaczyło się na polu brutalnej przestępczości. Uznawani generalnie za przekleństwo naszego miasteczka, teraz najwyraźniej postanowili dodatkowo swoją obecnością kłuć mieszkańców w oczy. Dzieci Bandercooków zgromadziły się nad brzegiem sadzawki i grzebały długimi patykami w mętnej wodzie. Kobiety paliły papierosy i przy stole piknikowym pokazywały sobie kolczyki wkłute w rozmaite miejsca. Kiedy matki rozmawiały, ich nastoletnie córki kroїły cebulę i wyciągały z toreb słoiki pikli i majonezów.

Na polance, w szamotaninie odsłoniętych torsów, podartych koszulek, napiętych mięśni i wymyślnych tatuaży, mężczyźni Bandercooków w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat rzucali piłką futbolową na przywiedłej trawie parku. Bracia, kuzyni, wujowie, bratankowie, ojcowie i synowie – tylko rdzenni mieszkańcy Ward byli w stanie prześledzić kręte drzewo genealogiczne tej przeklętej rodziny. Bill Bandercook, patriarcha rodu, grillował na węglu drzewnym kiełbaski i bułeczki z gotowego ciasta, trzymając pod stopami puszkę benzyny. Kiedy był młodym mężczyzną, odgryzł swojemu rywalowi ucho. Tak w każdym razie mówiono. Jego brat Abel, ojciec lub dziadek połowy obecnych, siedział skazany na dożywocie w więzieniu o zaostrozonym rygorze.

W takim parkowym otoczeniu wszyscy inni ludzie graliby w futbol dotykowy, ale Bandercookowie ciskali się o ziemię, niezrażeni brakiem hełmów, ochraniaczy czy boiska o odpowiednich wymiarach.

– Mitchell, zostań tu! – poleciłam, ale on już biegł ku granicy wyimaginowanego boiska, po czym stanął na tyle blisko, że mógł oberwać jakąś zabłąkaną ręką lub nogą. Poszłam za nim.

Hayes Bandercook podniósł rękę, by wysokim lobem przekazać piłkę Brockowi, i nasze spojrzenia się spotkały. Stał tam, z piłką przekrzywioną na ramieniu, gapiąc się na mnie z głuchą tęsknotą, w której było, szczerze mówiąc, więcej wyrazu, niż mogłabym się spodziewać po którymkolwiek z Bandercooków. Nie po raz pierwszy poczułam na sobie spojrzenie jego bandercookowych oczu. Co rano kupowaliśmy kawę na tej samej stacji

benzynowej i często staliśmy ramię przy ramieniu, w milczeniu wsypując cukier i śmietankę w proszku do naszych ogromnych, parzących ręce kubków. Wyczekiwałam tych dziwnych, bezsłownych spotkań niemal równie niecierpliwie jak kawy. Teraz, kiedy w powietrzu unosił się zapach ziemi, gnijących liści i benzyny z grilla, poczucie obecności Hayesa było jeszcze bardziej dojmujące. Nie odwróciłam wzroku. Jego rozczochrane włosy, szerokie ramiona, a przede wszystkim to spojrzenie sugerowały sprawy, nad którymi nie należało się zastanawiać w miejscach zaprojektowanych dla rodzin z dziećmi. Hayes zrobił krok w moją stronę i Clive Bandercook zablokował go, popychając na ziemię. Hayesowi piłka wyśliznęła się z palców i Chad Bandercook porwał ją, zanim dotknęła ziemi, po czym przebiegł zaimprovizowane pole punktowe, wyzwalaając falę gęsto przeplatanych przekleństwami wiwatów. Hayes zaczął się powoli podnosić. Brock stał nad nim i ciężko oddychał. Nie wyciągnął ręki. Kiedy Hayes wreszcie się wyprostował, Brock pchnął go mocno w pierś.

– Skup się na grze, żłobie.

Hayes rzucił się na niego i przewrócił go na ziemię. W następnej chwili Brock i Hayes Bandercookowie, obaj już dobrze po trzydziestce, próbowali się zatłuc na śmierć na pożółkłej jesiennej trawie, tarzając się wśród połamanych badyli i kolczastego zielska, kopiąc się i wymierzając sobie ciosy, a zeschnięte liście przyklejały się im do nagich pleców.

Ich ojciec podniósł wzrok znad grilla.

– Dość tego, gamonie! – krzyknął staruch, ale Brock i Hayes, czerwoni na twarzach i pochłonięci walką, jakby go nie słyszeli. Najmniejsze Bandercooczątka rzucały kamieniami do stawu, ale już zaczęły od niego odchodzić, niektóre bosy, w ciężkich pieluchach, by obserwować bójkę.

– Rus, zajmij się tym – powiedział Bill.

Rusty Bandercook odłożył czytaną książkę na oparcie leżaka i podreptał w kierunku braci, którzy miotali się po trawie, wywrzaskując przekleństwa. Wielokrotnie wypraktykowanym ruchem wylał na nich puszkę piwa, co momentalnie wyrwało ich z zapamiętania. Rozdzielili się i usiedli na ziemi, dysząc ciężko, ścierając sobie pianę z oczu i każąc Rusty'emu pilnować, do

cholery, własnych spraw, a nie robić ciągle, co mu tatuś każe, jakby był jakąś pindą. Bill machnął swoimi przyborami do grillowania i powiedział, że włoży im po kolei widelec w tyłek i wtedy się okaże, kto jest, a kto nie jest pindą. A potem zawołał dzieci na bułeczki i kiełbaski, gdy tymczasem Brock i Hayes pluli ziemią i krwią, otrzepując się z liści i trawy. Rusty skinął nam głową, a ja odeszłam, pociągając Mitchella za sobą.

„Jacy są Bandercookowie, to widać po ich zachowaniu” – pomyślałam. Często powtarzano to sobie w miasteczku. Kręcąc głową, odeszłam z miejsca, w którym publicznie rozgrywał się ten międzypokoleniowy dramat wszelkich możliwych dysfunkcji. Nie do wiary, że patrzyłam na Hayesa Bandercooka w ten sposób, choć przez moment pozwalając sobie na rozmyślanie o nim. Dopiero teraz dostrzegłam Mitchella wyciągającego szyję i uśmiechającego się z zadowoleniem na widok całej tej społecznej męskości manifestującej się w rześkim jesiennym powietrzu.

– Chciałbym być Bandercookiem – stwierdził z ciężkim westchnieniem. Udałam, że nie słyszę. Jeszcze kilka lat temu chciał być tyranozaurom.

Tym helikopterem po prostu nie dawało się sterować. W ciągu kwadransa uderzył w konar jakiegoś drzewa i roztrzaskał na milion plastikowych odłamków.

- No cóż – powiedziałam, kiedy uważnie badaliśmy szczątki.
- Życie czasem daje po dupie – skwitował Mitchell.

Doktor Thad złapał mnie w naszej małej kuchni, kiedy trzymałam w ręku kawę ze stacji benzynowej.

– Och, Becky – westchnął z politowaniem, jeszcze wyraźniej niż zwykle zaciągając po luizjańsku. – Skąd pomysł kupowania kawy w miejscu, w którym sprzedaje się prezerwatywy i kupony lotto?

Nie siliłam się na odpowiedź. Buntowniczo pociągnęłam długi łyk, co okazało się fundamentalnym błędem.

– Perły przed wieprze – powiedział, poklepując pomarańczowego włoskiego potwora stojącego na blacie: ekspres ciśnieniowy, który kosztował więcej, niż nasza recepcjonistka zarabiała w ciągu roku. Następnie wziął łyk espresso z maleńkiej filiżanki i zmierzył wzrokiem mnie i mój litrowy kubek. – Zrozumiałbym, oczywiście, gdybyś była bezdomna albo jeździła tirem na długich trasach. Albo gdybyś była, powiedzmy, pracownikiem ekipy remontowej.

Znów zmilczałam. Mogłam sobie pić taką kawę, jaką chciałam. Podpuszczał mnie, a ja nie zamierzałam dyskutować z nim ani o kawie, ani na żaden inny związany z nią temat. Łączyła nas bliska relacja, owszem, ale wyraźnie wytyczyłam jej granice.

– Jednakże w tych okolicznościach są to zdecydowanie dziwaczne upodobania. – Skończył swoją maleńką kawę i pozwolił filiżance zabrząc na tycim spodeczku. Za pięć minut mieliśmy wykonać zabieg, a mnie zostało do wychłęptania jeszcze jakieś trzy czwarte litra.

Zamiast bronić swojego upodobania do parzącej brązowej lury, która godzinami podgrzewała się na gorącej płycie, zyskując specyficzny zapaszek, wrzuciłam kubek do śmietnika i wypadłam z kuchni. On wiedział. I nie

aprobował. Za każdym razem, gdy podnosiłam do ust swój gigantyczny kubek, błyskałam numerem telefonu nagryzmołonym na jego spodzie. Hayes nalewał sobie dziś kawę niespotykanie wolno. Nie usunął się jak zwykle na bok, by zrobić mi miejsce, a kiedy skończył napełniać swój kubek, odwrócił się i wręczył mi go. Siedząc już w samochodzie, uniosłam go pod światło i zobaczyłam wypisany na spodzie numer telefonu.

Nieprzeciętna inteligencja i wyostrzony zmysł obserwacji pozwalały doktorowi Thadowi bez trudu czytać między wierszami. Pewnego dnia – choć nie dziś – będziemy się z tego śmiali. Zapewne mu podziękuję. Wyobraziłam sobie, jak oznajmiam siostrze, że prowadzę bezsłowną erotyczną grę na stacji benzynowej. Z Bandercookiem. Zdobyłabym się na takie wyznanie, gdybyśmy wciąż były nastolatkami zwierającymi się sobie do późna w nocy pod fluorescencyjnymi gwiazdkami przyklejonymi na suficie sypialni. Zajmująca górne łóżko Madge obrzuciłaby mnie pluszakami i słowami krytyki, i na tym by się skończyło. Ale teraz... To było zbyt upokarzające. Hayes Bandercook był przeciwieństwem zakręconej nakrętki. Najgorszą formą wrzucenia na luz. Madge coś przeczuwała, kiedy prysnęła nam w twarze tym korzennym piwem.

Kilka minut później byłam już z powrotem w kuchni, przetrząsając śmieci w poszukiwaniu kubka. Zniknął. Poczucie godności nie pozwoliło mi o niego zapytać. Przez resztę poranka doskwierał mi brak kofeiny, a stosunki z doktorem Thadem stały się napięte.

– Dobrze to wygląda, co, Becky? – zagaił doktor Thad, głaszcząc muskularne ramię pani Flyte. Spojrzałam na niego spomiędzy jej kolan. Uśmiechał się, ale usta miał zaciśnięte. Nie przykładałam się do obowiązkowych przy wykonywaniu zabiegu przekomarzanek.

Wsunęłam cewnik w szyjkę chemicznie przygotowanej macicy pacjentki, starając się nie myśleć o Hayesie. Skoncentrowałam uwagę na rzeczonyj macicy należącej do kobiety, która przecież miała jakieś uczucia i potrzebowała otuchy. Jej dziecko nie zostanie poczęte przy dźwiękach calypso i szumie morskiej bryzy ani nawet spółdzone niedbale przy niechlujnym monologu późnowieczornego talk-show sączącego się monotonię ze stojącego w sypialni telewizora. To dziecko powoływano do życia wśród

noszących lateksowe rękawiczki nieznajomych. Albo nawet z nich samych. Rozmowa o gametach dawcy czekała na swoją kolej jak cierpliwy autostopowicz.

– Jesteśmy przekonani, że rokowania są naprawdę dobre, prawda? – powiedział doktor Thad. Jako zespół byliśmy wyćwiczeni jak tancerki wodewilu. Moją rolą było wygłaszanie uspokajających, krzepiących kwestii, które nie obiecywały niczego konkretnego. Ale Hayes Bandercook zalewał mi gorącą kawą wszystkie wyższe funkcje umysłowe i wyłamałam się z rozpisanego scenariusza.

– Morfologia mogłaby być lepsza.

– Reyne! – załkała pani Flyte i uniosła głowę z fotela, zaniepokojona myślą o tym, że w nasieniu umieszczanym w jej macicy roi się od leniwych dyletantów, którym brakuje motywacji do podboju świata, cechującej spermę odnoszącą większe sukcesy. – Obiecałeś nie korzystać z jacuzzi!

Flyte była instruktorką pilatesu, gibką i niepomarszczoną, ale zbliżającą się już do czterdziestki i mającą za sobą trzy lata zmarnowane na popijaniu sfermentowanej herbaty i terapiach alternatywnych. Podejrzywałam, że mimo obietnic składanych doktorowi Thadowi, nadal serwowała sobie wyciągi z ziół i inne mikstury. Reyne Reynolds był obecny z powodów sentymentalnych, ale nie miał tu nic do roboty. Siedział na krześle przy stopach swojej żony i kartkował stary numer „Pani Domu”.

– Nino, przysięgam... – zaczął Reyne, przyciskając czasopismo do piersi, by zamanifestować swoją szczerość. Znałam jego głos z wieczornych wiadomości, gdzie z równym przejęciem czytał najważniejsze informacje i prognozę dla rolników, ale w osobistym kontakcie nie robił wrażenia. Był sztuczny i jakby bezduszny. Wszyscy mieli już pewność, że wymyka się na taras i zanurza swoje czterdziestoletnie ciało w pianistej parującej wodzie, po czym otwiera z trzaskiem puszkę piwa, nie poświęcając ani jednej myśli biologicznemu imperatywowi. Nie pierwszy raz mieliśmy do czynienia z taką sytuacją. Doktor Thad określał to mianem „zmiennych poziomów zaangażowania”. Panią Flyte trawiło pierwotne pragnienie posiadania dziecka. W jakimś innym miejscu i czasie ubrana w zwierzęcą skórę kreśliłaby

tajemnicze runy i składała pogańskie ofiary nieprzeciętnych rozmiarów bożkowi płodności. Może robiła to nawet teraz. Miałam przeczucie, że wypatroszyłaby mnie jak prosiaka, gdyby nabrała przekonania, że może jej to jakoś pomóc. Tymczasem Reyne, niczym neandertalczyki, zasadniczo pogodził się z perspektywą zabrania swojej genetycznej spuścizny do grobu. Uznał prawdopodobnie, że nieobciążeni dzieckiem będą mogli podróżować do woli, jadając w luksusowych restauracjach.

– Oddychaj głęboko, Nino – polecił doktor Thad, masując jej ramiona. Zaciśnięta szczęka i spojrzał Ninie prosto w oczy, szczery i żarliwy w swoich przekonaniach. – Czy mogę ci coś zdradzić? Wiesz, co powiedziała mi dziś Becky, kiedy po południu wyszła z laboratorium?

To, co mówiłam, dotyczyło Mitchella, ale przy pacjentach nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach. W tym momencie doktor Thad po prostu improwizował.

– Powiedziała: „Doktorze Thad, przeprowadziłam wszystkie możliwe testy na tych próbkach, ale tak naprawdę nie obchodzi mnie, co mówią liczby. Ja po prostu wierzę w powodzenie tego zabiegu. Te plemniki to prawdziwi wojownicy i jestem pewna, że wykonają postawione przed nimi zadanie”.

Uśmiechnęłam się, jakby dając do zrozumienia, że faktycznie pochwaliłam wojowniczego ducha spermy pana Reynoldsa. Ponieśli już spore wydatki na inseminację, a czekały ich trzykrotnie większe, jeśli będziemy musieli przejść do *in vitro*.

– No i skończyliśmy – odezwałam się i nie patrząc nikomu w oczy, usunęłam wszystkie rurki.

– Będiesz prześliczną mamą, Nino – powiedział doktor Thad, pochylając się, by obdarzyć ją jednym z tych swoich uśmiechów. Frędzelki jego wełnianego szaliczka musnęły jej czoło. – Przepiękną, wspaniałą matką. Prawda, Becky?

– Na pewno – przytaknęłam.

– Co to było, do cholery? – warknął doktor Thad w chwili, w której znaleźliśmy się na korytarzu. Flyte została w pokoju zabiegowym, przebierając



się z lawendowej koszuli przeznaczonej dla pacjentek we własne ubrania. Reyne już wyszedł, tłumacząc się, że musi pędzić w podskokach z powrotem do Channel 8 News, co było kłamstwem tak desperackim i niewątpliwym, że cała nasza trójka skwitowała je grobowym milczeniem.

– Mam gorszy dzień – przyznałam.

– To – powiedział doktor Thad, rysując palcem wyimaginowany okrąg wokół naszej dwójki – działa tylko dlatego, że nie masz gorszych dni.

Od początku mojej współpracy z doktorem Thadem, która rozpoczęła się ponad dekadę wcześniej w windzie kliniki leczenia zaburzeń psychicznych w Nowym Orleanie, nasz obopólny szacunek pozostał niewyrażony, owszem, lecz nigdy nie został podważony. Milcząco przyjmowaliśmy zawsze, że ten układ się sprawdza.

– Wiesz, jak długo będę ją musiał ugłaskiwać, dosłownie i w przenośni, by to jakoś zatuszować?

– Przepraszam.

– Jeśli to się skończy katastrofą...

Miał oczywiście na myśli małżeństwo Flyte Reynolds.

– Nie skończy się. Pan to naprawi.

Doktor Thad ocalił więcej związków niż niejeden terapeuta. Inaczej niż w przypadku tych partaczy pozwalających parom przerzucać się oskarżeniami, jego zarobki zależały od tego, czy ludzie dojdą do porozumienia, zanim kompletnie wygaśnie w nich pragnienie rozmnożenia się.

– Co cię opętało, żeby wspominać o morfologii?

Właśnie ten moment wybrała Nina Flyte, by wyłonić się z pokoju zabiegowego. Uniosła brodę pod buntowniczym kątem, co było ulubioną przez telewizję postawą silnych kobiet stawiających czoło przeciwnościom losu. Doktor Thad podszedł do niej i ujął ją za rękę. Monologował uspokajająco, odprowadzając ją do drzwi wejściowych, a potem przystanął w nich na moment, gestykulując z przekonaniem, a Nina tylko przytakiwała. Pomachał jej, kiedy wychodziła z budynku.

– Chryste Panie – powiedział, zamykając za sobą drzwi prowadzące do

kliniki. – Dlaczego to musiała być właśnie ona, Becky? Ta kobieta momentalnie się rozkleja. Jeśli tym razem nie zaciąży, Boże, dopomóż, będę ją chyba musiał położyć nabojem usypiającym.

– Może zaciąży?

– Z taką morfologią? Och, daj spokój. Pozwalamy tylko Reyne’emu zachować twarz. Jego plemnikom nie udało się przepłynąć przez siatkę.

– Ale... to prawdziwi wojownicy.

Doktor Thad przewrócił oczami.

– Nie zdołałyby spłynąć nawet w dół.

Telefon zawibrował mi w kieszeni. Głos, który zaczął mi się sączyć do ucha, pozbawiony był płaskich samogłosek i nosowego „a” typowego dla miejscowych. To był Calvin Chester ze szkoły podstawowej Davisa. Dzwonił w sprawach zawodowych – jego, nie moich – oczekując spotkania w najbliższym dogodnym terminie.

– No, w tym roku Mitchell nieźle daje do wiwatu – stwierdziła Bev, kiedy weszłam do sekretariatu.

– Co ma pani na myśli?

Nie pierwszy raz byłam wzywana na rozmowę do dyrektora, ale Mitchell nigdy wcześniej nie wpakował się w żadne poważne tarapaty. A już na pewno nikt nigdy nie wspominał o dawaniu do wiwatu.

– Dyrektor wszystko pani przekaże – ucięła Bev i odgryzła kęs francuskiej bułeczki z anansem, z rodzaju tych, jakie sprzedają na stacji benzynowej na Dwunastej Ulicy. Stałam w drzwiach do gabinetu Calvina. Ku swemu przerażeniu na krześle stojącym po przeciwnej stronie jego biurka dostrzegłam parę piegowatych kolan. Zmartwiałam, wpatrzona w te kolana, myśląc gorączkowo.

– Pani Meer, sądzę, że pan Kevin Holts jest pani znany. Mamy niezwykle szczęście, że zdecydował się do nas dołączyć – powiedział Calvin Chester. Kevin, właściciel kolan, ubrany był w strój kolarski, w czym nie było nic nadzwyczajnego. Całe Ward doskonale znało Kevina Holtsa. Oprawione

w ramki wycinki prasowe dokumentujące jego sukcesy wisiały we wszystkich miejscach, w których bywał jako dziecko. W Ward nie sposób było zamówić sobie kanapki czy obciąć włosów, nie konfrontując się ze zdjęciem ubranego w spodnie khaki i firmową koszulkę polo Kevina opierającego się ze swoją zwykłą arogancją o biurko. Niestety, znałam go aż za dobrze.

– Kevinie, to matka Mitchella, Rebecca Meer – przedstawił mnie Calvin.

– Och, znamy się od dawna – przyznał Kevin. – Miło cię znów zobaczyć, Rebecca. – Pozbierał się już po naszym przypadkowym spotkaniu przed supermarketem. Teraz jego całkowicie wyprane z emocji powitanie przypomniało mi tylko, jak nietypowa była jego reakcja na parkingu. Pociągnął potężny łyk wody, nie zdradzając śladu skrępowania, jakby nie było nic złego w tym, że dorosły mężczyzna zakłada niebieski spandeks i pije z butelki, o ile obie te rzeczy opatrzone są logotypami producentów drogiego sprzętu sportowego. – A zatem tak się przedstawia z mojego punktu widzenia sprawa żaby... – zaczął Kevin.

– O jakiej sprawie żaby mówicie? – zapytałam. Minął już prawie tydzień, odkąd stanęłam na żabie, i zakładałam, że ten incydent mamy już za sobą.

– Cal, powiedziałaś jej, prawda? – syknął Kevin.

– Tak naprawdę to były ropuchy. Tak się jakoś złożyło, że nie. Sądziłem, że lepiej będzie poinformować ją o tym osobiście – zaczął się tłumaczyć Calvin.

– Wykazałaś się dużą wrażliwością, Calvinie. Ale czy sądzisz, że te typy z minivanów są w stanie uszanować twoją wrażliwość? Akurat. W ten sposób zmanifestowałaś jedynie swoją słabość i odwlokłaś w czasie nieprzyjemną rozmowę. Następnym razem zadzwoń do niej i powiedz prosto z mostu to, co masz do powiedzenia. Bum! – Ostatnie słowo Kevin podkreślił plaśnięciem ręki o udo.

– Bardzo przepraszam – wtrąciłam się. – Co on tutaj robi? – Wskazałam na Kevina, bliska chwycenia dyrektora Calvina za kłapy marynarki.

– Zachowajmy spokój – powiedział Calvin, przysuwając mi paczkę chusteczek. Zbyłam jego bezsłowną propozycję machnięciem dłoni, a on uniósł brwi, patrząc na Kevina, jakby ten ostrzegł go, że właśnie tak się zachowam. Mamuśki. Jego zniecierpliwienie matczynymi emocjami było tak czytelne,

jakby wyrzekł je na głos.

– Cal poprosił mnie o przyjście – powiedział Kevin, strzelając wszystkimi kręgami szyjnymi po kolei. Taki miał tik. Jak niemal wszystkie inne jego cechy, i to przyprawiało mnie o mdłości. – Jestem nauczycielem Mitchella, więc mogę służyć swoim doświadczeniem w tej kwestii.

– Nie jesteś nauczycielem Mitchella – zaprotestowałam. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Owszem, jest, pani Meer. Wczoraj Kevin oficjalnie objął nauczanie klasy piątej – wyjaśnił Calvin. – Już od tygodnia pracował na zastępstwie. Mitchell nic pani nie wspominał?

– Nauczyciel na zastępstwie – wyszeptałam. Mitchell rzeczywiście coś o tym wspominał. Powinnam być bardziej dociekliwa. – Ale gdzie jest prawdziwa nauczycielka? Kevin przecież zajmuje się jakąś sprzedażą w internecie.

– Jestem przedsiębiorcą internetowym. Owszem, mam przygotowanie biznesowe i nie będę za to przepraszał. I sprzeciwiam się charakteryzowaniu mojej poprzedniczki jako, cytuję, „prawdziwej nauczycielki”. Oprzytomniej! Amerykańscy pracownicy przestają być konkurencyjni, bo powierzamy edukację naszych dzieci starszym się prymuskom z licencjatem z pedagogiki. Którą, swoją drogą, uznaję za szarlatanerię.

– Wątpię, czy posiadasz uprawnienia do nauczania choćby na poziomie szkoły podstawowej – wtrąciłam.

– Uprawnienia do nauczania na poziomie szkoły podstawowej? Naprawdę chcesz, żeby twojego syna uczył ktoś, kto lata w college’u spędził na rozwieszaniu dekoracji na grecki tydzień?

– Tak.

– Przeciętny nauczyciel szkoły podstawowej z trudem składa litery – powiedział Kevin.

– To fakt – potwierdził Calvin, kiwając głową jak uczeń ubiegający się o miejsce po prawicy mesjasza.

– Zgadza się pan z tym? – zapytałam, opierając się o biurko Calvina, bliska

naplucia mu w oko. W tej sytuacji nie było sensu silić się na opanowanie.

– Kevin lubi prowokować, ale sądzę, że wiele jego uwag jest celnych. To kwestia feminizacji kultury amerykańskiej – stwierdził Calvin.

– Co do tego masz absolutną rację – przytaknął Kevin. – I nikt nie wie tego lepiej od ciebie, Meer. Zbijasz na tym kasę.

– Co robię?

– Powiedz mi – Kevin zmrużył oczy – jak bardzo w ciągu ostatnich dwudziestu lat zmniejszyła się na uprzemysłowionym Zachodzie średnia liczba plemników w jednostce objętości?

– Spadła o dwa procent – odpowiedziałam odruchowo.

– Dwa procent rocznie, prawda, Meer?

– Tak. Dwa procent rocznie.

– Co oznacza, że przeciętny Amerykanin wytwarza dziś czterdzieści procent mniej plemników, niż wytwarzał w trakcie rządów Reagana. Co oznacza większe prawdopodobieństwo, że zapłaci Meer, żeby doprowadziła do zapłodnienia. Ludzie winią za to przemysł i zanieczyszczenie środowiska. A ja obwiniam szkoły publiczne. To miejsce... – Kevin skrzywił się, patrząc z obrzydzeniem na nijakie szare ściany gabinetu Calvina – jest pieprzoną łaźnią estrogenów.

– Nigdy nie słyszałam nic głupszego – obwieściłam.

– Słuchaj, nie jest moim zadaniem omawianie tak szerokich zagadnień. Fakty pozostają jednak takie, że Mitch przekarmił ropuchy, które w końcu eksplodowały. Dlatego właśnie Cal cię tutaj wezwał.

– Oddaliśmy te ropuchy kilka dni temu. Co ich eksplozja... Eksplozja? – Urwałam, zastanawiając się, czy się nie przesłyszałam, ale obaj energicznie pokiwali głowami. – Co to ma wspólnego z Mitchellem?

– Przerwaliśmy projekt zabierania żab do domu. Rodzice się skarżyli – wytłumaczył mi Calvin.

– Było też kilka innych incydentów – dodał Kevin.

– Powierzaliśmy odpowiedzialność za nie całej społeczności szkoły. To miało podnieść morale. Wywołać poczucie robienia czegoś dla dobra

wspólnego. Ropuchy są zagrożone wyginięciem – podkreślił Calvin.

– Niektóre ropuchy – sprostowałam.

– W następnej kolejności karmieniem ropuch miała się zająć sala 304, więc wysłałem Mitchella do wykonania tego zadania. I to ja ponoszę za to całkowitą odpowiedzialność – powiedział Kevin.

– Skąd miałeś wiedzieć, jak to się wszystko potoczy? – przerwał mu Calvin.  
– Nie obwiniaj się.

– Jasne, lepiej obwinić dziesięciolatka – zauważyłam, ale mnie zignorowali.

– To się nie mogło wydarzyć w gorszym momencie. Przygotowania do testu kompetencji Cleaver właśnie nabierają rozpędu. Obawiam się o kwestię morale – powiedział Calvin.

Czy mi się zdawało, czy pod poważną miną dyrektora przeprowadzającego rozmowę z rodzicem czaił się wyraz triumfu? Osoba odnosząca się z lekceważeniem do kwestii tajemnicy lekarskiej uznałaby, że mam haka na Calvina Chestera. Romans z rodzicem... Pozostałe matki ze szkoły podstawowej Davisa łyknęłyby to równie chętnie jak latte po godzinie spędzonej na siłowni. Ale dla mnie utrzymanie tego w sekrecie było nienaruszalną świętością. Oczywiście, że go oceniałam, ale milcząco, w zaciszu własnego umysłu.

– Pomóżcie mi zrozumieć, w jaki sposób te żaby eksplodowały – poprosiłam.

– Bum! – odrzekł lakonicznie Kevin.

– Nie wydaje mi się, żeby to w ogóle było możliwe.

– Niektóre fragmenty tkanek przeleciały na ponad metr – powiedział Kevin.

– Woźny wykorzystał cały zapas proszku absorpcyjnego, żeby to posprzątać. Boże, miej nas w opiece, jeśli sezon grypowy rozpocznie się w tym roku wcześniej – dodał Calvin.

– Wpadka na całej linii, poważnie – ciągnął Kevin. – Z tego, co zdołaliśmy się zorientować, Mitch zostawił w wiwarium całe pudełko karmy dla ropuch.

– Proszę pani, będę szczery. Ze względu na skrajną naturę tego incydentu po

głębokim namyśle stwierdzam, a nasza szkolna pielęgniarka się ze mną zgadza, że Mitchell cierpi na lekkie do umiarkowanych zaburzenia opozycyjno-buntownicze, połączone z syndromem nadpobudliwości psychoruchowej i zespołem zaburzenia więzi – zawyrokował Calvin.

– Problem Mitchella polega na tym, że jest niedojrzały. A powodem, dla którego jest niedojrzały, jest to, że ma dopiero dziesięć lat. To jest szkoła podstawowa. Myślę, że powinien pan dostosować swoje oczekiwania do rzeczywistości – odparowałam. Kiedy mówiłam, Calvin wsunął na nos wielkie czarne okulary do czytania, których w tym wieku na pewno jeszcze nie potrzebował. Odcisnął palec wskazujący na wilgotnej gąbce i zaczął przewracać strony leżących przed nim akt.

– Czy pani uważa, że to jest normalne? – czytał na głos, kartkując informacje o zachowaniu Mitchella. – Bójka. Bójka. Pyskowanie. Niewłaściwy ubiór. Zabawa w strzelanie...

– Za pomocą marchewki – podsunęłam usłudnie.

Calvin podniósł na mnie wzrok zza okularów.

– Za pomocą tej marchewki wykosił cały stół dzieci. – Ciągnął dalej, przewracając strony: – Bezczelność, inwektywy. Bezczelność, nieposłuszeństwo. Bezczelność, bez dodatkowych uwag...

– Myślę, że wyjaśniłeś już sedno sprawy – przerwał mu Kevin. – Ten chłopak to niezłe ziółko.

– Ma pani zapewne świadomość, że przeniesienia do alternatywnej szkoły nie powinno się uznawać za rodzaj kary? – powiedział Calvin.

– Alternatywnej szkoły?

– Rozumiem pani opór. Ale należy to rozumieć tak, jak sugeruje nazwa: jako alternatywną formę kształcenia – podkreślił Calvin.

– Bez ceregieli, Calvin. To prosta droga do poprawczaka – wyjaśnił Kevin, uśmiechając się w ten charakterystyczny dla siebie sposób, jakby chciał dać nam do zrozumienia, żebyśmy się zachowywali jak dorośli. Była to najbardziej obłudna z jego arsenалу min.

– No cóż, w praktyce owszem, w dużej mierze – przyznał Calvin, mrugając

szybko. – Ale Kevin sądzi – ciągnął, przywołując z powrotem swój uspokajający, urzędniczy ton – a ja jestem gotów zaryzykować... że mógłby popracować z Mitchellem. Zakładając, że zostaną mu zapewnione odpowiednie warunki wychowawcze. Dlatego warunkowo wstrzymałem przeniesienie pani syna. Miejmy nadzieję, że wpływ Kevina i przepisane dawki amfetaminy okażą się brakującymi elementami edukacyjnej ścieżki Mitchella.

Fala mdłości mająca swoje źródło gdzieś w zakamarkach moich laboratoryjnych crocsów podeszła do gardła i mięśnie perfekcyjnie opanowanej twarzy drgnęły mi nieznacznie. Tylko ktoś bardzo spostrzegawczy zdołałby to uchwycić.

– Calvin chciał skierować sprawę do kuratorium, ale poprosiłem go o możliwość poszukania rozwiązań w ramach naszej szkoły. I należy mu poczytać za zasługę, że dał mi zielone światło.

– Nie, to twoja zasługa, Kev. Serio.

Wymienili rozpromienione spojrzenia, po czym Kevin wstał, zakręcając swoją butelkę wody.

– Nie ma potrzeby mi dziękować, po prostu wykonuję swoją pracę. A teraz, jeśli moglibyście mi wybaczyć, moi drodzy – powiedział Kevin, zegnając się dwukrotnym klepieniem we framugę – mam kilka młodych umysłów do ukształtowania.

– Czy on nie jest wspaniały? – spytał Calvin, gapiąc się za Kevinem z nieskrywanym podziwem. Odwrócił się do mnie i przybrał wyraz uprzejmej tolerancji.

– Co się stało z panią Vasquez? – zapytałam, wychylając się do przodu ze swojego krzesła.

Calvin westchnął i przetoczył wnętrzem dłoni w tę i z powrotem kulkowe pióro. Tik nerwowy.

– Słuchaj, poddaliśmy dzieci próbnym testom Cleaver. Wyniki nie były dobre. Były fatalne, Rebecca.

– I obwiniasz o to panią Vasquez? Na kim spoczywa odpowiedzialność,



panie dyrektorze?

O ile nie zwiodło mnie późnowrzesniowe światło, najbardziej kapryśne i niegodne zaufania w ciągu roku, Calvin zbladł nieco na to pytanie.

– Na mnie, oczywiście. I mam bardzo mało czasu, żeby to wszystko odkręcić. Status tej szkoły jako instytucji o akceptowalnym poziomie nauczania wisi na włosku.

Na każdej konferencji dotyczącej szkolnictwa przy otwartym mikrofonie można było być pewnym, że usłyszysz się długie i kwieciste wywody dyrektorów szkół na temat „misji osób odpowiedzialnych za kształcenie”, ale rola dyrektora sprowadza się do żonglowania liczbami dotyczącymi wyników testów, odsetka uczniów przystępujących do egzaminów końcowych i corocznych miar poprawy jakości kształcenia. Chodzi tylko o to, żeby liczby się zgadzały. Cała ta praca przypomina nieco robotę księgowego.

– Więc tak po prostu zwolniłeś panią Vasquez? Była oddanym nauczycielem, a ty ją skreśliłeś jednym ruchem.

Nie byłam zagorzałą wielbicielką Moniki Vasquez, ale tonący brzytwy się chwyta.

– Chryste, naprawdę sądzisz, że tak się paliłem do zwolnienia Gorącej Vasquez?

– Czy nazwałeś ją właśnie...?

– Nie. Nie nazwałem. Absolutnie nie. – Znow westchnął, a mnie opanowało przeczucie, że mógł się odrobinę podkochać w Monice Vasquez. Może napisał do niej jakieś płynące z głębi serca rwane strofy albo nawet rockowo-folkową balladę? – Słuchaj, wszyscy ją tutaj lubili. Gdybym miał brać pod uwagę tylko własne uczucia, nadal pracowałaby w tej klasie. Ale to się tak nie odbywa. Muszę myśleć o dzieciach – powiedział, opuszczając pięść na notatnik o żółtych kartkach, w którym ktoś niebieskim tuszem naszkicował wiewiórkę. Spinacze do papieru w stojącym obok notatnika kubku z napisem „Najlepszy dyrektor na świecie” zadźwięczały cicho.

– Dobrze się czujesz?

Zacisnął powieki i byłam prawie pewna, że stara się ukryć łzy. Trudno było

sobie wyobrazić, jakie przygotowanie do piastowania tego stanowiska mógł mieć Calvin Chester. Na ścianie za jego biurkiem nie wisiał żaden oprawiony w ramki dyplom uczelni, a jedynie plakat motywacyjny przedstawiający jakichś mężczyzn w kajaku. Choć podpisano go wyraźnie słowem „Wytrwałość”, nie rozwiewał wątpliwości co do kompetencji siedzącego pod nim mężczyzny.

– Świetnie – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Po prostu to był naprawdę długi dzień.

– Ale jeśli chodzi o Kevina Holtsa...

– Wiesz, co się stanie, jeśli wyniki testu Cleaver okażą się słabe?

– Nie dostaniesz premii.

– Zwolnienia grupowe. To będzie pierwszy krok. Wszyscy, od dyrektora – wskazał na siebie – aż po kucharki, wylądują na ulicy. Zatrudnią nową kadre, najprawdopodobniej kompletnych partaczy. Wyniki się nie poprawią. W kolejnym kroku ogłoszą reorganizację. Tyle że to nie będzie reorganizacja. Zamkną szkołę. Na głucho. Rozumiesz? Autobusami będą dowozić wszystkie te dzieciaki na zajęcia do Nee County.

To był scenariusz jak z koszmaru. Ward to może nie Paryż, ale najznamienitsi obywatele Nee County to ci, którzy wylądowali na krześle elektrycznym. Dzieciaki z Nee County zjadłyby naszych żywcem. Prawdopodobnie dosłownie.

– Kevin Holts nie poprawi ci wyników – powiedziałam, przyszpilając Calvina wzrokiem do ściany. – Jak on się tutaj znalazł?

– Chcesz usłyszeć odpowiedź?

– Chyba mam prawo usłyszeć prawdę.

Calvin zastygł przy biurku, przez chwilę przyglądając się własnym paznokciom.

– Rebecca, żyjemy w świecie cięć budżetowych – wyjaśnił, po czym wstał z krzesła i zaczął krążyć po skrawku podłogi za swoim biurkiem. – I te cięcia muszą zostać przez kogoś przeprowadzone. Kto ma to zrobić? Ty, pani Meer?

– A dlaczego miałabym to robić? – zdumiałam się. Przy okazji ostatnich

wyborów głosowałam na obligacje edukacyjne. Proponowane rozwiązanie runęło pod naporem tsunami sprzeciwu wobec kolejnych podatków, wyrażonego przez emerytów z naszego miasteczka, których zadawała posiadanie przez dorastające pokolenie wykształcenia wystarczającego do podawania im basenów.

– Rozmiary dziury w dachu sali gimnastycznej ustępują jedynie rozmiarom dziury w moim budżecie – przyznał Calvin, czerwieniejąc na twarzy. Niesamowite, jak ten człowiek potrafił się zarumienić. – Nie rozumiesz, dlaczego osoba mająca taką pozycję jak Kevin miałaby zgłosić się ochotniczo do nauczania w piątej klasie? Dobrze usłyszałaś. On to robi bezpłatnie. A co ty zrobiłaś dla szkoły podstawowej Davisa? Z tego, co słyszałem, nie zadałaś sobie trudu upieczenia nawet jednego muffinka. Bez orzechów.

– Ile ci dał?

– Wystarczająco dużo, żeby naprawić dach. A jestem przekonany, że możemy się spodziewać więcej, co umożliwi położenie nowych podłóg i elektryki.

– Nowych podłóg?

Najpierw zlikwidowano zajęcia z plastyki, potem z muzyki. W kącie auli kurzyło się jeszcze rozstrojone pianino, ale zakładałam, że zachowali je na podpałkę. Urządzenia na placu zabaw nie spełniały wymogów bezpieczeństwa i zostały usunięte, więc podczas długiej przerwy dzieci po prostu biegały po boisku.

– Koncentruję się na budynkach i wyposażeniu. Badania pokazują silną korelację między nowoczesnością infrastruktury a pozytywnymi wynikami nauczania.

– A zatem to już nie jest twoja szkoła. Teraz należy do Kevina.

Zapewne tak właśnie widział to Kevin. Crucible, bezkształtna firma technologiczna Kevina, wchłaniała inne przedsiębiorstwa równie skutecznie, jak trójwarstwowe papierowe ręczniki wchłaniały rozlane płyny.

– Nadal w dużej mierze jest to moja szkoła – powiedział Calvin. – A Kevin Holts jest najlepszym, co temu miastu udało się kiedykolwiek wyprodukować.

Jest miejscowym bohaterem.

– Tak – zgodziłam się. – Ale...

– W tym krótkim czasie, jaki upłynął od jego pojawienia się w naszej szkole, jesteś jedynym rodzicem – jedynym! – który nie zareagował entuzjastycznie na pomysł uczenia jego dzieci przez słynnego Kevina Holtsa. Czy jest dupkiem? – Calvin wzruszył ramionami. – Może i jest. Nie mnie to oceniać. Ale jest szanowany. Bardziej niż ja. Bardziej niż jakikolwiek stosownie wykształcony nauczyciel z uprawnieniami pracujący w tej szkole. Nasze dyplomy na nikim nie robią wrażenia. A jego koszulki z logo i książka o zarządzaniu? Ludzie łykają to gównem z rozkoszą.

– Musisz coś zrozumieć. Kevin nie pomaga. Nigdy. Nie wierzy w koncepcję pomocy. Jeśli ci daje pieniądze, to dlatego, że chce coś za nie uzyskać.

– Ach, uważasz, że ma jakiś tajny plan? – Calvin nachylił się ku mnie z cierpliwym uśmiechem. – Wybacz, ale zalatuje mi to paranoją. Chce, żeby dzieci przetestowały jakieś oprogramowanie edukacyjne opracowywane przez Crucible. Zapytał mnie o to bez ogródek, a ja odpowiedziałem, że jasne, super, czemu nie. To żadne wielkie halo.

– To wymiana. Nieetyczna.

– Nie, to po prostu dwóch przyjaciół udzielających sobie pomocy. Nie ma w tym nic złego.

– Wykorzystuje dzieci do opracowania nowego produktu. Stręcysz swoich uczniów za naprawę dachu.

– Znajdujemy się w strefie Alei Tornad i naprawdę potrzebujemy sali gimnastycznej z przyzwoitym dachem. W razie czego ta sala gimnastyczna posłuży nam za schron. Więc owszem, dobiłem targu, żeby twoje dziecko było bezpieczne. Nie ma za co. Sumienie mam czyste. Sprzedałbym swoje osocze, gdybym miał go wystarczająco dużo.

Tydzień temu, kiedy to on siedział po drugiej stronie mojego biurka, byliśmy tylko dwójką nieznanym rozmawiających o urazach moszny. Teraz mojemu synowi groziło wywalenie ze szkoły. Miałam wrażenie, że to jakaś rozgrywka na tle osobistym.

– Calvinie, czy to wszystko... Czy to wszystko z powodu tego, co powiedziałaś mi podczas konsultacji? No wiesz, o tej mamie? Powinieneś wiedzieć, że nigdy bym tego nikomu nie zdradziła.

Jego krzesło obrotowe skrzypnęło, kiedy poruszył się nieznacznie.

– Dlaczego w ogóle o tym mówisz? Grozisz mi?

– Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie.

– Jestem prawie pewien, że zgodnie z ustawą HIPAA w tym miejscu nie wolno ci o tym wspominać nawet w rozmowie ze mną.

– Zastanawiałam się po prostu, czy tu chodzi o nas.

Wstał, a ja zrobiłam to samo, chociaż miałam poczucie, że nie omówiliśmy jeszcze wszystkiego.

– Nas? Twoje dziecko zabiło maskotki szkoły. Nie ma o czym więcej gadać – powiedział Calvin.

Widziałam, jak komponuje już nową anegdotę z moim udziałem: typowej matki, która niczego nie rozumie i nie jest w stanie przyjąć do wiadomości, że jej najukochańsze dziecko jest zdolne uczynić cokolwiek złego. Bez wątplenia był posiadaczem ogromnej kolekcji tego rodzaju historii. Dyrektorzy szkół prawdopodobnie przerzucali się nimi za każdym razem, gdy się spotykali, żeby porozmawiać o sprawach zawodowych. Nic z tego, co mogłabym mu powiedzieć, nie zmieniłoby teraz jego oceny. Patrzył, jak podnoszę swoją ogromną torbę. W jego oczach moja wypchana skórzana torba, z której wypadały drobne monety, nawilżane chusteczki i natłuszczająca pomadka do ust, była taka jak cała reszta mnie: irytująco banalna. Wyszłam bez pożegnania.

Jedna z maksym doktora Thada głosiła, że nie trzeba rozwiązywać dużego problemu, jeśli można rozwiązać mały. Umieszczamy gamety razem na szalce Petriego i przestaje mieć znaczenie, dlaczego na wolności nie są w stanie się połączyć. Kogo to obchodzi? Będąc w figlarnym nastroju, doktor Thad kwitował sprawę krótko: ciąża to ciąża. Miałam poczucie, że warto wyciągnąć z tego naukę.

Z piskiem opon wyjechałam z parkingu szkoły podstawowej Davisa, próbując usunąć sprzed oczu obraz kolarskich spodenek Kevina Holtsa. To on był tym dużym problemem. Małym tymczasem była pani Vasquez – wychowawczyni klasy mojego syna, której usunięcie zupełnie mi umknęło. Podejrzywałam, że przechodzi trudne chwile, ale dodające otuchy słowa i odpowiednio dobrane leki powinny ją wyprowadzić na prostą – przy czym prosta była pojęciem względnym – i przygotować do podjęcia na nowo obowiązków. Musiałam się po prostu zorientować, gdzie się zaszyła. „Gdybym była kobietą, której światem właśnie wstrząsnął Calvin Chester, to dokąd bym poszła?” – pomyślałam, dostrzegając ironię tego pytania.

Jechałam ponurymi ulicami jesiennego Ward, mijając rzędy małych domków powiewających świątecznymi ozdobami, ale ich przystrojone wieńcami drzwi nie podsuwały mi żadnych odpowiedzi. „Wszyscy tutaj jesteśmy po prostu super!” – zdawały się chełpić, chociaż tu i tam widziałam podjazdy zarzucone śmieciami, które wyglądały jak skorupy potłuczonych kubków do kawy. Najwyraźniej kibiców drużyny Plainsmen naszła ochota zdewastować to i owo, ale nie byłam w nastroju, by ich osądzać. W końcu ile człowiek może słuchać takiego optymistycznego świergotu, zanim poczuje nieodpartą potrzebę popełnienia jakiegoś drobnego aktu przemocy?

Tym, czego potrzebowałam teraz – i czego potrzebowała pani Vasquez – był

lokal, w którym człowiek mógł wychynąć zza tej radosnej fasady Środkowego Zachodu, równie wszechobecnej jak bluzy z nazwami drużyn futbolowych, i pozwolić sobie na publiczne przeżywanie nieszczęścia. W Ward było w gruncie rzeczy tylko jedno takie miejsce: Stary Czejen.

Monica Vasquez siedziała na jednym z obitych skajem obrotowych stołków, poniżej nadjedzonego przez mole pióropusza wiszącego na kołku wbitym w boazerię. Sądząc z lekkiej ociążałości ruchów, łyknęła już sobie trzy głębsze. Na krześle obok stała torba na zakupy.

– Mogę? – zapytałam.

– Ech – westchnęła, co uznałam za przyzwolenie. Przetawiałam torbę jedno krzesło dalej, dostrzegając opakowanie cienkich, cielistych rajstop, najtańszy test ciężowy i packę na muchy, choć o tej porze roku nie była już potrzebna.

– Jeszcze dwa – rzuciłam do Elspeth, która obsługiwała tego popołudnia, a którą powszechnie uwielbiano za szybkość uwijania się za barem i zupełny brak zainteresowania rozmowami klientów. Teraz postawiła przed nami dwa duże piwa z sokiem pomidorowym, a ja szybko pociągnęłam łyk. – Calvin mi o wszystkim powiedział. – Nie było to subtelne, ale w Monice Vasquez nie było nic, co sugerowałoby potrzebę subtelności. Nosila bluzę ze strachem na wróble, a w uszach dyndały jej malutkie plastikowe dynie.

– W Ward nic się nie ukryje – stwierdziła Monica. Mieszkańcy Ward ciągle to sobie powtarzają. A potem chichoczą. Z jej uszmińkowanych ust wydobył się jednak urywany pijacki szloch. – Nie poczekał nawet do piątku, żeby mnie zwolnić.

– To bezduszne. – Nieoczekiwane zwolnienie w środku tygodnia brzmiało jak zalecenie zaczerpnięte z książki Kevina *Zarządzanie po męsku*. Sama nigdy nie posunęłam się dalej niż do przeczytania tekstów z obwoluty. – Jak to uzasadnić?

– Stwierdził, że po prostu z jego perspektywy ten układ się już nie sprawdza. – Monica otarła oczy rogiem serwetki. – W gruncie rzeczy nie powiedział nic konkretnego. A pani co przekazał?

– Ujmę to w ten sposób: konieczna jest rozmowa z prawnikiem. Dałabym głowę, że to przypadek nieprawidłowego rozwiązania umowy o pracę.

I miałabym odpowiednią osobę.

Wyobraziłam sobie moją siostrę w jej płomiennoczerwonym spodniemie, grillującą Calvina jak kebab na miejscu dla świadka.

– Nie mogę ciągać Cala po sądach – westchnęła Monica. – To by go zabiło.

– Nie sądzę, byśmy się musiały troszczyć o uczucia Calvina.

– Nigdy go pani nie widziała, jak płacze, prawda? To go zupełnie rozbija. Dostaje spazmów. To bardzo wrażliwy mężczyzna.

– Monico, on cię zwolnił.

– Czy to nie zabawne? A mimo to ostatecznie to ja pocieszałam jego. Głaskałam go po włosach jak dziecko. Nie dam rady przechodzić przez to jeszcze raz.

Przycisnęłam palce do skroni w nadziei na natychmiastowe usunięcie tego obrazu sprzed oczu.

– Mogłabyś się odwołać do kuratorium. Niech kurator się z nim użera.

Monica sięgnęła po garść orzeszków chili niezgrabnym, mechanicznym ruchem przywołującym na myśl automat z łapą do wyciągania pluszaków.

– Nauczanie uratowało mi życie. Gdyby Krupka trzy lata temu mnie nie zatrudnił, do tej pory znaleźliby mnie już martwą w jakimś zaułku.

– Martwą w zaułku? – powtórzyłam. Było powszechnie wiadome, że w Ward brakuje nauczycieli, ale nigdy nie podejrzewałam, że dyrektor Krupka szukał pracowników na tak niskich szczeblach drabiny społecznej.

– Zawsze czułam, że można z panią szczerze porozmawiać, pani doktor...

– Rebecca – powiedziałam. Jak zwykle miałam na sobie odzież medyczną, bo tego dnia nie planowałam porannej rundki po barach.

– Rebecca – powtórzyła Monica.

– I nie jestem lekarzem, chociaż faktycznie mam doktorat z mikrobiologii, więc określenie „doktor” nie jest tak do końca niepoprawne. Mów dalej.

– Po tym... po tym, co się stało, trochę mi odbiło. Zrobiłam kilka rzeczy, z których nie jestem dumna.

– Aha – mruknęłam, popijając swoje mętne czerwone piwo. – Na przykład?



– Spaliłam wszystkie swoje T-shirty z Żabą Davisa. Wypisałam się z klubu scrapbookingowego... I... i powiedziałam Charity, naszej przewodniczącej, że tylko daltonistka obramowałaby stronę w kolorach ziemi miętową bordiurą.

– No już, już – uspokajałam ją, podając jej chusteczkę.

– Ale najgorsze jest to, że... wzięłam wszystkie prezenty, które dostałam na Dzień Nauczyciela, i... – Monica strzeliła wzrokiem w kierunku Elspeth, która majstrowała przy jednym ze swoich wielkich, okrągłych kolczyków i kartkowała poprzedni numer czasopisma „Sokolniczka”.

– W ogóle się nie przejmuj – powiedziałam. – O ile to nie ma jakiegoś związku z ptakami.

Mimo to Monica zniżyła głos do szeptu.

– Wzięłam wszystkie prezenty, które dostałam na Dzień Nauczyciela, i wyrzuciłam na podwórka dzieci, które je przyniosły. A teraz wyobrażam sobie, jakie miały miny, kiedy wybiegły dziś rano przed swoje domy i zobaczyły wszystkie te potłuczone kubki i gliniane jabłuszka. I pomyślały sobie: „Pani Vasquez nas nie kocha”.

– Jest takie święto jak Dzień Nauczyciela?

Monica pociągnęła nosem.

– W każdej klasie znajdzie się taka osoba jak ty.

– Kiedy to zrobiłaś? – zapytałam, nie dając się odwieść od tematu.

– Dziś wcześniej rano – odparła Monica. – To mi niesamowicie poprawiło samopoczucie, pani doktor, ale jak tylko wyrzuciłam przez okno samochodu ostatni kubek z napisem „Najlepszy nauczyciel na świecie”, po prostu się załamalam. A teraz piję, żeby zapomnieć.

Ludzie nie piją po to, żeby zapomnieć o tym, co wydarzyło się zaledwie kilka godzin wcześniej. W dziedzinie wyrzutów sumienia Monica była najwyraźniej amatorką. Ale ten akt wandalizmu robił wrażenie i sygnalizował, że może mieć prawdziwy talent do zrywania więzów społecznych i życia na krawędzi, a może nawet poza nią, bo zakładałam, że istnieje jakaś subkultura byłych nauczycieli spod ciemnej gwiazdy, do której mogłaby się przyłączyć. Czas było zaciągnąć ją z powrotem do świata praworządnych obywateli

i zdrowego rozsądku, zanim zapędzi się za daleko.

– To oczywiste, że musiałaś komuś dokopać. Przecież zostałaś głęboko zraniona. niesprawiedliwie skrzywdzona. Dlatego trzeba z tym walczyć.

Monica potrząsnęła głową.

– Cal powiedział coś, co zapadło mi w pamięć. Powiedział: „Monico, daję ci prezent, choć w tym momencie możesz tego jeszcze nie dostrzegać. Mogłabyś spędzić całe lata w tej klasie, krążąc jak zombie między swoim biurkiem a tablicą. Zestarzałybyś się, ucząc dzieci szlaków handlowych Champlaina i La Salle’a, przekonana, że nic więcej cię nie czeka, że takie jest właśnie życie. – Monica zadrżała lekko w swoim kardiganie. – Przyznaję to z obrzydzeniem, ale on ma rację.

Chwyliła swoją szklankę i wychyliła połowę jednym haustem. Zrobiłam to samo. Calvin odmalował ponury obraz i gdybyśmy były przyjaciółkami, być może poklepałabym ją po ręce i życzyła szczęścia w kolejnych przedsięwzięciach.

– Ale, Monico, będzie ci dość trudno znaleźć teraz nową pracę. Całe miasto o tym gada, ludzie snują najdziwsze domysły. Będą patrzeć na ciebie podejrzliwie. – Nie wiedziałam, czy to prawda, ale uznałam to za bezpieczne założenie. Roseanne Vonik została zwolniona z Donut Barn osiem lat temu za przyście do pracy bez stanika, a ciągle wyciągano tę historię, chociaż pod nieprzezroczystą służbową koszulką jej nieduże piersi były niemal niezauważalne, o czym bezskutecznie starała się przekonać swojego kierownika.

– A niech sobie gadają – powiedziała Monica. – Wyjeżdżam stąd. Kto chciałby tu siedzieć?

– Czejeni chcieli – podsunęłam, wystawiając palec w kierunku zakurzonych piór wiszących nam nad głowami. Choć orły tu wciąż szybowały, a rzeki nadal płynęły mniej lub bardziej wartko, sto ileś lat od ostatnich bitew i złamanych traktatów te okolice odwiedzało się tylko przejazdem. Jaka szkoda. – Zostań i walcz przez wzgląd na dzieci!

– Zawsze uważałam dzieci za najgorszy element pracy nauczyciela.

Kończyła już swoje piwo, więc wzięłam potężny łyk, żeby dotrzymać jej kroku.

– Monico, wiesz, kto cię zastąpił?

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało dla niej absolutnie żadnego znaczenia.

– Przykro mi, że to właśnie ja ci o tym mówię, ale Kevin Holts.

– Kevin nie jest nauczycielem – zauważyła Monica.

– No właśnie! – wykrzyknęłam, uderzając pięścią w bar. Elspeth podniosła wzrok znad czasopisma i zmarszczyła brwi.

Zniżyłam głos.

– Nie jest nawet prawdziwym nauczycielem. Rozumiesz przecież, że to zupełnie zmienia postać rzeczy.

– Och, Calvin – powiedziała Monica, rysując serduszko na spotniałej szklance piwa. – Jesteś za dobry, żeby się tutaj marnować.

– Co??

– Wy, ludzie... Wy, rodzice, nie wyobrażacie sobie nawet, co to jest za robota. Długie godziny pracy, samotność, niewyobrażalne przeciwności losu, pani doktor. Pani może sobie tu siedzieć i go krytykować, ale nie wyobraża sobie pani, pod jaką on jest presją.

– Staram ci się po prostu pomóc, Monico – zaprotestowałam.

– Pomóc mi? A gdzie pani była, kiedy potrzebowałam zmywalnych markerów i segregatora z pięcioma przegródkami?

– Tu naprawdę nie chodzi o mnie.

– Ruszam na południe. W samochodzie mam już spakowane torby. Chciałam jeszcze tylko kupić kilka drobiazgów przed wyjazdem. – Monica przełożyła ucho torby z drogerii przez nadgarstek i wstała.

– Na południe – powtórzyłam. To w każdym razie wyjaśniałoby cieliste rajstopy i packę na muchy. – Proszę, nie wyjeżdżaj – powiedziałam, wychodząc za nią na parking. – Możemy to wszystko naprawić. Odzyskamy dla ciebie tę pracę. Od razu zadzwonię do Madge.

– Zobacz. Widać parę unoszącą się z ust?

Dmuchnęła na mnie piwnym oparem.

– Faktycznie – przytaknęłam, zanim zdążyłam się pohamować. Alkohol jest czymś w rodzaju maszyny czasu. Mnie i Monicę ta jedna czy dwie szklanki piwa przeniosły z powrotem do momentu, gdy obie miałyśmy po naście lat. Do końca życia nie uwolnimy się od werbalnych manieryzmów kultywowanych z upodobaniem w szkole średniej. Nigdy nie dzieliła mnie od nich więcej niż lampka chardonnay. Teraz znaki zapytania przyczepiły się do naszych zdań oznajmujących jak kuleczki dzianiny do zmechaconego swetra.

– Nie dam rady spędzić kolejnej zimy w Ward – stwierdziła Monica. Wyraźnie się teraz chwiała. Chwytając równowagę, oparła się dłonią o tylną klapy swojego starego volkswagena rabbita, po czym spojrzała na mnie. – Ale co do Calvina: musisz być ostrożna.

– W jakim sensie ostrożna?

– On zdaje sobie sprawę z tego, że to irracjonalne, ale w jego pojęciu stałaś się symbolem wszystkich wypaczeń współczesnego amerykańskiego rodzicielstwa. Wszystkiego, czemu przeciwstawiają się oddani dyrektorzy szkół: roszczeniowości i braku szacunku. I wiesz co, pani doktor? On ma rację. On naprawdę ma rację.

Zbyłam ją lekceważącym machnięciem ręki. Nie zamierzałam dać się schwytać w pułapkę zamartwiania się uczuciami Calvina.

– W tym stanie nie możesz jechać – powiedziałam, ujmując ją za ramię. – Wejdźmy do środka.

– Prześpię się na tylnym siedzeniu. Jak się obudzę, ruszę na południe.

– No cóż, to rozsądna decyzja – przyznałam. Zostawiłam pochrapującą lekko Monicę na tylnym siedzeniu jej rabbita. Przez chwilę poczułam mimowolne zrozumienie dla Calvina. Jego dni wypełnione były trudnymi kwestiami kadrowymi i rozżłoszczonymi rodzicami. Kobieta, która odpływała właśnie w swoim samochodzie, nie była prawdopodobnie ideałem nauczyciela. Nie zapewniała mu takich wyników, jakich potrzebował. I wtedy pojawił się Kevin: skuteczny, podziwiany i pozornie przy zdrowych zmysłach.

Wszystkim poza mną wydawało się to korzystnym układem.

Oczywiście wróciłam do kliniki w beznadziejnym nastroju. Miałam nadzieję, że zdołam się ukryć w swoim gabinecie i zagrzebać w papierkowej robocie, ale gdy wślizgiwałam się tylnymi drzwiami, wpadłam prosto na doktora Thada.

– Wróciłaś – powiedział, obrzucając mnie niechętnym spojrzeniem. Po dziesięciu latach w Ward luizjański akcent doktora Thada zniknął jedynie częściowo, ale ludzie uznawali go za czarującego. Doktor Thad miał w sobie jakiś teutoński, mgliście alpejski rys, a jego blond włosy i świdrujące niebieskie oczy sprawiały, że wydawał się szczególnie krytycznie nastawiony.

– Zaczynałem się martwić – dodał. Odrobina piwa, która wcześniej wychlapała się z mojej szklanki, pozostawiła na przodzie medycznej bluzy wymowną czerwoną strużkę.

– Miałam coś do załatwienia – wyjaśniłam, przeczesując włosy dłonią i wyłuskując z nich liść, który dyskretnie wcisnęłam do kieszeni spodni.

Doktor Thad zacisnął wargi, jakby ważył słowa.

– Becky... piłaś?

– Odrobinę?

## 6

– Słyszałam, że macie nowego nauczyciela? – zagadnęłam tego wieczoru Mitchella.

Czekałam w kolejce samochodów z bijącym sercem, pewna, że kiedy tylko mój syn usadowi się na siedzeniu, wyleje z siebie opowieść o przekarmionych ropuchach i wszystkim, co się poza tym wydarzyło, odkąd zadzwonił dzwonek na lekcje w cyrku, jakim była szkoła podstawowa Davisa pod rządami Chestera. Tymczasem nadeszła pora kolacji, a Mitchell dalej nie uronił ani słowa na ten temat.

– Nauczyciel na zastępstwo zostaje na stałe. Pan Holts – powiedział Mitchell, nie odwracając głowy. W czwartki jemy grillowane kanapki z serem i oglądamy program przyrodniczy pod tytułem *Seryjni drapieżcy*. Mitchell siedział na podłodze z talerzem na kolanach i śledził przesuwający się przed nim południowoafrykański krajobraz sfilmowany z dachu podskakującego na wybojach jeepa. Zajęty pożeraniem upolowanego guźca lampart spojrzał prosto w obiektyw. Mitchell wypił swoje mleko do ostatniej kropli i wciągnął powietrze przez słomkę. – Mówi, że nie powinienem się przejmować tymi ropuchami.

Czasem, gdy wjeżdżam samochodem na niewysokie wzgórze parkingu, dostrzegam Mitchella, zanim on zobaczy mnie, stojącego na krawężniku z opuszczonymi ramionami i zgarbionego pod ciężarem plecaka. Neutralny wyraz jego twarzy przybierany pod nieobecność innych jest takim samym grymasem, jaki widuję u najcięższych przypadków: pacjentów, którym ubezpieczenie nie pokryje już kolejnych zabiegów i których ostatnia próba zakończyła się niepowodzeniem. To wyraz bardzo dorosłej rezygnacji, a wstrząs wywołany dostrzeżeniem go w rysach dziecka każe mi zawsze ostro przyhamować, jakbym chciała uniknąć zderzenia, chociaż zwykle mam przed

sobą pusto. Tego wieczoru, kiedy napuchłe jesienne słońce chyliło się ku kanałowi na tyłach szkoły, zobaczyłam ten grymas na jego twarzy.

– Właśnie, te żaby... – zaczęłam, mieszając łyżką w kleksie sosu jabłkowego. – Co im się stało?

– Dyrektor Chester rozsypał jedzenie w wiwarium i się przejadły – powiedział Mitchell.

Nie odpowiedziałam. Czekałam, żeby sprawdzić, czy cisza wytrąci go z równowagi. Ale siedział spokojnie, obserwując, jak młody guziec szuka schronienia w zaroślach. Błękitna poświata bijąca z telewizora przydawała jego profilowi anielskiej czystości.

– To dyrektor Chester przekarmił ropuchy?

– Myślę, że nie rozumie płazów.

– Mówisz prawdę, Mitchell?

– Myślę, że tak.

– Myślisz, że tak?

– No, nie było mnie tam. Ale tak powiedział mi pan Holts.

Skłonność do konfabulacji nie była jednym z problemów Mitchella, a raczej jedną z umiejętności, których mu brakowało. Ilu jego problemów można by było uniknąć, gdyby tylko wyznał, że jest mu przykro z powodu wytatuowania swoich kolegów z klasy niezmywalnym markerem za pieniądze, które dostali na lunch, albo że naprawdę chciał pójść na wiec dopingujący i w Dniu Ducha ubrać się na fioletowo w geście solidarności z uczniami LGBT, bo rzeczywiście jest dumny ze swojej szkoły.

– Dyrektor Chester powiedział, że to ty karmiłeś ropuchy.

– To prawda – przytaknął Mitchell, odwracając głowę od guźcowej zagłady, by na mnie spojrzeć. – Ale podałem im tylko zalecaną ilość jedzenia, jest zapisana wyraźnie z tyłu opakowania. Zauważyłem, że większość jedzenia zniknęła, ale nie wiedziałem dlaczego. Nie dawałbym im więcej, gdybym wiedział, że zostały już nakarmione. – Dolna warga zaczęła mu drżeć. – Sądziłem, że im pomagam, mam.

– Wiem, kochanie – powiedziałam. Fakt, iż uwierzyłam choć przez chwilę

w to, że Mitchell mógł z premedytacją zamordować ropuchy, wiele mówił o manipulacyjnych zdolnościach Calvina Chestera i Kevina Holtsa.

– Sądziłem, że im pomagam, a teraz nie żyją.

– Nie smuć się. Te ropuchy były dość głupie. Trzeba wiedzieć, kiedy spasować.

– Pan Holts powiedział, że zabrakło im osobistej odpowiedzialności.

– Chyba miał rację – przyznałam.

– Powiedział też, że mężczyzna nie powinien się mazać przez jakieś płazy, więc już nie będę płakał z tego powodu, okej?

Pomasowałam go po plecach, jak robiłam to kiedyś, kiedy był jeszcze niemowlęciem, a ja próbowałam go uspić.

– Okej.

– Wszyscy mnie obwiniają o śmierć tych ropuch i to nie jest w porządku, ale pan Holts mówi, że nie potrzebuję sympatii swoich kolegów. Muszę się skupić na stawaniu się niezależną jednostką. I to jest wina dyrektora Chestera, ale nie możemy obwiniać dyrektora Chestera, bo on prawdopodobnie w ogóle nie pamięta, co się stało. Było późno, a on sporo wypił.

– Co?

– Był po wpływie upojenia alkoholowego – uściślił Mitchell. Bogate miał słownictwo.

– Twierdzisz, że dyrektor Chester pił w godzinach pracy szkoły?

– Nie, mam! Po szkole. Został do późna w biurze. Pije, bo jest samotny. Czy jesteś samotna, mam? – zapytał Mitchell, patrząc na mój kieliszek wina.

– Pan Holts powiedział ci to wszystko?

Ta rażąca niedyskrecja Kevina była nieprzyjemnym zaskoczeniem. Oparłam się o poduszki kanapy i zamknęłam oczy.

– Mam, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Pan Holts musiał zawieźć dyrektora Chestera do domu i przez cały czas dyrektor Chester się skarżył, że odkąd wszedł w buty dyrektora szkoły, nikt już nie dostrzega w nim mężczyzny. Ale to kłamstwo, mam, on nie ma żadnych specjalnych butów! I powiedział, że



nigdy się nie ożeni i już nigdy, aż do śmierci, nie znajdzie sobie żadnej dziewczyny. A potem zrobiło mu się niedobrze w samochodzie pana Holtsa. Pan Holts jeździ porsche. – Mitchell wziął do ust porcję sałatki. – Ropuchy nie potrafią wymiotować. Więc pan Holts nie był aż tak wściekły, bo gdyby to dyrektor Chester eksplodował, to byłoby znacznie gorzej. Bo on tam ma siedzenia z cielejącej skóry.

– Nie uważam, żeby ze strony pana Holtsa stosowne było omawianie z tobą tego rodzaju kwestii – stwierdziłam. – To sprawy dorosłych.

– Pan Holts powiedział, że dzieci należy traktować bardziej jak dorosłych. Jeśli nie nauczymy się szanować samych siebie, wyrośniemy na pasożyty.

– Pasożyty?

– Masa, która żywi się kosztem nielicznych. To są pasożyty – tłumaczył Mitchell, wycierając resztki keczupu skórką chleba. – Większość dzieciaków z mojej klasy wyrośnie na pasożyty. Czy mogę dostać coś słodkiego?

– Weź sobie kubeczek budyniu czekoladowego – powiedziałam, zmuszając się do uśmiechu niczym mama z telewizyjnej reklamy.

Rozległo się pukanie do zewnętrznych drzwi pełniących funkcję mojego prywatnego wejścia do kliniki. W dni wolne od nauki przemyślałam Mitchella w jedną i w drugą stronę tymi właśnie drzwiami, jako że nasi pacjenci nigdy, pod żadnym pozorem, nie mogli się natknąć na terenie kliniki na dziecko – zwłaszcza moje albo doktora Thada. Było znacznie lepiej, gdy widzieli w nas wyłącznie sojuszników w wojnie z bezpłodnością, a nie zadowolonych z siebie rodziców, którym właściwie jest wszystko jedno. Maryellen, nasza pielęgniarka, przyprowadzała własnego syna, Coopera Zane’a, i to głównymi drzwiami, argumentując, że jest dzieckiem tylko w papierach, bo jak na piętnastolatka jest „wielki jak dorosły chłop”. I pewnie rzeczywiście nie o kimś takim jak C.Z. marzyły kobiety opanowane gorączką macierzyństwa, jak Maryellen określała biologicznie zakorzeniony pęd do reprodukcji własnych genów, kształtujący znaną nam cywilizację ludzką.

– Otworzysz? – zapytała Maryellen, kiedy pukanie się powtórzyło, a ja siedziałam nadal w zamyśleniu, podczas gdy ona trąbiła jakiś napój z puszkii, odbębniając godziny pracy i mając wszystko w nosie.

– A dlaczego ty nie otworzysz?

– Ja? Nie myśl sobie, że podpisanie tych papierów oznacza, że zostałam moim szefem, Rebecca, bo wcale tak nie jest. – Maryellen miała czterdzieści parę lat, ale gdy była poirytowana, nadal potrafiła zarzucić włosami jak nastolatka, co właśnie uczyniła, stawiając w ten sposób rozkołysaną kropkę nad „i” swojej wzdgardy.

– To właśnie to oznacza – odparłam. – Czy mogłabyś zatem otworzyć drzwi?

– No proszę! Tusz jeszcze nie wysechł, a tobie już woda sodowa uderzyła

do głowy – powiedziała Maryellen z westchnieniem, ale ruszyła w kierunku drzwi. Wiedziała doskonale, że to zrobi, bo jest równie niesubordynowana jak wścibska. Z tym że bardziej wścibska.

Niezmordowanym pukającym okazał się Rusty Bandercook, główny woźny szkoły podstawowej Davisa, ten sam Bandercook, który kilka dni wcześniej wylał piwo na swoich dwóch młodszych tłukących się braci. Opinia publiczna żywi przekonanie, że dawcy spermy to uzależnieni od gier wideo nałogowcy w brudnych dresach. Nasi pacjenci z kolei z upodobaniem wierzą w to, że wszyscy dawcy to geniusze bez grosza przy duszy (jakby byli męskim odpowiednikiem studentek opłacających chesne w college’u dzięki chodzeniu do łóżka ze sponsorami). Odpowiadamy na rozmaite potrzeby, więc trzymamy w zapasie i takich, i takich, ale żaden z tych dwóch typów nie reprezentuje „standardowego dawcy”. Trudno powiedzieć, co stanowi o wysokiej jakości dawcy, ale przez lata pracy zdołałam sobie wyrobić odpowiednie wyczucie. Cokolwiek to było, Rusty miał tego na kopy.

– Długo mam czekać? – zapytał Rusty, wchodząc do środka. – Mam tylko siedem minut, a wy marnujecie mój czas.

Przy każdym jego kroku podzwaniały przyłączone do spodni klucze.

– Nie, proszę pana – powiedziała Maryellen. – Spędzi pan swoje siedem minut gdzie indziej i otrzymałam to polecenie wprost od doktora Thada. – Animozje między Bandercookami a rodziną Maryellen sięgały kilku pokoleń wstecz i były głęboko ugruntowane; kiedy przyłapała Rusty’ego na wymykaniu się tylnymi drzwiami z jednym z naszych bardziej wymyślnych świerszczyków upchniętym pod fartuchem, natychmiast pobiegła do doktora Thada.

– A gdzie jego zdaniem powinienem pójść? – zapytał Rusty. Znalazł się na czarnej liście dawców, bo kiedy doktor Thad zorientował się, co się święci, słusznie zapytał, jakie to zastosowanie mielibyśmy mieć dla jego wkładu. „Techniki wspomaganego rozrodu to swego rodzaju sztuka – powiedział doktor Thad, kiedy Maryellen podniosła kwestię Bandercooka na spotkaniu zespołu. – Jesteśmy TWÓRcami pracującymi w materiale ludzkim”. Recepcjonistka i Maryellen nie złapały dowcipu, a ja przewróciłam oczami, kiedy tylko doktor Thad się odwrócił. W realnym świecie Rusty miał całkiem

spore szanse na spłodzenie potomstwa: był nawet przystojny i dość miły. Jak na Bandercooka. Ale na rynku gamet był nikim: niskim człowiekiem rasy białej, niemającym na koncie żadnych imponujących osiągnięć. „Przeciętniak” – jak to określił doktor Thad. Nie było o czym mówić. Sądziłam, że w technikach wspomaganego rozrodu popyt na przeciętność będzie się utrzymywał na stałym poziomie, podobnie jak to się dzieje w naturze, ale okazało się, że byłam w błędzie. Jak przewidział doktor Thad: w ogóle nie ruszyliśmy nasienia zdeponowanego przez Rusty’ego.

– Niech pan chwilę poczeka, panie Rusty – powstrzymałam go. – Czy mogłabyś potwierdzić pacjentkę, która jest zapisana dziś rano na *in vitro*? Zadzwoń do niej, proszę.

Maryellen fuknęła i wyszła z pokoju, zostawiając mnie sam na sam z Rustym.

– Proszę usiąść – powiedziałam. – Musimy porozmawiać.

Zdjął czapeczkę bejsbolową i położył ją sobie na kolanach. Odcisnęła ślad na jego zmierzwionych blond włosach. Było mi przykro, że się pomyliłam, lecz teraz nadszedł czas, by stanąć w obliczu faktów i uwolnić się od Rusty’ego. Delikatnie.

– Pani doktor, moglibyśmy porozmawiać kiedy indziej? Bo zostało mi już tylko sześć minut i o ile nie ma pani jakichś nowych pozycji do czytania...

– Chodzi o to... – zaczęłam. Wedle mojego rozeznania mit, że kobiety ustawiają się w kolejce po spermę Rusty’ego, nikomu nie szkodził, ale wymagał ode mnie przyjęcia jej, opłacenia, a następnie osobistego zutilizowania, jako że nie mieliśmy dla niej absolutnie żadnego zastosowania. – Przez jakiś czas nie będę mogła nic od pana wziąć.

– Skończyło się zapotrzebowanie? – zapytał Rusty. Sprawiał wrażenie dotkniętego, a oczy jakby mu się zaszklily. Na prawym nadgarstku nosił zegarek zapisany mu przez dziadka. Był najlepszym z braci Bandercooków i rodzina wiązała z nim pewne – niestety, niezrealizowane – nadzieje. Tak w każdym razie zakładałam. Nawet ambicje Bandercooków musiały wykraczać poza noszoną przez najzdolniejszego potomka koszulę z napisem „Rusty B.” wyszytym nad kieszonką.

– Niezupełnie.

Zacisnęłam wargi. Rys, który dostrzegłam w nim już przy pierwszym spotkaniu, uwidocznił się teraz w pełni. Z jego twarzy bił smutek pracownika niskiego szczebla, coś, co miało wiele wspólnego ze zmarnowanymi możliwościami. Prawdopodobnie doskwierał mu najmocniej, kiedy po skończonych lekcjach toczył pustymi korytarzami żółte wiadro z mopem albo usuwał stare gumy do żucia przylepione pod blatami ławek. Smętna rezygnacja – to były chyba właściwe słowa, by go opisać. Smętna rezygnacja Rusty’ego dodała mi pewności siebie i pozwoliła popukać go w ramię, gdy przycinał żywopłot ciągnący się wzdłuż budynku szkoły. Mógł wówczas odrzucić moją propozycję, ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że na jego nasienie nie ma popytu. Musiał w to wierzyć. Chociaż, prawdę mówiąc, w całej swojej karierze nie spotkałam mężczyzny podważającego twierdzenie, że na świecie roi się od kobiet chcących nosić jego dziecko, a nawet skłonnych za ten przywilej zapłacić.

– Dobrze się bawiliście na rodzinnym pikniku? Jakies aresztowania?

Rusty wstał i nasadził czapkę na głowę.

– Nie przyszedłem tu na pogaduszki. Jak nie mogę oddać nasienia, to nic tu po mnie.

Z jakiegoś powodu Rusty za mną nie przepadał.

– Jedną chwileczkę. Pochodzi pan z rodziny rolniczej, prawda?

– Rodzice uprawiali ziemię. A jaki to ma związek? – Zdjął czapkę i zmierzwił przyklepane włosy, a potem spróbował je przygładzić, żeby lepiej wyglądały.

– Może pan pamięta, że od czasu do czasu pod wasz dom zajeżdżał cadillakiem urzędnik z agencji rolnictwa, przechadzał się po waszych polach kukurydzy, niemiłosiernie brudził sobie ziemią te swoje lśniące czarne buty, a potem roznosił wam całą tę ziemię po kuchni, kiedy wchodził, żeby wręczyć tacie czek. Czek za to, żebyście nie uprawiali pola.

– Mama i tata uprawiali soję. Kukurydza to przegrana sprawa – sprostował Rusty.

– Wszystko jedno. Więc ja w tym momencie robię to samo. – Otworzyłam torbę i wyjęłam z portfela dwadzieścia dolarów. – Rusty, to jest za nieoddanie nasienia.

– Moja stawka wynosi sześćdziesiąt.

Rusty przesunął banknot z powrotem po biurku w moją stronę.

– To jest stawka za oddanie nasienia. Stawka za odłogowanie wynosi dwadzieścia.

– Nie wydaje mi się to sprawiedliwe – powiedział Rusty, ale schował pieniądze do kieszeni. – Dlaczego pani ze mnie rezygnuje, pani doktor? Spłodziłem za dużo? Bo oceniam, że do tej pory musiałem spłodzić już jakieś dwadzieścia pięć albo trzydzieści dzieciaków. Normalnie mężczyźni ciężko osiągnąć taki wynik. Chyba że jest poligamistą.

– Wie pan, że nie mogę o tym mówić. – Kusilo mnie, żeby powiedzieć Rusty’emu, że gdzieś w Ameryce Środkowej dwadzieścioro siedmioro jego dzieci wydało swój pierwszy krzyk i że z powodu „regulacji branżowych” został wycofany z programu dawstwa, ale nie chciałam podsycać jego ciekawości co do tych rzekomych dzieci. Rusty był w tej kwestii dość sentymentalny, a to zawsze kiepsko rokuje. Określamy to mianem syndromu ojca widmo i do moich obowiązków należy zapobieganie takim sytuacjom.

– Może mi pani przynajmniej powiedzieć, jaki jest limit?

Uśmiechnęłam się kokieteryjnie, nie podnosząc głowy. Nie było żadnego limitu. Ale Rusty tego ode mnie nie usłyszy.

– Absolutnie nie.

Telefon na moim biurku zatrzeszczał i nasza recepcjonistka powiedziała głosem wyrażającym głęboką rozpacz:

– Hayes Bandercook na linii, do pani. Mówi, że to bardzo pilne.

Zanim podjęłam decyzję, co zrobić, Rusty rzucił się do telefonu, podniósł słuchawkę i wybuchnął gorączkowo:

– Bracie, to ja! Co się dzieje? Mów do mnie, Hayes. – Ta poruszająca manifestacja braterskiej miłości trwała jakieś osiemnaście sekund. – Oczywiście, że to ja. Co ja tu robię? To moja sprawa. Powiedziałem, że to

moja sprawa, do cholery. Co takiego pilnego? Och, czyżby? Pierdol się, Hayes.

Klucze na biodrze Rusty'ego brzęknęły, kiedy rzucił słuchawką.

– Dlaczego Hayes tu dzwoni?

Złożyłam dłonie gestem profesjonalistki i wbiłam w niego spojrzenie.

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, nie miałam szansy odebrać telefonu.

– W każdym razie to nie było nic pilnego. Tyle mogę pani powiedzieć. Brzmiało to tak, jakby siedział w klubie Schmitz. – Klub Schmitz był podrzędnym barem w pobliżu autostrady międzystanowej, w którym Hayes spędzał dni wolne od pracy na grze w bilard. – Nie chce pani jego spermy, prawda?

To było podchwytliwe pytanie i postanowiłam zostawić je bez odpowiedzi.

– Nie chce jej pani, proszę mi wierzyć – powiedział Rusty, coraz bardziej podenerwowany. – Jakkolwiek by to mierzyć, ja jestem lepszym wyborem. Pani klientki nie będą zadowolone z Hayesa.

– A to dlaczego? – zapytałam z nadzieją, że mnie zniechęci. Odkąd doktor Thad podstępnie pozbawił mnie mojego kubka kawy, unikałam stacji benzynowej i z rezygnacją ograniczałam się do mikroskopijnych ilości kosztownej kawy serwowanej przez biurowy ekspres. Wciąż tęskniłam jednak za gigantycznymi kubkami lury ze stacji, a wizja Hayesa Bandercooka stała się przez to jedynie bardziej dokuczliwa, niepokojąca i intrygująca. Ten problem przybierał coraz większe rozmiary. – Czy on jest... niebezpieczny?

Rusty prychnął, jakby sam pomysł był bardziej nedorzeczny, niż mogłam to sobie wyobrazić.

– A więc o co chodzi?

Bandercookowie nigdy nie mówią źle o swoich, ale wiedziałam, że Rusty z trudem powstrzymuje się od wylania na głowę swojego młodszego brata wiadra pomyj.

– Jedyne, co mogę powiedzieć o Hayesie: to kompletny pajac.

Rusty odchylił się na krześle i uśmiechnął szeroko, jakby to zamykało

sprawę.

– Rozumiem – powiedziałam. – Wątpię, żebyśmy chcieli ciągnąć ten temat, ale dla porządku: jaki jest jego numer telefonu?

Rusty z niechęcią podał mi numer, a ja zapisałam go w notesie, który zaraz zamknęłam zdecydowanym ruchem. Rusty zmarszczył brwi. Najwyraźniej przeczuwał, że coś się tutaj nie zgadza.

– To ja już chyba pójdę – burknął. Przemierzył pokój i zatrzymał się przy drzwiach. – Kiedy pani powiedziała, że mogę się znowu zgłosić? – Starał się, żeby zabrzmiało to swobodnie, ale nie całkiem mu wyszło.

Popukałam ołówkiem o biurko, zmarszczyłam brwi i zapatrzyłam się w wiszący na przeciwległej ścianie obrazek przedstawiający zroszone tulipany.

– Trudno powiedzieć. W grę wchodzi wiele... zmiennych. Dam znać.

Rusty zastygł, oparty plecami o uchylone drzwi. Zwlekanie z odejściem było do niego całkiem niepodobne. Może domyślał się, że to jego ostatnia wizyta? Zastanowiłam się, czy powinnam mu zaproponować świerszczyki do wyboru w ramach prezentu pożegnalnego.

– Słyszałem coś na pani temat, pani doktor. Ciekaw jestem, czy chciałaby się pani dowiedzieć.

– Tak? – podchwyciłam. Natychmiast pomyślałam o Hayesie, o tym, z czego mógł się zwierzyć swojemu bratu. Ale nawet mnie samej niełatwo było ująć w słowa to, co działo się między nami na stacji benzynowej, gdzie kupowałam kawę, a zapewne miałam znacznie szerszy zasób słownictwa.

– Ten nowy dyrektor. Mówi, że jest pani nieźle szurniętą suką. – Aż mnie zatkało, a Rusty wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. – Pomyślałem, że pewnie chciałaby pani wiedzieć.

– Tak powiedział? Nieźle szurniętą suką?

– No nie. Ale tak to mniej więcej brzmiało. Powiedziałem to własnymi słowami. Miłego dnia.

Przytrzymał sobie czapkę na głowie, stawiając opór nagłemu porywowi wiatru, który wdarł się do środka, jakby ktoś znieacka otworzył drzwi na



oścież, i zdmuchnął mi papiery z biurka.

– Mitchell, czasem musimy zrobić coś, co po prostu należy zrobić, chociaż mamy pewność, że nie sprawi nam to przyjemności – powiedziałam i pokręciłam się niespokojnie na siedzeniu kierowcy. Miałam idealnie niedostosowaną do wygłaszania takich przemówień bieliznę z rodzaju tych, które się ciągle przesuwają, bo nie przeznaczono ich do noszenia, tylko do ściągania, co nie pozostało bez wpływu na moją dykcję. Przemowa zabrzmiała pusto. Kiedy wjeżdżałam na miejsce parkingowe, Mitchell spojrzał na mnie w sposób sugerujący, że gdyby wolno mu było użyć słowa „brednie”, nie zawahałby się ani chwili.

Powłócząc nogami niczym skazaniec prowadzony przed pluton egzekucyjny, wolno niósł prezent urodzinowy w stronę budynku.

– Ruszaj się – powiedziałam głosem godnym klawisza. Pokonaliśmy wejście do dmuchanego, zadaszonego piekła SuperSusów i wkroczyliśmy w strefę przyjęcia urodzinowego kończącego właśnie jedenaście lat Truetta Bossa. Przywitały nas wieża ze zjeżdżalnią, dmuchany zamek do skakania pilnowany przez zielonego dmuchanego smoka, tor przeszkód i ring bokerski o miękkich bandach, a do tego huk pracujących nieprzerwanie dmuchaw, ogłuszających jak silniki odrzutowca. Mitchell i Truett przez wiele lat żywili do siebie urazę. Od przedszkola Mitchella nie zapraszano na przyjęcia urodzinowe Bossa, ale odkąd popołudniami ganiał z Truettem za piłkami tenisowymi, łączące ich stosunki najwyraźniej się zmieniły.

Truett stał w wejściu z przyczepioną do koszulki plaketką „To ja mam dziś urodziny!”, z takim zapamiętaniem studiując plan wyjść ewakuacyjnych z budynku, że aż się zaślinił.

– Wszystkiego najlepszego... Truett? – wyjąkałam. Spojrzał na nas tępo,

a potem odwrócił się do hipnotycznych czerwonych strzałek i wyjść na planie ewakuacyjnym. – Co z nim jest? – wyszeptałam do Mitchella, kiedy ominąwszy Truetta, ruszyliśmy do uginającego się od prezentów stołu, ale mój syn w mgnieniu oka zrzucił buty i wyrwał się w kierunku zjeżdżalni, porzucając rolę opornego męczennika. Z perspektywy piątoklasisty impreza była w pełnym rozkwicie. Dzieci skakały, przepychały się i wrzeszczały na wszystkich dostępnych powierzchniach, a chrześcijańska młodzież ubrana w jednolite koszulki krążyła z gwizdkami po sali, starając się zapobiec urazom głowy, odpracowując godziny wolontariatu i zapewniając możliwość utrzymania niskich kosztów stałych. Kilkoro rodziców, głównie matek, siedziało przy składanym stole, nie odrywając wzroku od swoich smartfonów. Położyłam prezent dla Truetta na stole i ruszyłam do drzwi.

– Becky! – zawołała Madge, stając między mną a wyjściem. – Czekałam na ciebie. Chodź. Jesteś nam potrzebna.

Zawahałam się z kluczykami w dłoni.

– Chyba że masz jakieś inne plany?

– Mam kilka spraw do załatwienia.

Madge zlustrowała mnie, zauważając, że mam na sobie sukienkę, a nie jak zwykle odzież medyczną. Moja siostra potrafi unieść swoje ciemne, cienkie brwi w taki sposób, jakby sugerowała, że zna już wszystkie sekrety, które człowiek próbuje ukryć, i odmowa ich otwartego ujawnienia jest dla obu stron po prostu żenująca.

– Spraw? Wystroiłaś się jak zakompleksiona nastolatka. Co knujesz?

Nie wyobrażałam sobie, bym mogła choćby napomknąć o tym, co knuję, więc bez słowa podążyłam za siostrą przez salę i opadłam na składane krzesło. Madge i Laurel Glass nachyliły się ku mnie przez blat stołu, i to tak blisko, że poczułam zapach ich szamponu. Byłam w pułapce.

– Jesteś lekarką... – zaczęła Laurel.

– Nie do końca. Ona jest doktorem, ale nie takim od leczenia. Ale fakt, zajmuje się medycyną – poprawiła ją Madge.

– Jak by to powiedzieć... Nie dostrzegasz nic nietypowego w zachowaniu

Truetta? – zapytała Laurel teatralnym szeptem, starając się wybić ponad hałas robiony przez dmuchawy i przysuwając swoją poważną, nieumalowaną twarz jeszcze bliżej mojej. Miała na sobie różową flanelową koszulę, a krótkie włosy tak nastroszone na potylicy, jakby ledwie co wstała z łóżka. Wszyscy tutaj wyglądali mniej więcej podobnie i z niechęcią pomyślałam o tym, jak dziwnie, jak podejrzanie muszę się prezentować w zestawieniu z nimi, ze szminką na ustach o dziewiątej, kurczę blade, rano. Założyłam ręce na piersi, chcąc ukryć ewentualny rowek, który mógłby odsłonić mój dekolt.

– Wydaje się trochę... – Urwałam, nie chcąc obmawiać jedenastoletniego dziecka na jego własnych urodzinach, dopóki się nie zorientuję, czy na pewno myślimy o tym samym.

– Jakby miał atak? – zasugerowała Madge.

– Jak zombie? – podsunęła Laurel.

– Bez wątpienia ogromnie zainteresował go plan ewakuacji budynku – powiedziałam. Obie były znacznie bardziej zaprzyjaźnione z Amandą, więc zasady dobrego wychowania nakazywały dać im pierwszeństwo w krytykowaniu jej dziecka.

– Jest hiperskoncentrowany i tyle – uznała Madge. – Jesteś w stanie powiedzieć, na czym on może być?

– Na czym? – powtórzyłam. – Bo ja wiem? Może na lekach przeciwhistaminowych?

– Nie wygłupiaj się, Rebecca. Chodzi o to, co regularnie bierze. Myślę, że Amanda musiała majstrować przy dawkowaniu.

Wzruszyłam ramionami, dając do zrozumienia, że nie mam pojęcia, o czym mówią.

– Musi coś mieszać na własną rękę – zawyrokowała Laurel. – Dostaje recepty od więcej niż jednego lekarza. Na jego A-D-H-D – powiedziała, wyraźnie rozdzielając litery, kiedy zorientowała się, że nie nadążam.

– Ale przecież by tak nie postąpiła, prawda? Przecież to byłoby...

– Nieuczciwe! No właśnie – triumfowała Madge. – Popatrz na naszych synów. – Mitchell i Ethan okładali się wielkimi dmuchanymi rękawicami

bokserkami, a syn Laurel, Braxton, rzucał się głową naprzód na dmuchaną ścianę, padał, po czym powtarzał cały proces. – A teraz spójrz na Truetta. – Chłopiec stał spokojnie na czarnej jak noc wykładzinie przedstawiającej składowe naszego Układu Słonecznego, całkowicie pochłonięty studiowaniem ogona komety. Z dolnej wargi spływała mu strużka lśniącej śliny.

– Jest idealnym dzieckiem – westchnęła Laurel. – W każdym razie musimy się dowiedzieć, co ona mu daje, żeby naszym móc podać to samo.

– Chciałybyście to zrobić swoim synom?

– Zdecydowanie – powiedziała Madge. – Musimy to zrobić, zanim zaczną jeszcze bardziej odstawać od Truetta.

– Och, Madge, nie idź tą drogą.

Moi siostrzeńcy spędzali większość czasu na poszturchiwaniu się i zrzucaniu z wysoka, lecz mimo to koszmarne była sama myśl o tym, że mogliby zostać tak odurzeni.

– Nie każdemu udało się obejść rynek reprodukcyjny, Rebecca. Nasze geny są, jakie są.

– Braxton nie potrafi siedzieć godzinami i wypełniać wszystkich tych krutek testowych – poskarżyła się Laurel. – A jeśli nie dostanie promocji do gimnazjum, Amanda będzie mi to wypominać latami.

– Mitchell nie potrafi wysiedzieć pięciu minut – powiedziałam, przekręcając się dyskretnie na swoim krześle. Moje małe majteczki przesunęły się w bardzo niewygodny sposób i byłam prawie pewna, że koronkowy wzorek odcisnie mi się na skórze mało atrakcyjnymi podrażnieniami.

– Dlatego musimy porozmawiać z Amandą. Nam nie powie, ale tobie owszem. Ze współczucia. Powiedz jej, że musisz wreszcie coś zrobić z Mitchellem i że potrzebujesz jej pomocy. Zrób to od razu, Rebecca.

– Ona jest chrześcijanką – zauważyła Laurel. – Koniecznie spróbuj jakoś do tego nawiązać.

– Mitchell nie ma ADHD – zaproponowałam. Mój syn porzucił swoje rękawice bokserki i miotał się teraz po torze przeszkód, wrzeszcząc

opętańczo.

– Mitchell – stwierdziła Madge z goryczą – jest uzdolniony.

– Ale pozwól, że cię zapytam: jakie on ma oceny? – zaatakowała Laurel.

– Są okej.

Skłamałam, ale nie do końca: niektóre faktycznie były w porządku.

– I myślisz, że te oceny odzwierciedlają jego pełen wrodzony potencjał? – drażzyła Laurel.

– Nie.

– Chcemy tylko, by nasze dzieci osiągnęły wszystko, na co je stać. Tylko że nie są w stanie zrealizować swojego potencjału bez...

– Leków stymulujących?

– No właśnie – dokończyła Laurel. – Więc zrobisz to?

– Spróbuję – westchnęłam. Byłam gotowa zgodzić się na wszystko, byle pozwoliły mi wstać od stołu. Ruszyłam przez salę w kierunku Amandy, dyskretnie poprawiając sobie majtki i wysyłając krótki esemes: „Poczekaj”.

– Tak się cieszę, że w końcu dojrzałaś do tego, żeby coś zrobić – powiedziała Amanda, kiedy wyrecytowałam zgodnie ze skryptem, że chciałabym, żeby wyświadczyła mi niebagatelną chrześcijańską przysługę. – To jest naprawdę banalnie proste. Matt i ja dostrzegamy niesamowitą różnicę, prawda, Matt?

– Co? – mruknął Matt Boss. Pochylony nad telefonem, nie podniósł nawet wzroku. Nosił fryzurę na jeża i bluzę Ward Plainsmen. Kiedyś był czołowym rozgrywającym plainsmenów, a jego romans z Amandą z domu Walpaca rozkwitał niczym wspaniała romantyczna saga w Ward późnych lat dziewięćdziesiątych. Byli, a zdaniem niektórych pozostali, prawdziwie olśniewającą parą. Amanda wzruszyła ramionami, kiedy jej mąż burknął coś znad telefonu, zacięcie przesuwając palcami po ekranie.

– Chodź, pokażę ci. Truett! – zawołała Amanda.

Truett siedział u podnóża zjeżdżalni, obserwując panujący wokół chaos.

– Może cię nie słyszy...? – zaczęłam, choć siła jej matczynego zawołania

mierzona w decybelach była tak wielka, że aż mi zadzwoniło w uszach.

– Co? – zapytał Truett. Powoli obrócił głowę, jakby jej głos dopiero do niego dotarł. Amanda otarła mu zaślinioną brodę urodzinową serwetką.

– Nic, kochanie. Widzisz, jaki jest skoncentrowany? Wszystko chłonie.

– Czy to z powodu leków?

Wskazałam na wilgotną od śliny chusteczkę w jej ręku.

– Och, nadmierne ślinienie się? To nic. To zupełnie normalne – uznała Amanda, gniotąc serwetkę.

– Normalne?

– Normalny efekt uboczny. Ale niech to zostanie między nami, okej? – Uniosła tył koszulki Truetta, pokazując duży, owalny plaster przyklejony w fałdach ciała. – Widzisz? To wszystko. To następna generacja, przełomowe odkrycie. Teraz przebywanie z nim jest prawdziwą przyjemnością.

– On to nosi cały czas?

– Jest możliwość zdejmowania tego po szkole albo w weekendy... Ale wolimy, żeby nie zdejmował. Może powinnaś sprawdzić, czy nie byłabyś w stanie załatwić plastra Phocus dla Mitchella? Im szybciej, tym lepiej.

– Zajmę się tym od razu – obiecałam i wybiegłam.

W motelu Fox można dostać wszelkiej maści farmaceutyki na zamówienie; idąc zatęchłymi korytarzami wyłożonymi odłóżającą ze ścian flokowaną tapetą, wyobraziłam sobie, jak przekazuję tę poufną wskazówkę Laurel i Madge. „Pytajcie o Dużego Johna – powiedziałabym, mając na myśli słynnego rudobrodego dilerka w kombinezonie, który czasem się tutaj melinował. – On się wami zajmie”.

Miejscówka była obrzydliwa, dotkliwie, boleśnie obskurna. Cuchnęła papierosami i mordem – znacznie gorzej, niż się spodziewałam. Nawet Hayes się wzdrygnął na propozycję spotkania tutaj, ale odrzuciłam wszystkie jego kontroferty – Barrelhouse Burger, strzelnicę, park Hiram Warda – upierając się przy najbardziej odrażającym i dyskretnym lokalu w mieście. Zanim otworzyłam drzwi do pokoju 118, pieczołowicie owinęłam gałkę chusteczką.

Hayes Bandercook siedział na krześle w kącie, trzymając się z dala od łóżka – słuszna decyzja, bo niewidoczne armie patogenów maszerowały zapewne całymi szeregami po pikowanej kapie. Wymamrotał coś na powitanie, sprawiając wrażenie zażenowanego, a ja odłożyłam torebkę, nie odpowiadając ani nie przepraszając za spóźnienie. Poczekał i oto przyszedłam. Od spotkania w parku myślałam o nim codziennie, a dwa czy trzy razy nawet o nim śniłam – dziwaczne, pokręcone sny, z których budziłam się bladym świtem, czując mdłości i dojmujące pragnienie.

– Dlaczego... – zaczął Hayes swoim niskim, sennym głosem.

– Nie teraz. – Im mniej mówiliśmy, tym lepiej. Hayes lubił sobie pogadać, ale to nie była jedna z jego najlepiej rozwiniętych umiejętności. Miał na nogach brązowe, ubłocone buty robocze, ale nie włożył kombinezonu, tylko zapinaną na guziki koszulę i nieumiejętnie wyprasowane spodnie. Nawet potargane zwykle włosy zaczesał do tyłu. Wyglądał jak dziecko, które niechętnie wcisnęło się w odświętny strój do kościoła, a ja zastanowiłam się, czy w jakimś sensie nie uważał tego za randkę. Krótkie brązowe zasłony za jego głową wpuszczały bardzo niewiele światła, więc zapaliłam jedyną w pokoju lampę. Wydawał się zaskoczony, ale chciałam wyraźnie widzieć, co robię, mając nadzieję, że odbierze mi to ochotę na jakąkolwiek powtórkę.

Podeszłam i usiadłam mu okrakiem na kolanach. Sukienka podjechała mi na biodra. Przez chwilę żadne z nas się nie ruszało. Dolna warga mu drgnęła, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamilczał. Chwycił rąbek sukienki i zaczął mi ją zdejmować przez głowę. Wciągnął głośno powietrze, kiedy zobaczył, co założyłam – stanik, który kupiłam, nie przyznając się sama przed sobą, po co to robię, z rodzaju tych, które wypychają do góry każdy gram piersi, przywołując na myśl tamę, która się zaraz przeleje, i małeńkie stringi z każdym krokiem coraz mocniej wrzynające mi się w rowek między pośladkami. Nie widziałam jego twarzy, bo głowa utkwiała w moim dekolcie. Zapomniał mi rozpiąć guziki. Szarpnęłam tkaninę, a Hayes zaczął przy nich majstrować.

Znałam go od lat. A w każdym razie byłam świadoma jego istnienia. Najłatwiej było go zobaczyć po burzy, kiedy wdrapywał się na słupy i naprawiał zerwane linie. Przejeżdżałam obok, nie podnosząc na niego



wzroku, i przechodziłam bez słowa przywitania. Gdziekolwiek się na niego natknęłam, całkowicie go ignorowałam, i to przez cały rok, mgliście jedynie uświadamiając sobie jego zainteresowanie. A teraz pragnęłam go w tak przedziwny, nieopanowany sposób.

Ręce mi drżały – nie potrafiłam się do niego dobrać wystarczająco szybko. Przesunął się na krzesło, by pozwolić mi rozpiąć sobie guzik i zamek od spodni, ale poza tym nie zrobił nic, żeby mi ułatwić pozbawienie go ubrań. Ściągnęłam i zsunęłam z niego wszystko po kolei, a kiedy skończyłam, dotarło do mnie, że zapalenie lampy było błędem.

Hayes miał mięśnie, które nigdy nie chodziły do college'u. Nie miksował sobie białkowych koktajli w blenderze i nie wystękiwał tysiąca powtórzeń na siłowni. Był krzepki i muskularny w sposób, który budził pragnienie gładzenia go bez końca, choć nigdy nie słyszałam, by jakkolwiek kobieta przyznała się do takich predylekcji. Przygryzłam wargę. Od patrzenia i dotykania go jednocześnie zakręciło mi się w głowie, a przy tym ogarnęła mnie desperacja kogoś, kto dopala cudze kiepy i w środku nocy puka do drzwi Dużego Johna, błagając o działkę. Hayes ledwie mnie dotknął – zatknął kciuk za gumkę moich majteczek i po trochu zaczął mi je zsuwać, jakby zupełnie nie było powodu do pośpiechu. Ściągnęłam je obiema rękami, na moment wstając z krzesła i natychmiast siadając na nim z powrotem. Spodziewałam się, że w jego oczach zobaczę rozbawienie albo zadowolenie z siebie, ale była w nich tylko czujna nieufność, jakby nie potrafił uwierzyć, że naprawdę jestem z nim tu, w motelu Fox, i że siedzę z powrotem na krzesle, liżąc go po szyi jak źle wychowany pies.

Nieufność nie obejmowała szorstkich dłoni Hayesa, umiejętnie przesuwających się po mojej skórze.

– Bandercook – wyszeptałam, chwytając się oparcia krzesła i poruszając rytmicznie. Tylko dzielący nas cienki skrawek lateksu, który mógł się zsunąć lub pęknąć w każdej chwili, był w stanie powstrzymać kolejnych Bandercooków od pojawienia się na tym świecie. – Bandercook – powiedziałam głośniej.

– Proszę – odparł, ściskając mi biodra tak mocno, że byłam pewna, że ślady

jego palców będę oglądać jeszcze przez kilka dni. – Mów... mi... Hayes!

Wzięłam prysznic, stojąc na myjce w nadziei, że tym sposobem nie złapię grzybicy, co po tym wszystkim, na co się narażałam, wydawało się zbędne. Kiedy wyszłam owinięta w cienki motelowy ręcznik, Hayes siedział na brzegu łóżka i wiązał buty.

– No cóż... – zaczął, patrząc na mnie, ale nie skończył myśli, jeśli w ogóle jakąś miał. Nie było o czym mówić. Wydawało się czystym szaleństwem, że przetrwanie naszego gatunku było tak ściśle uzależnione od dziwaczного systemu pragnień i popędów. W dziedzinie reprodukcji karty rozdawane były przez najbardziej nieracjonalne i impulsywne części naszej natury, ale teraz dysponowaliśmy przynajmniej techniką pozwalającą pokrzyżować naturze plany. Miliony lat ewolucji umieściły mnie w podrzędnym motelu z Hayesem Bandercookiem i wyglądało na to, że żadne z nas nie potrafi wyjaśnić, jak do tego doszło. Ogólnie rzecz biorąc: uznałam, że te sprawy załatwia się znacznie lepiej w laboratorium.

– To było... Nie możemy tego powtórzyć – powiedziałam.

– Jasna sprawa – odparł Hayes, obserwując kroplę wody spływającą po mojej nodze na wykładzinę. Zadrżałam. Po wyjściu spod prysznic pokój wydawał się chłodny. Odsunęłam się na bok, by przepuścić go do drzwi. To, co zaczęło się w parku, osiągnęło swój... naturalny? nieunikniony? groteskowy? finał i teraz był czas wrócić do rzeczywistości i o wszystkim zapomnieć. Wydawało się, że Hayes sądzi podobnie. Próbowałam nie czuć się urażona, kiedy podszedł do drzwi i wyciągnąwszy z kieszeni grubą roboczą rękawicę, nasunął ją na dłoń i dotknął gałki.

– Do widzenia – powiedziałam. Hayes odwrócił się, chwycił mnie wpół i przerzucił sobie przez ramię jak neandertalczyk. Przeniósł mnie przez mały pokój, rzucił na brudną kapę, gdzie hordy niewidzialnych mikrobów parzyły się bezrozumnie, i rozsunął mój ręcznik. Zdjął rękawiczkę i uśmiechnął się do mnie. Otworzyłam usta, gotowa powiedzieć mu, żeby nawet o tym nie myślał.

– Jeszcze raz? – zapytał, przesuwając kciukiem w górę po moim udzie. Pochylił się, żeby mnie pocałować, a ja zaplotłam mu palce na szyi

i pociągnęłam go na siebie.

– Hayes – westchnęłam.

Końcówki włosów miałam jeszcze wilgotne, kiedy piętnaście minut spóźniona odbierałam Mitchella. Stał na parkingu z Madge i swoimi kuzynami i czekał na mnie.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Nic się nie stało! – odparła Madge pogodnie, ale było to tylko przedstawienie odgrywane na potrzeby dzieci. – Co się z tobą dzieje? – wyszeptała mi do ucha. – Nie zdradzisz mi sekretu?

– Nie ma żadnych sekretów. Po prostu straciłam poczucie czasu.

– Wyglądasz na kogoś, kto gotów jest pozełgować za krawędź świata. Rozpoznaję te symptomy – stwierdziła Madge.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie wyznać jej, gdzie byłam i z kim. Madge pozwoliłaby sobie na uszczypliwość – na którą zasługiwałam – ale okazałaby mi współczucie. Zabrałaby mnie do domu, wygoniła chłopaków, żeby pokopali piłkę na podwórku, usadziła w kuchni i wyciągnęła ze mnie wszystkie detale mojego związku. Skręciło mnie już na samą myśl o namacalnym cudzysłowie, w którym umieściłaby słowo „związek”. Początkowo bym się buntowała, ale kiedy wyliczyłaby mi wszystkie powody, dla których Hayes czy jakikolwiek inny Bandercook jest dla mnie absolutnie nieodpowiedni, odzyskałabym ostrość spojrzenia. Zgodziłabym się spotkać z nudnym, rozwiedzionym menedżerem średniego szczebla, o którym opowiadała mi od miesiący, jakimś Bradem, Bryanem czy jak mu tam. Może by zaiskrzyło. Może po upływie miesiący czy nawet lat Brad czy tam Bryan i ja zaczęlibyśmy kłaść fundamenty pod solidną, dojrzałą relację. W końcu może byśmy się nawet pobrali w trakcie niewielkiej cywilnej ceremonii, na którą Mitchell założyłby wypożyczony smoking. Spędzalibyśmy sobotnie poranki na czytaniu czasopism i popijaniu kawy z zaparzacza tłokowego. Zemdliło mnie na samą myśl. Spojrzałam Madge prosto w oczy i zdobyłam się na święte oburzenie nałogowego łgarza.

– Marjorie, wszystko jest absolutnie pod kontrolą. Po prostu straciłam

poczucie czasu.

– W porządku. Chryste – ucięła Madge.

Madge zarzekała się, że prowadzenie zebrania rady rodziców to bułka z masłem, ale atmosfera w bibliotecznej sali konferencyjnej była wyjątkowo ciężka. Pierwszy raz podjęłam się czegokolwiek w szkole Davisa i wielu było takich, którzy uważali, że nie zasługuję na pełnienie kierowniczej funkcji. Rozzalenie innych rodziców było wprost wyczuwalne. Ale Madge uwikłała się w wybieranie ławy przysięgłych w Nee County i poprosiła mnie o przejęcie zbiórki żywności, i to w ostatniej chwili, „bo przecież mam wszystko pod kontrolą”.

– Dziękuję wam wszystkim za pojawienie się na tej odsiadce... – zaczęłam, zdejmując celofan z tacki pokrojonych surowych warzyw, które kupiłam w supermarkecie, sięgnąwszy do chłodziarki z przecenionymi produktami do szybkiego spożycia.

– Odsiadkę to można odbywać w więzieniu – powiedziała matka dziecka z oddziału przedszkolnego. Miała włosy związane w arogancki kucyk i przyciągnęła ze sobą aktówkę na kółkach, ale teraz zaczerwieniła się i rozejrzała po innych rodzicach, szukając w nich wsparcia, jakby odezwała się poza kolejnością.

– Chodziło mi po prostu o nieformalne spotkanie – wyjaśniłam. W celu zwołania formalnego spotkania rady rodziców należało porozumieć się z Bev i wpisać je do oficjalnego kalendarza, ale obecnie trzymałam się z dala od sekretariatu szkoły.

– Caitlin ma rację – odezwał się pastor Dan, poklepując uspokajająco wymanikiowaną dłoń Caitlin. – Odsiadka kojarzy się ze światem przestępczym. A raczej nie chcielibyśmy utrwałać takich skojarzeń.

Pastor Dan Eubanks był przewodniczącym trójki klasowej w piątej klasie

i ojcem dziesięcioletnich trojaczków, jego „małych cudów”. Nie powiem, że znam pastora Dana z pracy, no ale proszę: trojaczki?

– Może po prostu zacznijmy – powiedziałam, kiwając dłonią w stronę ściany, na której cienka igła wskazówki sekundowej obracała się bezgłośnie wokół tarczy zegara. Mieliśmy zaledwie piętnaście uzgodnionych minut na dogadanie wszystkiego. – Zbiórka żywności. To dość prosty projekt. – Wcale nie miałam pewności, czy tak faktycznie jest. Zbiórka żywności była kluczowym projektem rady rodziców, a Madge ostrzegła mnie, że z perspektywy logistycznej to „koszmar w konserwach”.

– Poczekaj – wyszeptała Caitlin, wskazując na pastora Dana. Ten opuścił głowę, splótł dłonie i wydawał się kontemplować jeden z kołeczków, na które zapinał się jego robiony na drutach kardigan. Po chwili uniósł głowę i wziął z tacki pobłogosławionego pomidorka. Zostało nam dziewięć minut.

– A więc – zaczęłam jeszcze raz, klasnąwszy w dłonie – zbiórka żywności.

– Czy mógłbym się wtrącić? – przerwał mi pastor Dan. – Rodzina Eubanks zawsze do tej pory wspierała zbiórkę żywności, ale w tym roku... Nie wiem. Jakoś w tym roku nie czuję zapachu.

To była fatalna wiadomość. Pastor Dan był nie tylko jedynym ojcem wybranym na przewodniczącego trójki klasowej, ale również, jak mówił, prawdziwym „pasterzem ludzkich serc”, nie wspominając już o portfelach. Jeśli pastor Dan się wycofa, naszą zbiórkę diabli wezmą.

– Nie czujesz zapachu? Jak mam to rozumieć? – zapytałam. Dan Eubanks tryskał zwykle szczerym entuzjazmem, roztaczając wokół siebie zapach lakieru do włosów Player; można się było spierać, czy to najlepszy pomysł, ale dzięki niemu jego faliste włosy wyglądały zawsze nienagannie. Znakomity sobie wybrał moment, żeby doświadczyć wypalenia.

– Robimy to co roku – powiedziała Amanda, nadgryzając brązowiejący słupek selera. – Urabiamy się po łokcie, zbierając jedzenie dla potrzebujących. A w kolejnym roku szkolnym co się dzieje? Cała zabawa zaczyna się od początku.

– No, tak właśnie jest – zgodziłam się ostrożnie.

– Pozwolisz, że ujmę to w ten sposób – wtrącił pastor Dan. – Jeśli nawet przytaszczę cały worek fasoli w puszcze, co się tak naprawdę zmieni? Poza tym bieda, z którą się tutaj stykamy, jest niczym, naprawdę niczym, w porównaniu z tym, co zobaczyliśmy w Gwatemali podczas naszej wiosennej podróży misyjnej. – Wymówił słowo „Gwatemala” przesadnie gardłowo, jak podstarzały palacz odkrztuszający flegmę.

– A zatem gotów jesteś przekazać swoje puszeki tylko najbiedniejszej osobie na świecie? O to chodzi? – zapytałam.

– Myślę po prostu, że muszą być spełnione jakieś kryteria nędzy, zanim zdecydujemy się przekierować zasoby w tę, a nie w inną stronę. *Campesinos* na wzgórzach Gwatemali bez wahania zamieniliby się z naszymi biednymi na miejsca. Nie mam co do tego wątpliwości. Natomiast według standardów globalnych tutejsi ludzie zupełnie odjechali. Kompletnie.

– A zatem albo znajdziemy jakiś sposób, by wyekspediować fasolkę po bretońsku i parówki w sosie pomidorowym na wzgórze Gwatemali, albo będziemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż któryś z miejscowych popadnie w biedę porównywalną do nędzy amerykańskiego *campesino*. I wtedy, i tylko wtedy, podejmiemy działania. Czy takie jest twoje stanowisko?

– Nie skomentuję sarkazmu, ale nie zmienia to istoty sprawy, Rebecca. Ostatecznie jest to kwestia sumienia. Któregoś dnia rozmawiałem o tym z dziećmi przy kolacji i one zupełnie zmieniły moje spojrzenie na te sprawy.

– Twoje dzieci? – zdziwiłam się. Trojaczki Eubanks były fotogenicznymi bywalcami obozów biblijnych, ale ostatecznie to zaledwie dziesięciolatki.

– Aby oddać sprawiedliwość, było to coś, co usłyszały od swojego nauczyciela, Kevina Holtsa.

– Uszy mnie pieką – powiedział Kevin, opierając się o framugę. Czas zebrania poświęcił na wykonywanie ćwiczeń kalistenicznych w bibliotece. Gdzieś pomiędzy kolejnymi przysiadami i pompkami musiał nas usłyszeć.

Dan Eubanks wstał i uściśnął mu dłoń.

– Panie Holts, ci dobrzy ludzie są gotowi zaangażować się w zbiórkę żywności.

– Namawiam was do tego, żebyście to jeszcze przemyśleli. Pomyślcie tylko: jaki przekaz serwujemy dzieciom, kiedy mówimy im, żeby przyniosły puszki, żeby poszły do własnej spiżarni i przekazały własne jedzenie ludziom, których nawet nie znają? Co im w ten sposób mówimy? Mówimy: „Jesteś tu, by służyć innym. Sam nie masz absolutnie żadnych praw. Zero”. – Wyrysował w powietrzu okrąg, by jego subtelny cyfrowy przekaz lepiej do nas dotarł.

– Ale my tego wcale nie mówimy. Uznajemy po prostu fakt, że niektórzy ludzie mają mnóstwo jedzenia, podczas gdy inni są głodni – sprostowałam.

Kevin wyrzucił ręce w powietrze i pozwolił im bezwładnie opaść.

– Tak to się zaczyna. Wymuszona redystrybucja majątku.

– To tylko jedzenie w puszkach, Kevin. Nie proklamujemy końca kapitalizmu.

– Tu nie chodzi o puszki. Tu chodzi o sam altruizm. O to, czy te dzieci mają prawo istnieć bez przekazywania głodnym konserwowego jedzenia, czy też go nie mają. Wy im mówicie, że go nie mają. Żądacie od nich, by kupowały swoje życie, puszka po puszcze, od jakiegoś włączęgi czy pracownika na godziny, któremu nogi się płaczą i w brzuchu burczy. A ja mówię dość! – Kevin uderzył zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń.

– Nie wspominając o tym – dodała Caitlin – że warto się zastanowić, czy naprawdę jest to najlepszy sposób wykorzystania zasobów naszej społeczności. W końcu budżet szkoły cały czas jest dość napięty. Może powinniśmy skierować swoje współczucie do wewnątrz, gdzie może przynieść najwięcej korzyści nam?

– Otóż to! – poparł ją Kevin.

– Wnoszę, żebyśmy rozważyli całkowitą rezygnację ze zbiórki żywności – powiedział pastor Dan.

– Nie możemy zrezygnować ze zbiórki żywności – zaproponowałam.

– Kto jest za?

– Wniosek przegłosowany – uznała Amanda Boss, a następnie wskazała marchewką na zegar. – Czas minął. Spotykamy się w przyszłym tygodniu?

– Tak – przytaknęłam.



– Ale po co? – zaprotestował pastor Dan. – Właśnie w drodze głosowania zrezygnowaliśmy ze zbiórki żywności. Wnoszę, żebyśmy się zebrali ponownie w sierpniu, na początku kolejnego roku szkolnego. Kto jest za?

Siedziałam z obiema rękami mocno przyciśniętymi do tułowia, ale wniosek i tak przeszedł. Wszystkim wychodzącym Kevin Holts przybijał w drzwiach piątkę. Stał, czekając na mnie, ostatnią wychodzącą, z uniesioną w powietrzu dłonią.

– Zapomnij – burknęłam.

– Daj spokój, Rebecca. Przegrywać też trzeba z godnością. To była demokracja w działaniu.

– To byłś ty w działaniu. – Nie było takiej sytuacji, choćby nie wiadomo jak trudnej, która nie stałaby się jeszcze trudniejsza, kiedy wtrącił się do niej Kevin. Wystarczyła drobna zachęta z jego strony, żeby ludzie znajdowali w sobie gotowość dania upustu najgorszym instynktom. Sama temu kiedyś uległam. – Czy możemy o tym porozmawiać?

– W mojej klasie za piętnaście minut – powiedział Kevin.

Kevin opierał się o drzwi swojej klasy, kartkując grubą książkę w miękkiej okładce.

– Meer. Nie nosisz identyfikatora gościa?

Przemknęłam po schodach do sali 304, nie wpisując się do książki gości. Z bliska można było dostrzec, że Kevin ma jasnorude rzęsy, co tak wytręcało mnie z równowagi, że zaczynałam się trochę jąkać.

– Żartuję. Żaden szanujący się dorosły nie powinien się podporządkowywać durnym zarządzeniom Cala. Postąpiłbym tak samo.

– Niepokoję się trochę o dyrektora Chestera. Mitchell mówi, że on pije.

Kevin wzruszył ramionami.

– Facet jest całkiem w porządku jak na marionetkę. Ale ty... Czy ty próbujesz spieprzyć swojemu synowi życie?

– Oczywiście, że nie – powiedziałam, chociaż pytanie było prawdopodobnie retoryczne.

– No to dlaczego poszłaś z Calvinem na noże? Cokolwiek mu zrobiłaś, zdecydowanie nie przysłużyłaś się swojemu synowi. Mitchell znalazł się na celowniku. – Kevin zmienił nieco pozycję i ponownie oparł się o drzwi. Bardzo dobitnie nie zapraszał mnie do środka. – A szkoda, bo Mitch nie jest przeciętnikiem. To naprawdę wszechstronnie utalentowany, wspaniały dzieciak.

– Uważasz, że Mitchell jest wspaniałym dzieciakiem? – zapytałam.

– Takie dzieci jak Mitchell są powodem, dla którego zaangażowałam się w nauczanie. Są potwierdzeniem zasadności całej mojej pracy zawodowej.

– Zaczęłaś uczyć miesiąc temu – przypominałam, ale bez złośliwości, bo ku własnemu przerażeniu i zgrozie Kevina wybuchłam płaczem. Żaden z nauczycieli Mitchella nigdy go nie pochwalił.

– No i już potop. Powinnaś nosić tabliczkę z napisem „Uwaga, wysokie napięcie”, Meer – stwierdził Kevin.

– Przepraszam – wydukałam, ocierając oczy i próbując wziąć się w garść. – Chodzi po prostu o to, że nauczyciele Mitchella zwykle go nie lubią.

– To jakaś bzdura, przecież ten dzieciak jest naprawdę wyjątkowy, i to nie w zdeprecjonowanym sensie tego słowa.

To już było za wiele. Ścisnęło mnie w gardle, ale przygryzłam wargę i z wysiłkiem przywołałam obraz sączącego oczyszczający jelita koktajl Kevina w obcisłym stroju do triathlonu – dławienie minęło. Kevin znów otworzył czytaną książkę i zaczął kartkować strony, nie chcąc dłużej obcować z moimi emocjami.

– Wyszedłeś, żeby poczytać powieść? – zapytałam, kiedy już zyskałam pewność, że głos mnie nie zawiedzie.

– To nie powieść. To podręcznik nauczyciela. Wszystko, co muszę wiedzieć, zawarte jest na tych stronach.

Zaprezentował mi okładkę.

– Ale to przecież *Atlas zbuntowany*.

– Nie pomyliłaś się.

– To fikcja literacka.

– A ja jestem prawie pewien, że nie, Rebecca. Jasne, nazwiska zostały zmienione, by chronić tożsamość bohaterów, ale cały ten bajzel naprawdę się wydarzył. Ta książka kopie dupę.

– Przeczytałeś ją od deski do deski?

– Przeczytałem wystarczająco dużo, by złapać przekaz. Zmieniła moje życie.

– Ta część, którą przeczytałeś.

Kevin skinął głową.

– Słuchaj, nie chciałbym się w to zanadto wgłębiać na terenie szkoły, ale chcę, żebyś wiedziała... Niektórych rzeczy z mojego życia żałuję.

Zmusiłam się, by na niego spojrzeć. Jasne rzęsy, koszulka polo z napisem „Crucible”, nawet sposób, w jaki się garbił, by objąć mnie z góry swoim nieprzeniknionym spojrzeniem – wszystko to wznieciło we mnie tak wybuchową mieszankę wstydu, żalu i zagubienia, że przez chwilę sądziłam, iż dalsze zachowywanie się w sposób cywilizowany okaże się fizycznie niemożliwe.

– Ja żałuję wszystkiego.

– Wow. Wszystkiego? Czy tylko konsekwencji? – Mrugał szybko, celując we mnie palcem, jakbym była nierozgarniętym studentem uczestniczącym w jednym z tych jego szkoleń dla młodych przedsiębiorców, który przypadkiem zauważył coś istotnego. Właśnie tak to zapamiętałam. Żadna rozmowa z Kevinem nie była nigdy łatwa ani prosta, wszystko musiał rozebrać na czynniki pierwsze. Miałam poczucie, że mniej przykre byłoby rozkwaszenie sobie palca młotkiem niż ciągnięcie tej wymiany zdań, ale w tym momencie nie miałam alternatywy.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, jakie to jest dla mnie trudne – powiedziałam.

Kiedy wszystko legło w gruzach, kiedy nasz krótki i dziwny „związek” dobiegł końca, wykonałam kilka pożałowania godnych telefonów. To, co nagrałam mu na pocztę głosowej, kiedy stało się jasne, że nie odbierze... Miałam nadzieję, że po prostu wykasował te wiadomości bez odsłuchiwania. Ale po jakimś czasie odebrał i powiedział mi, żebym już nie dzwoniła, a w jego głosie było zimne zdecydowanie, zwykle rezerwowane przez ludzi

dla telemarketerów. Przypominanie sobie tego było upokarzające.

– Rozumiem to – odparł Kevin. – Postaram się mówić zwięźle. Jeśli chodzi o Mitchella, to teraz, kiedy spędziłem z nim trochę czasu...

– Trochę czasu? – przerwałam.

– Niezbyt wiele czasu, to prawda. Chodzi o to, że sklasyfikowałem go MindMappem.

– Co to znaczy?

– To taki program rozwijany przez Crucible, i jasne, jest jeszcze w wersji beta, ale koncepcja jest taka: program optymalizuje wyniki kształcenia, budując komputerowy model mózgu każdego ucznia w taki sposób, by przekaz mógł być kierowany z wykorzystaniem preferowanych trybów poznania.

– Brzmi jak kuracja grzybkiem tybetańskim w wersji cyfrowej.

– Słuchaj, chodzi o to, że on jest w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach taki jak ja. Mamy zasadniczo taki sam mózg. No i teraz tak: jasne, to może być przypadek, ale najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest takie, że jednak nie.

– Może twój program jest wadliwy? – podsunęłam.

– Słusznie. To możliwe. To znaczy wierzę w zespół, który nad nim pracuje, ale być może zostały tam jakieś fragmenty nieprawidłowego kodu. Nawet na pewno. Dlatego go testujemy.

– Miło było cię zobaczyć, Kevinie.

– Poczekaj, proszę. Trochę późno na prowadzenie tej rozmowy. To kiepsko o mnie świadczy, czego jestem absolutnie świadomy. – Sprawiał wrażenie, jakby miał nadzieję, że podejmę temat, ale zmilczałam. – Chryste, ależ to niezręczna sytuacja. Ale nie ma możliwości... Ten twój dzieciak... To nie jest moje dziecko, prawda? – wyjąkał.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby się jąkał, choć wspominała o tym jego miejscowa legenda. Była to jedna z wielu przeszkód, które przewyciężył na drodze do chwały. Wyleczył się całkowicie własnym staraniem, postanawiając po prostu pozbyć się tej dolegliwości. Tak w każdym razie mówiono.

– Oczywiście, że nie – powiedziałam. Gapiłam się na niego, jakby był

potencjalnie niebezpiecznym świrem, a on się spłonił po same uszy.

– Okej, jasna sprawa. – Zauważyłam, że nie zmienił pozycji, i to, co początkowo wzięłam za swobodne oparcie się o drzwi, było w istocie dociskaniem ich całym ciężarem ciała, żeby się nie otwarły. Usłyszałam dobiegające z klasy zduszone okrzyki. – W środku są dzieci, rozwiązują pewne problemy. Prawdopodobnie powinienem się nimi zająć.

Kevin otworzył drzwi i na korytarz wypadła mała dziewczynka w kasku rowerowym, lądując brzuchem na kafelkach.

– Z powrotem do środka, Emmo T. W sali 304 nie uciekamy od problemów.

Pojawiły się dwie pary rąk, każda złapała jedną z kostek Emmy T. i wciągnęła ją z powrotem do klasy.

– Dobra robota – pochwalił Kevin, wchodząc do środka. Głośno klasnął w dłonie i w sali zrobiło się cicho. – No dobrze, na czym stanęliśmy?

– Siedmiu w ciemnościach na zewnątrz, dziesięciu niewolników płacy minimalnej i pięciu przemysłowców – powiedział Mitchell. – Cześć, mammo. – Miał na sobie hełm i był uzbrojony w piankowy miecz.

– Świetną robotę wykonałyście z samego rana, dzieciaki. Możecie być z siebie dumne. A teraz rzućcie broń i wyciągnijcie podręczniki do nauki języka. Chciałbym, żebyście przeczytały w ciszy rozdział czwarty, a ja tymczasem sprawdzę, co się dzieje na rynkach finansowych. Och, a jeśli chodzi o tych z was, którzy znaleźli się w ciemnościach na zewnątrz – przypomniał sobie Kevin, podnosząc nieco głos – pracujcie dalej ze swoimi podręcznikami przygotowującymi do testów. Kiedy będziecie gotowi na to wyzwanie, możecie zadzwonić dzwonkiem.

– Czym są ciemności na zewnątrz? – wyszeptałam, bo w klasie zapadła już cisza, przerywana jedynie szelestem przewracanych stron i klikaniem klawiatury Kevina, przeprowadzającego serię szybkich transakcji na rynku akcji.

– Ci, którzy nie są w stanie przejść tekstu Cleaver, siedzą w szatni.

Dzieci siedziały rzędkiem w wąskim, słabo oświetlonym pomieszczeniu i przerabiały kolejne testy, a czubki ich główek ocierały się o wiszące nad

nimi okrycia.

– Kevinie, nie możesz tego robić.

– Muszę. Te dzieci ciągną resztę klasy w dół.

– To okrutne. Pozwól im wrócić do swoich ławek!

– Ależ pozwolę. Kiedy doskoczą do poziomu swojej klasy albo kiedy będą gotowe wyzwać jednego z naszych przemysłowców na pojedynek na piankowe miecze, zadzwonią dzwonkiem. Przechodzisz test albo rozkładasz przemysłowca na łopatki i dołączasz z powrotem do swojej klasy.

– Calvin wie, co robisz?

– To znacznie bardziej humanitarne niż plan Calvina. Jemu chodzi tylko o Cleaver, tymczasem moje dzieciaki mają teraz do wyboru dwie drogi do sukcesu: skopać komuś tyłek akademicko albo dosłownie. – Odwrócił się z powrotem do monitora. – Meer, muszę ogarnąć te nieoczekiwane wahania rynkowe. Mogę cię prosić, żebyśmy to na razie odłożyli?

– Absolutnie nie.

Westchnął.

– Calvin rozpocznie obchód szkoły za pięć minut. Zrób z tą informacją, co chcesz.

Problem z Calvinem polegał na tym, że nie można było liczyć, iż przymknie oko na drobne pogwałcenie zasad – takie jak moja obecność w klasie bez identyfikatora gościa – by zająć się prawdziwymi problemami, takimi jak zakorzenianie się etosu brutalnej konkurencji w sali 304 albo fakt, że cały program nauczania został zastąpiony powieścią autorstwa Ayn Rand.

– Dobrze. Odłożymy to na później – poddałam się i sprawdziwszy, czy na korytarzu nikogo nie ma, wysliznęłam się tylnymi drzwiami na parking.

– Nigdy więcej. Mówię poważnie – powiedziałam do Hayesa, ochlapując twarz wodą z ciekącego kranu w motelu Fox i próbując przywrócić się do jakiego takiego stanu, pozwalającego pojawić się w kolejce samochodów prowadzonych przez rodziców, którzy przyjechali odebrać swoje dzieci ze szkoły. Bezpowrotnie zagubiłam frotkę w szparze między ścianą a wezłowiek łóżka i teraz włosy sterczały mi na wszystkie strony jak komuś, kto przez całe popołudnie przewalał się po motelowych materacach, co akurat... No właśnie. Ale jeszcze gorsza była senna, zdeprawowana zmysłowość, którą dostrzegłam na swojej twarzy. Zawadiacki uśmiech odpowiedzialnej matki z przedmieścia ustąpił leniwemu spojrzeniu i napuchniętym wargom kobiety, która właśnie wyłoniła się z palarni opium. Niechętnie. Zapewne dopiero po jakimś nalocie.

– Okej – odpowiedział, zapinając swój roboczy kombinezon, ale uśmiechnął się szeroko w sposób budzący wątpliwości. Wyszłam pierwsza, nie całując go na pożegnanie – bo to był naprawdę koniec, a nie dlatego, że nie mogłam już ryzykować – i wpadłam na Dużego Johna. Zatknął kciuki za szlufki swojego kombinezonu i spojrział na mnie z góry jak dokonujący wyceny zawodowiec, blokując mi drogę.

– Jakbym był z tych, co się zakładają, to założyłbym się, że z ciebie taka babeczka, co to lubi sobie od czasu do czasu solidnie dać w palnik. – Jego uśmiech był zaraźliwy, a w jego ustach słowo „babeczka” nabierało najlepszego z możliwych znaczenia. Był wielki, przerażający i tak biały, jak stworzenia wiodące życie w mrocznych jaskiniach najgłębszej toni, ale cechowały go szczególna szarmanckość i umiejętności interpersonalne urodzonego sprzedawcy. Z miejsca mu zaufałam. – Chyba takie właśnie lubisz, prawda? – Z małej przedniej kieszonki kombinezonu wyciągnął paczuszkę

z trzema tabletkami xanadu, pozwalając mi szybko rzucić okiem.

Potrząsnęłam głową.

– Chardonnay – powiedziałam. – Głównie.

– Ha – westchnął Duży John, gładząc swoją rudą kozią bródkę, aż zaczęła wyglądać jak cienki kolec. – No cóż, gdyby kiedykolwiek nasza cię ochota na to, żeby przejechać się prawdziwym smokiem, to wpadnij do Dużego Johna, okej?

– Nie omieszkam – obiecałam.

– Jasne, to się mogło zdarzyć – powiedziałam, na co Nina Flyte i Reyne Reynolds, prezenter kanału ósmego, wychylili się do przodu ze swoich krzeseł, gotowi wyjąć mi z ręki ten nędzny ochłap nadziei niczym dwie kozy w minizoo wylizujące do czysta kukurydzą pastewną. Wojownicy Reyne'a Reynoldsa nie dopięli swego i spotkaliśmy się, żeby porozmawiać o *in vitro*.

– A zatem nadal jest szansa! – wykrzyknął Reyne. Nie taką reakcją chciałam wywołać, ale zawsze sprawiało mi trudność rozmawianie z ludźmi niepojmującymi statystyki.

– Precyzyjnie rzecz ujmując, nie jest to niemożliwe. Staram się jednak przekazać panu informację, że jest niezwykle wysoce prawdopodobne, że nigdy nie uda się panu począć dziecka w sposób naturalny. Naprawdę nie mam pewności, czy uda się państwu zająć w ciążę, nie uciekając się do *in vitro*.

Reyne Reynolds poprawił sobie krawat jak człowiek gotów do złożenia kontroferty.

– A gdybyśmy po prostu dali temu trochę czasu? – zaproponował.

Zabębniłam palcami po stole, zastanawiając się, gdzie tego ranka ukrył się doktor Thad. Nagryzmolił „*In vitro* – zdecydowanie” na samoprzylepnej karteczce włożonej w ich akta, po czym zostawił mi do ogarnięcia całą resztę. A był mi potrzebny, żeby uzmysłowić tym ludziom, że uprawiając dalej seks jak gdyby nigdy nic, zmarnują tylko czas – swój i mój. Ja dostarczałam twarde dane, doktor Thad emanował charyzmą i optymizmem. To był przepis na



sukces, którego bez doktora Thada nie dawało się osiągnąć.

– Jest jeden problem: tym, czego państwo nie macie, jest właśnie czas. Z każdą minutą wahania stają się państwo coraz starsi. Zwłaszcza pani – dodałam, wskazując gestem Ninę. Chlipnęła cicho, jakbym ją uszczypnęła w muskularne ramię albo zaatakowała z niepotrzebnym okrucieństwem, ale ja po prostu stwierdzałam fakty. Reyne mógłby się tu pojawić choćby i za dwadzieścia lat, powłóczący nogami i wsparty na ramieniu niestosownie młodej żonki, i chociaż musielibyśmy włożyć jeszcze więcej wysiłku w znalezienie jakichś przyzwoitych plemników, bez większych trudności moglibyśmy zafundować mu potomka wieńczącego jesień jego życia. Natomiast Nina w kategoriach płodności była już bliska wieku, w którym zawodniczki kończą karierę sportową. Miałam ochotę krzyknąć: „Najświeższe wiadomości! Natura jest niesprawiedliwa wobec kobiet!”, ale się powstrzymałam.

– To interesujący punkt widzenia – powiedział Reyne. Na Środkowym Zachodzie słowo „interesujący” ma zawsze negatywne konotacje. Funkcjonuje jako eufemizm słów „niezrozumiały”, „potworny” albo „zwyczajnie głupi”. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego sama możliwość posiadania dziecka ma mnie kosztować więcej niż średniej klasy sedan.

– Reyne! – zawołała Nina.

– Kochanie, za cenę, jakiej sobie pani doktor zażyczyła, moglibyśmy mieć jeden z najnowszych czterodrzwiowych modeli. Bez żadnego kredytu i innych zobowiązań. Moglibyśmy tak po prostu wsiąść i wyjechać tym cholerstwem z salonu.

Nina Flyte zaczęła szlochać, wyciągając sporą garść chusteczek higienicznych ze stojącego na moim biurku pudełka.

– Becky, co się tutaj dzieje? – zapytał doktor Thad, wmaszerowując do mojego gabinetu. W swoim laboratoryjnym fartuchu i pod krawatem sprawiał wrażenie osoby energicznej i zrelaksowanej. Z kieszonki wystawał mu luksusowy długopis podarowany przez żonę. Nina uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– Omawialiśmy możliwość leczenia państwa niepłodności czasem –

wprowadziłam go w temat.

– Myślę, że to znakomity pomysł – oznajmił doktor Thad, kładąc dłoń na ramieniu Niny. Wyciągnął z pudełka kolejną chusteczkę i otarł jej oczy.

Osunęłam się na krzesło, do głębi wstrząśnięta. Liczby mówiły same za siebie. Reyne i Nina mieli większe szanse na odnalezienie zapasów uranu na podwórku przed swoim apartamentowcem niż na spłodzenie dziecka standardowymi metodami. Doktor Thad wiedział to równie dobrze jak ja. Często pracował jak muzyk jazzowy, improwizując w trakcie rozmowy z pacjentem tak umiejętnie, że jego rzemiosło urastało do rangi sztuki. Ale jeśli teraz była w tym jakaś strategia, nie potrafiłam jej pojąć.

– Naprawdę?

– Myślę, że najlepsze, co można zrobić, to po prostu – doktor Thad zaczął rozmasowywać ramiona Niny – wrzucić na luz.

Nie wierzyłam własnym uszom. „Po prostu wrzucicie na luz” to najczęstsza porada udzielana przez okropnych krewnych, których nikt nie pytał o zdanie. W praktyce medycznej nie ma na nią miejsca.

– Wrzucić na luz? – wypaliłam. Bezwiednie wstałam zza biurka. Reyne i Nina gapili się to na mnie, to na doktora Thada. Po raz pierwszy sprawialiśmy wrażenie nie zgodnego zespołu lekarskiego, ale dwóch osób prowadzących spór.

– W mojej jako lekarza opinii mamy tu do czynienia z wyjątkowym przypadkiem. Z tego względu odczekamy jeszcze trochę. Uprawiaj nadal jogę – zwrócił się do Niny, głaszcząc ją po głowie. – Wielokrotnie w grę wchodzi aspekt duchowy. Myślę, że więcej asan i medytacji może tu zdziałać ogromnie wiele dobrego.

– No cóż – powiedział Reyne, odpychając się od biurka w sposób, który wyraźnie kończył rozmowę. – Cieszę się, że przyszedł pan we właściwym momencie, panie doktorze. Pana pielęgniarka prawie namówiła nas na Bóg wie co.

Doktor Thad nie sprostował. Położył dłoń na talii Niny, jakby chciał ją powieść na parkiet, i wyprowadził z pokoju. Zagryzłam wargę, żeby zachować

myśli dla siebie, ale Reyne zwlekał z opuszczeniem gabinetu. Zawahał się przez chwilę, uśmiechając się do mnie triumfująco.

– Mikrobiolog! – wypaliłam. Nie byłam w stanie znieść tego ani chwili dłużej.

– Ale o co chodzi?

– Nie jestem pielęgniarką. Jestem mikrobiologiem – wyjaśniłam, oddychając głęboko, by utrzymać emocje pod kontrolą. Doktor Thad nigdy wcześniej nie pozwolił, by zwracano się do mnie w ten sposób. Pielęgniarka. To było jak policzek.

– Pani chodzi tylko o pieniądze, nie jest tak? – spytał Reyne, pochylając się w moją stronę i zniżając głos. – Zorientowałem się, jak tylko panią zobaczyłem. Spojrzała pani na nas, ale widziała pani tylko liczbę zer.

– Nic pan o mnie nie wie – zachnęłam się.

– I nie chcę wiedzieć. Cieszę się po prostu, że to doktor Thad tutaj dowodzi, bo pani... No cóż, jeśli o mnie chodzi, to wygląda pani na kogoś, kto mógłby się pierdolić z Bandercookiem. – Była to powszechnie stosowana w Ward zniewaga, ale przeżyłam wstrząs, słysząc coś tak wulgarnego wygłoszonego szkolonym, prezenterским głosem Reyne'a. Pochyliłam się gwałtownie nad biurkiem, z trudem łapiąc powietrze, jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny. Reyne uznał to za przyznanie się do winy. – Prawda w oczy kole. – Uśmiechnął się złośliwie i wyszedł za Niną.

Prawda była taka, że zaangażowanie się w seksualną relację z Bandercookiem – z jednym z Bandercooków – zawsze w takiej czy innej formie chodziło mi po głowie. Pomysł podnosił mi nieustannie temperaturę jak niewysoka gorączka i to naprawdę zabolowało, ale nie tak, jak zamierzał Reyne. Zaczynałam się siebie bać. Założyłam, że ta historia pobiegnie swoim torem i stracę zainteresowanie, gdy tylko nasz milczący flirt przy kawie przekształci się w coś bardziej niebezpiecznego i namacalnego. A stało się odwrotnie. Obawiałam się, że powoli rozłażę się w szwach. Zostawiałam klucze w najdziwniejszych miejscach, zapominałam opłacić rachunków za prąd. Cofając, rozjechałam krzaczek róży rosnący obok podjazdu. Stałam na skrzyżowaniu po zapaleniu się zielonych świateł i gapiłam się w przestrzeń,

dopóki Mitchell nie wrzasnął z tylnego siedzenia „Mamo!” albo póki stojące za nami samochody nie zaczęły trąbić. Czytałam dwie strony gazety tylko po to, by uzmysłowić sobie, że niczego nie zapamiętałam.

Każdego wieczoru przy przeglądaniu pracy domowej Mitchella dopadał mnie narastający ból głowy i opanowywała nieodparta chęć rzucenia arkuszy ćwiczeń na stół i nalania sobie kieliszka wina. Nawet w laboratorium moje myśli dryfowały w kierunku Hayesa. Doktor Thad z pewnością zauważył, że coś jest nie w porządku. Podczas sortowania skrupulatnie pozbyłam się dziewczęcych plemników z próbki pacjentów marzących o córce i zorientowałam się w swojej pomyłce niemal w ostatniej chwili. Doktor Thad roześmiał się: „Właśnie dlatego jesteśmy ubezpieczeni od błędów w sztuce lekarskiej”, ale miałam wrażenie, że jego pewność co do mnie została zachwiana.

– Ach, tutaj jesteś – powiedział doktor Thad, kiedy wyszłam ze swojego gabinetu. Reyne i Nina już poszli, a on opierał się o biurko recepcjonistki, grzebiąc w paterze z cukierkami w poszukiwaniu toffi. Patrzyłam na niego bez słowa, czekając na przeprosiny i wyjaśnienia, których powinien mi udzielić. Tak w każdym razie sądziłam.

Doktor Thad rozwinął sobie cukierek.

– Muszę cię poprosić o to, żebyś przestała tak na mnie patrzeć. Wyrzut i zranione uczucia masz po prostu wypisane na twarzy. To urocze.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie chce pan, by Flyte i Reynolds doczekali się dziecka?

– Becky! – oburzył się doktor Thad, szczypiąc mnie w policzek. – Jak możesz mówić coś takiego!

Maryellen wpadła do mojego gabinetu, mieszając sobie śmietankę o smaku orzechowym w kubku, na którym w różnych językach wypisano słowo „mama”.

– Widziałaś, co ci zostawiłam? – zapytała, wskazując na moje biurko. Na stercie dokumentów leżała błyszcząca broszura, którą omyłkowo wzięłam za

jakaś zabłąkaną reklamówkę dostarczoną razem z pocztą. Wzięłam ją ze stołu i przejrzałam. Zadbana blondynka klęczała na kafelkach swojej przestronnej, nowoczesnej kuchni i przyciskała pięści do skroni, najwyraźniej walcząc z bólem. „Myślenie nie powinno boleć – głosił podpis. Uniosłam brwi, ale czytałam dalej. – Czy łatwo się dekoncentrujesz? Czy ciągle zerkasz na swój telefon albo inne urządzenia elektroniczne? Czy twoja praca cię nudzi? Czy kiedykolwiek podjęłaś pochopną decyzję, której później nie potrafiłaś wytłumaczyć? Chcesz to zrobić jeszcze raz? Czy zdarza ci się odpływać myślami? Czy często masz wrażenie, że jesteś we władzy sił znajdujących się poza twoją kontrolą?”.

– Dlaczego mi to przyniosłaś, Maryellen? – zapytałam, czując, że zaczynają mnie palić policzki. Chciałam krzyknąć: „Tak! Tak na wszystko powyższe!”. Czułam się tak, jakby ktoś zajrzał w samą otchłań mojej duszy, dostrzegł mój ból i przekuł go w slogany marketingowe. Jednak tylko wilkiem spojrzałam na Maryellen i powiedziałam: – To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Nie chodzi o ciebie, głuptasie. Wiesz, o kogo chodzi – wyszeptała Maryellen.

– Dorosłe ADHD? – spytałam, czując ukłucie radości. W końcu stan, z którym walczyłam od kilku tygodni, doczekał się nazwy i leku niewymagającego zdzierania ubrań z Hayesa Bandercooka. Ta kuracja przyniosła efekt odwrotny od zamierzonego. Im częściej widywałam się z Hayesem, tym bardziej chciałam się z nim zobaczyć. Jednorazowe spotkanie z Bandercookiem w motelu było nieszkodliwym kaprysem, powrót na powtórkę był niepokojącym trendem, ale trzecie... a może już czwarte spotkanie? To było dno, wodorosty i dwa metry mułu. Albo jeszcze niżej. Rozgrzany do czerwoności płynny rdzeń dysfunkcji. Gotowa byłam przyznać, że potrzebuję pomocy. Tylko nie Maryellen. – Nie, Maryellen, nie wiem, o kogo chodzi. Nie znam nikogo, kto cierpiałby na ten wyimaginowany problem, i ty również nie. To absolutna bzdura – powiedziałam, przeglądając broszurę w poszukiwaniu numeru całodobowej infolinii.

– Pomyśl – zachęcała Maryellen, stukając się palcem w skroń. – Niech ci zdrowy rozsądek podpowie.

„Ale myślenie boli!” – chciałam krzyknąć, jednak poczucie własnej godności nie pozwoliłoby mi na uczynienie takiego wyznania. Nie jej. Przycisnęłam opuszki palców do ust, udając, że nasłuchuję głosu zdrowego rozsądku. Kwestia „zdrowego rozsądku” potrafiła zupełnie wyprowadzić z równowagi Maryellen, jako że uważała się za jego posiadaczkę, co w jej przekonaniu dawało bardziej uzasadniony ogląd świata niż jej lepiej wykształconym pracodawcom.

– Hm, może chodzi o... Hm, jednego z Bandercooków? – spróbowałam, rzucając pierwsze nazwisko, które przyszło mi na myśl.

– Bandercooków?

– No. Na przykład Rusty’ego albo może... Hayesa? – rzuciłam. Maryellen spojrzała na mnie, jakbym powiedziała coś nieprzyzwoitego. – No wiesz, Hayesa, tego od... elektryki?

– Och, doskonale wiem, o kórego ci chodzi – powiedziała Maryellen w sposób, który sugerował, że niewysoko go ceni, podobnie jak jego rodziców i dziadków. – Co, na miłość boską, skłania cię do zadawania się z tymi ludźmi?

– Nie zadaję się z nimi – zaprzeczyłam, markując cichy śmiech.

– Ta dwójka to... – Maryellen cofnęła brodę za golf swetra, by zmanifestować swój wstręt do wszystkich nienadających się do przytoczenia cech tej dwójki. – W każdym razie osobą, o którą mi chodzi, jest doktor Thad.

– Doktorowi Thadowi nic nie dolega.

Kilka razy zdarzyło mu się spóźnić do pracy, ale nie uznawałam tego raczej za dowód patologii.

– Czyżby? I w przyszłym miesiącu też mu nic nie będzie dolegać? Spójrz tutaj – powiedziała, przesuwając paznokciem pod kolejnym zdaniem. – Zaraz zrozumiesz.

– „Czy twoje objawy pogarszają się zwykle w okresie od października do lutego? Zapytaj swojego lekarza o Phocus” – przeczytałam na głos. – Maryellen, w tych miesiącach wszystko się pogarsza. Zwłaszcza tutaj – podkreśliłam. Już w lecie Ward było wystarczająco szare i monotonne,

w zimie zamieniało się w posepną lodową pustynię. Ludzie przybierali na wadze, chłali na umór, wdawali się w bójkę, powodowali kretyńskie wypadki i zamawiali towary z reklamujących się przed północą sklepów wysyłkowych. Całe miasto rozłaziło się w szwach.

– Ale od kiedy to doktor Thad jest tak kompletnie oderwany od rzeczywistości? Pomyśl tylko! – Maryellen ruszała brwiami, by naprowadzić mnie na właściwy trop.

– Hmm... – mruknęłam, opierając brodę na dłoni i znów odgrywając pantomimę głębokiego namysłu.

Na moment puściłam wodze fantazji, zastanawiając się, czy nie powiedzieć Maryellen, że mimo jej dotychczas rzetelnej pracy mam zamiar ją zwolnić i zastąpić kimś mniej irytującym. „Przestań się odnosić do niej jak do osoby – poradził mi kiedyś doktor Thad, kiedy podniosłam kwestię wylania Maryellen z pracy. – Czy to pudełko chusteczek cię denerwuje? Czy obrażają cię te szczypce? To po prostu narzędzia. Nie musimy nawiązywać z nimi ludzkich relacji”.

– No i? – powiedziała Maryellen, bębniąc po blacie paznokciami jak trójka koni galopujących w miejscu. Stała na tyle blisko, że doleciał mnie zapach jej luksusowego lakieru do włosów. Kupowała go w salonie w Omaha, jeżdżąc tam, gdy tylko kończyły się jej zapasy, ze swoimi dwoma pudłami ujadającymi na tylnym siedzeniu i ze swoim dziwnym synem, Cooperem Zane’em, słuchającym na słuchawkach brytyjskiego folku z lat siedemdziesiątych, bo psy, za co należy im się uznanie, nie były w stanie znieść tej muzyki puszczonej z głośników. Te szczegóły, sączone mi do uszu wbrew mojej woli, kiedy przygotowywałyśmy gabinet zabiegowy albo zamykałyśmy klinikę na noc, teraz utrudniały mi myślenie o niej jako o kolejnym elemencie biurowego wyposażenia. Pudełko z chusteczkami. Szczypce.

– Co się tak na mnie gapisz? Łapiesz czy nie?

Maryellen i ja miałyśmy w perspektywie wspólne zestarzenie się w samym środku zapomnianej przez Boga prerii, chociaż nie potrafiłyśmy się porozumieć i nie byłyśmy w stanie się polubić. Należało się z tym pogodzić.

– Będę się musiała nad tym głębiej zastanowić. Być może masz nieco racji.

Może pomyślę o tym w laboratorium, a ty zastanowisz się, odbierając telefony od pacjentów?

Maryellen wypadła z mojego gabinetu, a furkot jej nogawek można było prawdopodobnie uznać za wiarygodny miernik poziomu jej irytacji.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, zadzwoniłam na infolinię.



Mitchell majtał w tył i w przód nogami zwieszonymi z krawędzi kozetki.

– Klasyczne, absolutnie klasyczne – powiedziała doktor Eli Bacon, notując na tablecie opisywane przeze mnie nienadzwyczajne oceny Mitchella i rozmaite przypadki łamania przez niego szkolnej dyscypliny. – Zdecydowanie ma ADHD. Możemy zrobić test, ale szczerze mówiąc, wydaje mi się to nieuzasadnione.

– Myślę, że jako naukowiec czułabym się bardziej komfortowo, gdybyśmy go zrobili – wyznałam.

Doktor Eli uniosła brwi powyżej rogowych oprawek okularów. Ewidentnie Eli było skrótem od Elizabeth.

– Nie ma takiej możliwości, żeby test zmienił moją rekomendację. Nawet jeśli wypadnie negatywnie. W tych czasach przepisuję kurację ADHD zapobiegawczo, a on, już lada moment młody mężczyzna, jest w grupie wysokiego ryzyka. – Zniżyła głos. – Po co pani przyszła, jeśli nie chce pani dostać leków?

– Chcę, ale... Mitchell, czy mógłbyś chwilę poczekać na zewnątrz?

– Tak! – wykrzyknął Mitchell, zachwycony wizją wydostania się z gabinetu. Zamknął za sobą drzwi, po czym, sądząc po odgłosach, zaczął biegać w tę i z powrotem po korytarzu.

– Niech pani posłucha, mojemu synowi nic nie jest. Ale mnie się wydaje, że to ja mam ADHD – tłumaczyłam. – Czy mogłaby mi pani coś przepisać?

– W porządku – powiedziała doktor Bacon. Odłożyła tablet i zdjęła okulary w rogowych oprawkach, pozwalając im zawisnąć na różowym metalowym łańcuszku na szyi. – Czy to jest prowokacja? Z czyjego ramienia pani działa? Czy pracuje pani dla Agencji Żywności i Leków?

– Boże, nie. Nic w tym rodzaju. Chodzi po prostu o to, że ostatnio... trudno mi się skoncentrować na pracy. Odpływam myślami ku innym sprawom.

– Jakim innym sprawom? – zapytała doktor Bacon bez cienia współczucia.

– Tak naprawdę ku jednej sprawie. Związanej z pewną osobą. Konkretniej sprawie związanej z pewną osobą.

Doktor Bacon spiorunowała mnie wzrokiem.

– W tego rodzaju sprawie naprawdę pani nie pomożę. Czy myśli pani, że nie potrafię sobie wyobrazić przyjemniejszego sposobu spędzenia poranka? Więc chciałabym, żeby pani wiedziała, że potrafię. Ale tu przychodzę. Jak osoba dorosła. Człowiek wypija kawę i wykonuje swoją pracę, choćby była zupełnie sprzeczna z jego upodobaniami. Proszę nie windować kosztów środków farmaceutycznych dla dzieci będących w potrzebie przez wykorzystywanie najmłodszych w tak nonszalancki sposób. Proszę tego nawet nie sugerować.

– Okej – powiedziałam pokornie.

– Proszę mi to oddać – dodała i wyrwała mi z ręki wypisany świstek. – Może sobie pani załatwić leki gdzie indziej. – Doktor Bacon nie oparła się pokusie wykonania teatralnego wyjścia z gabinetu, wypadając jak burza na swoich niewysokich obcasikach. Zauważyłam, że na biurku zostawiła bloczek recept, zawczasu opatrzonych jej podpisem i pieczętą. Zastanawiałam się przez moment, po czym wyrwałam kilka kartek z bloczka i wcisnęłam je na dno torebki. Obsesja na tle Bandercooka była bardzo daleka od normalności i skoro doktor Bacon nie zamierzała mnie leczyć, gotowa byłam leczyć się sama.

– No i co ci powiedziała doktor Bacon? Co jest ze mną nie tak, mamo? – zapytał Mitchell, kiedy jechaliśmy płaską jak naleśnik autostradą w kierunku domu. Wyglądał, jakby przygotowywał się na bardzo złe wiadomości. Jakbym mu miała za chwilę obwieścić, że amputujemy mu nogę, że jeśli nie będzie w stanie siedzieć spokojnie przy swoim biurku, odpowiednio się skupić i naprawdę przyłożyć do pracy, to może zapomnieć o czasach, gdy był stworzeniem dwunożnym. Moje dziecko sądziło, że jestem do tego zdolna,

a w każdym razie jestem zdolna do czegoś okropnego i nieprzyjemnego. Sprawiał wręcz wrażenie, jakby sądził, że na to zasłużył.

– Nic nie jest z tobą nie tak, kochanie – powiedziałam. W chwili, w której spojrzałam w małe, zimne oczka doktor Eli Bacon, zrozumiałam, że nie wpuszczę phocusa w jego nie w pełni jeszcze rozwinięty krwiobieg. Wszyscy twierdzili, że to istny cud farmacji, ale teraz byłam już pewna, że dla większości ludzi to tylko jedna z tych chwilowych mód, która za kilka lat będzie całkowicie niewytłumaczalna, jak spodnie z całą masą zapinanych na suwaki kieszeni albo produkty żywnościowe z granatów. Nic nie mogło mnie skłonić do przeprowadzenia nieograniczonego czasowo eksperymentu farmakologicznego na dojrzewającym mózgu mojego syna, jakkolwiek to byłoby modne i wygodne. Natomiast jeśli chodzi o mnie, kwestia przedstawiała się zupełnie inaczej. Bez wątpienia bardzo tego potrzebowałam, zarówno ze względu na siebie, jak i na Mitchella. Zasługiwał na matkę, która byłaby równie zbulwersowana koncepcją motelowego romansu z Bandercookiem, jak ja sama udawałabym, że jestem, gdyby ktoś inny wyszedł publicznie z taką propozycją.

– A moje oceny?

– Twoje oceny nie są problemem medycznym. Będiesz dostawać lepsze oceny, jeśli zaczniesz solidniej pracować. – Spojrzałam na Mitchella, szczupłego, bladego chłopca z oczami tak pełnymi życia, że dzięki nim z mniejszymi oporami wstawałam co rano z łóżka, i spróbowałam wzbudzić w sobie stosowny niepokój o jego przyszły potencjał zarobkowy. Powinnam go poinformować, że Wharton School of Business nie spojrzy łaskawym okiem na aplikanta, który miał mierny z ortografii, a najlepsze kancelarie prawne nie będą się paliły do zatrudnienia kandydata mającego na koncie szereg bitew na stołówce, ale po prostu nie potrafiłam się na to zdobyć. Serce wezbrało mi miłością do mojego energicznego, rozkojarzonego i nierealizującego swojego potencjału syna. Co by się stało, gdybym go przerobiła na śliniący się automat do koncentrowania się, chłopca, który z zadowoleniem godzina po godzinie wypełnia kratki testów, dopóki nie zadzwoni dzwonek obwieszczający koniec zajęć? Byłabym smutniejsza, gdyby stał się kimkolwiek innym niż dzieckiem,

którym był. Był idealny... Nie, oczywiście, nie był idealny, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale był moim synem i za żadne skarby świata nie oddałabym wszystkich jego dziwactw i najnieznośniejszych cech charakteru.

– Wiesz co? Kogo obchodzą stopnie? Po prostu chodź do szkoły i staraj się czegoś nauczyć. Nic innego się nie liczy. Jesteś dopiero w piątej klasie, do cholery – powiedziałam, waląc pięścią w kierownicę.

– Mamo! – wykrzyknął Mitchell, z przerażenia wytrzeszczając oczy. – Zaklęłaś!

– Przepraszam – zmitygowałam się. Po obu stronach autostrady migwały nam skoszone pola, a na bezkresnym niebie kłębiły się gigantyczne preriowe chmury. – W piątej klasie, do diaska.

– Jak pani myśli, jaka powinna być dawka dla dorosłego? – wyszeptałam, zaciskając dłonie na papierowej torbie podawanej mi przez Bethany Miles. Opinie na forach internetowych co do idealnego dawkowania phocusa w postaci doustnej były mocno rozbieżne. Zdecydowałam się pójść za radą użytkownicy skiinnycat88, która wydawała się bardzo dobrze poinformowana, ale na podstawie jej awatara trudno się było zorientować, czy ma aktualne uprawnienia magistra farmacji. Potrzebowałam potwierdzenia.

– Ale o co chodzi? – zapytała Bethany. Miała na sobie niebieską kamizelkę i plakietkę z napisem „Farmaceutka: pięcioletni staż pracy”. Stała za kontuarem pod błyskającym napisem „Porady” i sądziłam, że z radością powita mnie w krainie farmaceutyków, a tymczasem na jej twarzy malowała się ponura podejrzliwość funkcjonariusza straży celnej.

– Zastanawiam się po prostu – powiedziałam odrobinę głośniej – jaka dawka byłaby odpowiednia dla kogoś odrobinę starszego i masywniejszego od Mitchella.

Kartonowe przepierzenie chroniło moją prywatność przed wścibstwem innych klientów supermarketu, głównie starszych osób oczekujących na zaszczepienie przeciw grypie, ale nie miałam pewności, czy robi to skutecznie.

– Chyba nie myśli pani o tym, żeby samej to brać? – zdumiała się Bethany, nie puszczając torby. Sytuacja zrobiła się napięta.

– Oczywiście, że nie – skłamałam. Wypełniłam receptę na imię i nazwisko Mitchella, żeby uniknąć podejrzeń, jako że doktor Bacon była nie tylko pediatrą, ale i bezdusznym, ferującym pochopne wyroki babskiem z upodobaniem do teatralnych gestów.

– Zostało to przepisane Mitchellowi, więc zgodnie z prawem nie mogę tego pani przekazać, jeśli myśli pani o jakichkolwiek innych zastosowaniach.

– Rozumiem – powiedziałam, pociągając torbę w swoją stronę, ale Bethany trzymała ją jak w imadle.

– Naprawdę mam nadzieję, że tak jest. Z tego, co słyszałam, on rozpaczliwie potrzebuje terapii.

Chwyciłam torbę z tabletkami i wsadziłam ją do torebki.

Shane Glass mopował podłogę po drugiej stronie przepierzenia, nie starając się nawet udawać, że nas nie słyszał.

– Ta historia z ropuchami... To chore, pani doktor. Pani dzieciak przypomina młodego Ozzy’ego. Ostra jazda.

– To był tylko nieszczęśliwy wypadek – zaprotestowałam.

– Tak, ale... – Shane obejrzał się przez ramię, żeby zobaczyć, czy nie podsłuchuje nas któryś ze starszków, ale byli zaabsorbowani sudoku i własnymi problemami. – Słyszałem, że odgryzł im głowy. – W jego głosie wyczułam nieklamany podziw.

– To obrzydliwe. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Tak tylko słyszałem. – Shane wzruszył ramionami.

– Plotka kłamie, jak zwykle – stwierdziłam na tyle głośno, żeby mogła mnie usłyszeć cała kolejka. Shane, pogwizdując, wycofał się ze swoim mopem na zaplecze stanowiska aptecznego.

– Czy może mnie pani tutaj podliczyć? – zapytałam, popychając po kontuarze ogromną paczkę trójwarstwowego papieru toaletowego. Stał zapomniany u moich stóp, kiedy przepychałam się z Bethany w sprawie recepty na ADHD.

– Nie – powiedziała Bethany. – Proszę to wziąć do kasy przy wyjściu.

– Ale tam nikogo nie ma.

Bethany przewróciła oczami i ujęła krótkofalówkę.

– Shane do kasy przy wyjściu. Shane do kasy przy wyjściu – powtórzyła. – Proszę dać mu chwilę.

Ruszyłam siódmą alejką, produkty sezonowe, targając swoją gigantyczną paczkę papieru toaletowego i czekając, aż Shane odstawi gdzieś swój mop. Kiedy dotarłam do kasy, ostatnią osobą w kolejce okazał się Hayes Bandercook. Miał na sobie zwykłe ciuchy, typowy ubiór Bandercooków: spłowiałą koszulkę z nazwą jakiegoś zespołu i spodnie, które nie próbowały nawet udawać, że mogłyby być *cool*. Zorientowałam się jednak od razu, że to on, a nie jeden z jego braci, po sposobie, w jaki się garbił, po kształcie jego głowy, kolorze falujących włosów i po tym, jak przytupywał nogą, starając się rozładować rozsadzającą go energię. Mimowiednie zapamiętałam wszystkie szczegóły jego wyglądu i zachowania. Kiedy mnie zobaczył, zbladł i pochylił głowę, nie pozdrawiając mnie ani słowem. A więc tak to będzie wyglądać. Gapiłam się w kalendarz wiszący za jego głową, aż zapiekły mnie oczy.

– Następnym razem spróbuj tego o smaku ponczu owocowego. Jest znacznie lepszy – zdradził Shane, wyjmując napoje izotoniczne z koszyka Hayesa i nabijając je na kasę.

– Lubie limonkowy – powiedział Hayes.

– Ale próbowałeś w ogóle ponczu owocowego? Normalnie jakbyś znalazł się na Hawajach. Ma lekki posmak gujawy.

– Limonka zupełnie mi wystarczy.

– Dobra, dobra – poddał się Shane, teatralnym gestem wyrzucając ręce w powietrze. – Próbowałem tylko trochę poszerzyć ci horyzonty. Ale niektórzy chyba słabo znoszą zmiany. Poczekaj chwilę... A co my tutaj mamy? – zdziwił się, skanując kolejny produkt opakowany w kartonowe pudełko.

– Shane – ostrzegł Hayes. Cokolwiek starał się przekazać tonem głosu oscylującym gdzieś pomiędzy prośbą a groźbą, całkowicie umknęło Shane'owi pochłoniętemu uważnym oglądaniem pudełka prezerwatyw.

– Bomba! – powiedział Shane, z aprobatą kiwając głową. – Duże opakowanie promocyjne! Gratki, koleżko! – Palnął Hayesa w ramię. – Brawo!

Trochę czasu minęło, co, stary? Ale następnym razem weź te z baraniego jelita. Zaufaj mi. Zupełnie nowa klasa doznań.

Hayes rzucił pieniądze na podstawkę, a Shane wziął się do pakowania jego zakupów.

– No, muszę cię zapytać. Kto to jest?

– Twoja matka – powiedział Hayes cicho, biorąc torbę.

Shane się roześmiał, plując drinkiem izotonicznym o smaku ponczu owocowego, którego łyk właśnie pociągnął. Hayes zmierzał już do drzwi, nie oglądając się za siebie.

– Sheila?! – krzyknął za nim Shane. – Nie, stary. Nie pochwalam tego. Nie spoczywaj na laurach. Jesteś przystojnym gościem. Stać cię na dużo więcej niż na Sheilę.

– Znalazła pani wszystko, czego pani szukała, pani doktor? – zapytał Shane, skanując mój papier toaletowy. Skinęłam głową, niezdolna wykrztusić słowa.  
– Trójwarstwowy, no nieźle, nieźle – zauważył. – Znakomity wybór.

W samochodzie popiłam dwie tabletki przeznaczone dla Mitchella butelką zwietrzałej dietetycznej coli, którą już od poprzedniego dnia woziałam w uchwycie na napoje. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie oprzeć głowy o kierownicę i się nie rozpłakać. Sheila Glass przyjmowała zakłady keno w klubie Schmitz przez pięć wieczorów w tygodniu. Uznałam, że mimo dzielącej ich różnicy wieku to zrozumią. Pewnie odnaleźli w sobie bratnie dusze.

– Życzę wam wszystkiego najlepszego – powiedziałam, po czym wzniosłam na ich cześć toast colą bez gazu i popiłam nią trzecią tabletkę, tak na wszelki wypadek. Musiałam szybko wrócić do rzeczywistości. Do własnego życia.

Obudziłam się, myśląc znów trzeźwo i konstruktywnie, co zdecydowanie należało przypisać lekom. Poranne rutynowe czynności – prysznic, śniadanie, drugie śniadanie dla Mitchella – wykonywałam nie tylko sprawniej, ale i bardziej świadomie. Dostrzegałam rzeczy, których uważnemu zbadaniu nigdy dotąd nie poświęciłam czasu. Piękno wschodu słońca. Cienką warstewkę brudu pokrywającą podłogę łazienki. Nowo odkryta jasność myślenia miała swoje minusy.

Piątkowe poranki przeznaczałam na pracę w laboratorium i była to najlepsza część tygodnia. Tylko doktor Thad i ja, odizolowani od świata w ciszy i chłodzie, współpracujący tak zgodnie, jakbyśmy byli jedną osobą. Ostatnio nie przykładałam się specjalnie do pracy, co natychmiast się odbiło na naszych przychodach. Ale teraz wracałam do gry, gotowa pokazać doktorowi Thadowi, że nie popełnił błędu, wchodząc ze mną w spółkę.

Drzwi do kliniki okazały się otwarte, ale w środku nie paliło się światło.

– Panie doktorze?! – zawołałam.

Na kanapie w poczekalni leżało czyjeś bezwładne ciało. No to już wiedziałam, co to będzie za dzień. Odwiesiłam płaszcz i pstryknęłam górne światło. W blasku jarzeniówek nikt nie wygląda szczególnie korzystnie, ale doktor Thad sprawiał wyjątkowo trupie wrażenie ze swoim siwiejącym zarostem i podpuchniętymi powiekami.

– Becky? – zapytał doktor Thad, osłaniając oczy ramieniem. – Która godzina?

– Siódma trzydzieści – oznajmiłam. Przeszłam obok niego do kuchenki, żeby włączyć ekspres.



– Rano?! – zawołał za mną.

Dorzuciłam jeszcze jedną łyżeczkę zmielonych ziaren do dozownika i pokręciłam głową. Istniały trzy podstawowe scenariusze zrujnowania naszej kliniki przez doktora Thada. Zgodnie ze scenariuszem numer jeden (najbardziej prawdopodobnym) doktor Thad wyrzucał przez szyberdach żeton trzeźwości Stowarzyszenia Anonimowych Alkoholików i z piskiem opon zajeżdżał przed sklep monopolowy Dot's Liquor, gdzie parkował na dwóch miejscach, i wmaszerowywał do środka jak bohaterski konkwistador – oraz nadal ulubiony były stały klient – by przehandlować odzyskaną trzeźwość za butelkę irlandzkiej whisky.

Scenariusz numer dwa polegał na rozwiedzeniu się doktora Thada z jego żoną Angie, i nie był to wcale scenariusz mało prawdopodobny, jako że małżeństwo Sorensonów miało bardzo burzliwy przebieg. Człowiek, który zajechał niby to przypadkiem w ich zaulek i bez zapowiedzi pchnął drewniane drzwi willi w stylu pseudotoskańskim, miał spore szanse natknąć się na doktora Thada ciskającego się po domu z obłądem w oczach niczym Scarlett O'Hara i Angie miotającą bibeloty i oskarżenia, zupełnie wyzbytą rezerwy typowej dla Środkowego Zachodu. Problem polegał na tym, że pani doktorowa sfinansowała panu doktorowi studia medyczne i w przypadku rozwodu uprawniona była do znacznej części udziałów w klinice. Była pani doktorowa przeobraziłaby się z ujadającego okazjonalnie pieska w przerażającego agenta chaosu. Strach było nawet o tym myśleć. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, scenariusz numer dwa był prawdopodobnie najmniej preferowanym przeze mnie sposobem puszczenia wszystkiego z dymem.

No i wreszcie scenariusz numer trzy. Była to stale obecna groźba zabierania przez doktora Thada pracy do domu, jeśli można tak to ująć, choć bardziej prawdopodobne było zabieranie jej do hotelu i kasyna w Loop City. Labilne ciemnowłose pacjentki stwarzały nieustanne zagrożenie cudzołóstwem z pikantną domieszką naruszenia etyki zawodowej.

Usłyszałam, jak doktor Thad wstaje i z jękiem prostuje kości, którym od pewnego wieku stanowczo nie służy sypianie na meblach w poczekalni.

– Panie doktorze! – zawołałam, kiedy maszyna zaczęła wypluwać z siebie

kawę do dzbanka. – Nie chciałabym się wtrącać, ale... czy nie zsuwa się pan właśnie po równi pochyłej?

Chwilę później stanął w drzwiach i spiorunował mnie wzrokiem.

– Becky, naprawdę nie jest mi w tym momencie potrzebna twoja krytyczna ocena.

– Nie oceniam pana. – Nigdy bym nie przypuszczała, że będę oceniać doktora Thada. Ale sądząc z opuchniętej twarzy i przekrwionych oczu, chodziło o scenariusz numer jeden. – Czy możemy zadzwonić do pana sponsora?

– To nie ten przypadek.

– Nie? – zdziwiłam się, lustrując go szybko i odhaczając kolejne pozycje listy kontrolnej. – Jakież problemy z... uhm, Angie? – Wszyscy w klinice określają Angie mianem „pani doktorowej”, więc zawsze czuję się dziwnie, kiedy wymawiam jej imię. Jediną odpowiedzią doktora Thada był jęk, co uznałam za potwierdzenie mojej diagnozy: scenariusz numer dwa, rozwód. Pociągnął łyk kawy, którą mu podałam.

– Becky, naprawdę nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie pozostać w związku małżeńskim. – I westchnął tak, jak wzdychają mężowie w średnim wieku czujący się jak męczennicy z powodu wszystkich okazji do nawiązania pozamałżeńskiego romansu, którym pozwolili się zmarnować.

– Która to z nich? – zapytałam, dokonując w pamięci inwentaryzacji wszystkich naszych ciemnowłosych pacjentek spragnionych uczuć. Przeczuwałam, że w tym momencie chodzi już głównie o scenariusz numer trzy, cudzołóstwo i naruszenie zasad etyki zawodowej, a scenariusz numer dwa, rozwód i bankructwo, ciągną się tylko na doczepkę.

– To nie jest takie proste – powiedział doktor Thad, pochylając się bliżej ku mnie i mając nadzieję wytrącić mnie z równowagi jednym z tych swoich spojrzeń z rodzaju „twardy, ale wrażliwy”.

– Ależ owszem, jest.

– Becky, to nie tak, jak myślisz. Nigdy wcześniej tak się nie czułem.

– Proszę mi tylko powiedzieć, kto to jest, a ja już się tym zajmę. Nie chce

pan zrobić niczego głupiego. – Przyjrzałam się jego rozczochranym włosom i nabiegłej krwią twarzy. – Niczego głupszego. Później mi pan podziękuje. Zawsze mi pan dziękuje.

– Nie tym razem. To jest coś... bardzo głębokiego.

– Bardzo poważnie w to wątpię, panie doktorze. – Scenariusz numer trzy mógł całkowicie zrujnować karierę doktora Thada, pozbawiając świat jego rozlicznych talentów. Nie na mojej zmianie.

– Becky, czasem się zastanawiam, czy ty w ogóle masz jakieś ludzkie uczucia – powiedział doktor Thad. Mówiłam stanowczo, a nie chłodno, ale czasem trudno jest dostrzec różnicę. Odstawił kawę i wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami. Miałam nadzieję, że idzie do domu przeprosić panią doktorową i założyć czysty fartuch, żebyśmy mogli ruszyć z czekającą na nas robotą. Ale nie miałam pewności.

– Dzień dobry – przywitała się Maryellen, wieszając na haczyku swoją obszerną biało-czerwoną kurtkę Ward Plainsmen i wyplątując się z dopasowanego kolorystycznie, wydzierganego na drutach szalika. Miała na sobie pomarańczową koszulkę z wylepionymi czarną taśmą trójkątami, które miały odpowiadać otworom wyciętym w wydrążonej dyni, co było naciągnięciem do granic obowiązującego w klinice regulaminu stroju. Za nią, powłócząc nogami, wsunął się do środka jej syn wraz ze swoją fatalną cerą i oczami utkwionymi w wykładzinie. – Nigdy nie zgadniesz, kogo właśnie minęłam na klatce.

– Lindę? – zapytałam. – Carla z góry?

Cooper Zane powłóczył nogami w swoich płóciennych butach, przypominając zdezorientowanego, zagubionego staruszka.

– Nie, ptasi mózdzku! Doktora Thada! Powiedziałam: „Panie doktorze, mierza pan w niewłaściwym kierunku!”. Ale on tylko mnie minął, nie zwalniając kroku. O co tu chodzi?

– Myślę, że miał jakieś sprawy do załatwienia.

– Mam nadzieję, że te sprawy uwzględniają zmianę ubrania, bo miał na

sobie to samo co wczoraj.

Wzruszyłam tylko ramionami.

– Dzień dobry, Cooperze Zanie – przywitałam się i długie rzęsy chłopaka zatrzepotały płochliwie. Wymamrotał coś w stronę dywanu. – Nie jesteś dziś w szkole?

– Wypisałam go z dzisiejszych zajęć. Mają lekcje uświadamiające, a ja nie chcę, żeby zapoznawał się z taką tematyką.

– A zatem świetnie trafił – powiedziałam. – Możesz zostawić swoje podręczniki w kuchni.

– Jesteśmy ortodoksyjnymi wyznawcami Kościoła Hirma – powiadomiła mnie Maryellen, obserwując, jak jej dziecko dorównujące wzrostem dorosłemu mężczyźnie wlecze się korytarzem z plecakiem przerzuconym przez ramię. – A biorąc pod uwagę, jaki jest przystojny, im mniej będzie wiedział, tym lepiej. – Odwróciła się do mnie, kiedy Cooper Zane nie mógł już nas usłyszeć. – Co się dzieje z doktorem Thadem?

Ani razu w ciągu wielu długich lat pracy Maryellen w naszej klinice nie dzieliłam się z nią ploteczkami, a jednak ona nieodmiennie próbowała wyciągnąć ode mnie rozmaite sekrety, rzucając w przestrzeń, jak to „nam, samotnym dziewczynom” jest „trudno w życiu”.

– Nic się nie dzieje. Wyszedł coś załatwić.

– Rozumiem, że sprawa jest ściśle tajna – powiedziała Maryellen. – Zatem nie będę się już wychylać i zachowam swoje myśli dla siebie.

„Marne szanse” – pomyślałam. Maryellen komentowała na bieżąco przebieg całej swojej ośmioletniej kariery w naszej klinice, z regularnością telewizyjnego kanału informacyjnego donosząc o tak dramatycznych wydarzeniach jak złamanie ołówka czy doroczne nadejście jej sezonowych alergii. Czasem ogarniała mnie tęsknota za Roy, naszą poprzednią pielęgniarką, zwolnioną po tym, jak nakryliśmy ją na kradzieży suplementów testosteronu, które miały podnieść jej osiągi na wyścigach motocrossowych.

– Maryellen, będę potrzebować możliwie szybko wszystkich akt oznaczonych \*&\* z ostatnich trzech miesięcy.

Akta wszystkich naszych ciemnowłosych, niestabilnych emocjonalnie pacjentek oznaczone były specjalnym, tylko mnie znanym kodem. Upraszczało to mozolną identyfikację problemowych pacjentek w przypadku zaistnienia tego rodzaju sytuacji. Ludzie zakładali zwykle, że ludzkie serce jest organem zbyt złożonym, by prymitywny system katalogowania mógł ujawnić jego najgłębsze sekrety, co było po prostu nieprawdą. Gdybym mogła swobodnie podzielić się swoimi osiągnięciami w zakresie rozwiązywania tak zwanych problemów sercowych za pomocą telefonu i zwykłego arkusza kalkulacyjnego, wielu ludziom otworzyłyby się oczy. Powiem tylko tyle, że kiedy już dowiadywałam się, kim ona jest, zwykle udawało mi się zamknąć całą sprawę przed lunchem.

Maryellen nie pojawiła się z aktami. Od czasu do czasu zmusza mnie tym sposobem do zaznaczenia mojego autorytetu, więc pomaszero wałam do poczekalni, żeby ją znaleźć.

– Sądziłam, Maryellen, że wyraziłam się jasno: potrzebuję tych... Co ty robisz, na miłość boską?

Maryellen stała na drabinie i rozpiniała w kącie poczekalni pajęczyny z przędzy nylonowej. Nasza recepcjonistka przyklepała nad gaśnicą rożek księżycy, a Cooper Zane wyłonił się z kuchni, by umieścić pod ścianą usadzony po turecku szkielet. Cała poczekalnia została przyozdobiona dyniami z gąbki, nietoperzami z papieru i kostuchą na baterie, która rechotała i kiwała głową w reakcji na dźwięk albo ruch.

– Mamy Halloween! – zawołała Maryellen. – Musisz poczuć ducha świąt.

W czterech ścianach kliniki nie było miejsca na żadne święta. Żaden wieniec adwentowy, świąteczny stroik, cukrowy baranek czy wypchany zajaczek nie przekroczyły nigdy tego progu. Święta wiążą się z porami roku, pory roku z upływem czasu, a czas nigdy nie jest naszym sprzymierzeńcem.

– Może po prostu postawimy tutaj gigantyczną klepsydrę i umieścimy na niej plakietkę z napisem „Funkcjonowanie twoich jajników”? – podsunęłam.

– Może na prima aprilis – odparła Maryellen, umieszczając na jednej z pajęczyn włochatego pająka.

– Halloween to trudny czas dla naszych pacjentów, Maryellen. Wkrótce po zachodzie słońca na ulicach zaroi się od dzieci. Zaczną dzwonić do ich drzwi. Ubrane w rozkoszne kostiumy staną pod lampą na ich werandzie i zaczną się domagać cukierków. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jakie to dla nich potworne?

– A ja mogłabym się założyć, że widok tych wszystkich dzieciaków sprawia im radość – odparła Maryellen. Zeszła z drabiny, otworzyła drzwi na klatkę schodową i zaczęła przystrajać tabliczkę na naszych drzwiach garścią pajęczyn. – Przecież to świetna zabawa, nie?

Recepcjonistka przytaknęła, po czym natychmiast splonęła rumieńcem, zawstydzona, że tak się zapomniała w mojej obecności. Otworzyłam szeroko oczy na ten wyraz braku rozwagi. Może ta dziewczyna była zdolna do czegoś więcej, niż mi się wydawało?

– To niestosowne i nieprofesjonalne – stwierdziłam, obrzucając recepcjonistkę karcącym spojrzeniem. Nie miała ciemnokasztanowych włosów, które przyzywały doktora Thada jak syreni śpiew, ale też nie można jej było uznać za blondynkę. Miałam wrażenie, że pod ciężarem mojego spojrzenia zaraz zemdleje, ale Maryellen poklepała ją dla otuchy po plecach i dziewczyna odzyskała równowagę.

– Och, nie bądź takim ponurakiem, Rebecca! Oderwą się na chwilę od swoich zmartwień. W Halloween każdy odnajduje w sobie dziecko!

– Pajęczyny przypomną im najwyżej o ich pustych, starzejących się macicach – skwitowałam. – Natychmiast to wszystko pozdejmuj.

Maryellen się wykrzywiła.

– Przez wzgląd na ciebie mam nadzieję, że posprzątasz cały ten bałagan przed powrotem doktora Thada.

– A kiedy ten powrót nastąpi? – zapytała Maryellen.

Zamiast udzielić jej odpowiedzi, przemaszerowałam przez poczekalnię energicznym krokiem profesjonalistki i prawie przewróciłam się na jakimś drobnym przedmiocie.

– Oj! – krzyknęła Maryellen i rzuciła się, by podtrzymać mnie pod ramię, co

było nie tyle wyrazem autentycznej troski, ile strategią grania na zwłokę. – No popatrz – powiedziała. Obie wbiłyśmy wzrok w wykładzinę. Winowajcą okazał się korek, ale nie korek od wina, lecz grzybkowata zatyczka butelki od szampana. Wyglądało na to, że wyturlała się spod kanapy, na której doktor Thad spędził noc. – O, jasny gwint – wyszeptła Maryellen. Gapiłyśmy się na zatyczkę, przypominając sobie, jak trzy lata temu znalazłyśmy doktora Thada zupełnie nieprzytomnego przed stojącym w poczekalni akwarium i z trudem wywlekłyśmy jego bezwładne ciało przed klinikę. Jego samochód miał zdecydowanie zbyt szykowną i sportową sylwetkę, by dało się bez trudu umieścić na tylnym siedzeniu taki zewłok, i upchnięcie go tam kosztowało nas sporo wysiłku. W takim stanie musiałyśmy go zawieźć do domu pani doktorowej, a ponieważ Angie była mistrzynią przerzucania odpowiedzialności na innych, całe to doświadczenie było potwornie nieprzyjemne dla wszystkich zainteresowanych.

Nasze spojrzenia powędrowały w kierunku kosza na papiery dyskretnie umieszczonego za paprotką. Znad jego krawędzi wystawała długa zielona szyjka butelki. Podniosłam korek do światła i zastanowiłam się, czy ktokolwiek pije szampana w samotności. Trudno mi było uwierzyć, że doktor Thad, nawet z jego niepokojącą historią problemów alkoholowych, postanowił zakończyć swój trzyletni okres trzeźwości, zalewając się w samotności butelką brut. Starłam się jednak przyjąć to do wiadomości. Starłam się bardzo mocno, stojąc zmartwiała w poczekalni i gapiąc się jak debilka na korek.

– Co tu się dzieje, do licha? – zapytała Maryellen.

– Nie ma się czym martwić. To moje – oznajmiłam. Tylko publiczne wyrzeczenie się alkoholu ocaliło miejscową reputację doktora Thada, kiedy ostatni raz znaleźliśmy się w sytuacji grożącej realizacją scenariusza numer jeden. Ale takiej szansy nie dostaje się po raz drugi. Nie w tym mieście. Nie w tym biznesie. Ja i doktor Thad jesteśmy powiernikami sekretów. Utrzymanie zaufania naszych pacjentów wymaga absolutnej dyskrecji i nieustannej, czujnej samokontroli.

– Piłaś wino w pracy? – zapytała z niedowierzaniem Maryellen.

– Szampana – poprawiłam ją. – Miałam okazję do świętowania. – Jeszcze nie zamknęłam ust, a już przyszedł mi do głowy dziesiątka lepszych historii: pacjenci świętujący narodziny dziecka, nastoletni chuligani nielegalnie spożywający alkohol na terenie kliniki, szkolna praca plastyczna polegająca na wykonaniu ozdoby na stół z korka od szampana. Maryellen zaakceptowałyby każde z tych wyjaśnień wyrozumiałym skinieniem swojej puszystej główki. A ja tymczasem bez namysłu rzuciłam się na granat.

– I co świętowałaś? Halloween? – Maryellen popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

Starłam się sprawiać radosne wrażenie kobiety, która mogłaby wytrąbić lousa roederera w poczekalni z grupką przyjaciółek, a może nawet sama, prosto z butelki, gdzieś między zamknięciem kliniki w czwartkowy wieczór a jej otwarciem w piątkowy poranek. Scenariusze numer jeden, dwa i trzy zlały się w jedną monstrualną hybrydę zdolną całkowicie zrujnować życie i karierę, której nie mógł powstrzymać żaden z moich starannie opracowanych planów.

– Szczęśliwego Halloween! – wykrzyknęłam.

– Dobry Boże – powiedziała Maryellen.

W południe, jako że doktor Thad nadal nie wrócił, a ja czułam się coraz bardziej zestresowana, łyknęłam sobie kolejną dawkę phocusa – co w tych okolicznościach wydawało się uzasadnione – i przebrałam się w sukienkę wyciągniętą z dna szafy.

– Maryellen, czy w tej sukience wyglądam jak pionierka? – zapytałam.

Maryellen porządkowała właśnie szufladę z narzędziami. Zastygła z wziernikiem w dłoni.

– No, odrobinę. Ale bardziej jak...

– Jak co?

Maryellen zrobiła taki gest, jakby zapinała sobie usta na suwak.

– Jeśli nie można powiedzieć nic miłego, to w ogóle nie należy nic mówić. Tak mnie wychowano.



– Dzięki – powiedziałam. – To na szkolny Dzień Pioniera.

Dzień Pioniera był pozbawionym wyrazu pseudoświętem, które w zatwierdzonym przez szkołę kalendarzu zastąpiło Halloween.

– Aha – powiedziała Maryellen. – Wiesz co, to może zaplotłabym ci włosy? Wyglądałabyś mniej jak...

– Mniej jak co? – zapytałam, siadając na kozetce i ściągając gumkę z kucyka.

– Och, no wiesz. Po prostu mniej. – Maryellen zaplotła mi włosy w skomplikowany warkocz. Kiedy skończyła, zmarszczyła brwi jak zawsze, gdy odkrywała, że zabrakło nam orzechowej śmietanki do kawy.

– Nie za dobrze to wygląda, co? Nie przypominam pionierki?

– Tego bym nie powiedziała. W tamtych czasach na prerii osiedlali się naprawdę najróżniejsi ludzie. Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie bardzo. – Podniosłam wzniernik i zastanowiłam się nad jego możliwościami. Zobowiązałam się przedstawić jakieś czynności z tamtego okresu, o czym prawie kompletnie zapomniałam, oszołomiona tą historią z Hayesem, a teraz właśnie to sobie przypominałam. – Czy mamy tu coś, z czego można by było skonstruować działającą maselnicę?

W sali gimnastycznej szkoły podstawowej Davisa roіło się od dzieci przebranych za farmerów z szacunku dla garstki zaniepokojonych rodziców, którzy w pogańskim, celtyckim świącie wyczuli szatańskie tchnienie. Z tego, co się zorientowałam, sam Calvin nie miał satanizmowi nic do zarzucenia, ale Halloween dawało zbyt wiele okazji do autoekspresji, zajadania się słodyczami i naprawdę dobrej zabawy, by jakikolwiek dyrektor szkoły jego pokroju mógł je poprzeć. Tak więc zamiast za ghule i licencjonowane postacie z kreskówek dzieci przebrały się za grupę nieuzbrojonych pionierów z dziewiętnastego wieku.

Ustawiłam na podłodze sali plastikowe wiadro od mopa wypełnione zawartością osiemnastu opakowań margaryny i wetknęłam w nie kij od szczotki.

– Bierzcie się do roboty – poleciłam trójce zaciekawionych trzecioklasistów i zwiąłam.

Na stoisku z poczęstunkiem damy z kafeterii serwowały suchary i zupę z kukurydzy, ziemniaków i mleka. Mężczyzna z bujnymi bokobrodami siedział na wysokim stołku i pokazywał, jak zrobić szczotkę z wierzbowego kija i sorgo. Pod koszem do koszykówki panie ze stowarzyszenia miłośniczek wyrobu tradycyjnych kołder zawiązały sobie ciasno czepki pod brodą i zanudzały wszystkich, którzy byli na tyle głupi, by zawędrować w tamte okolice, gadaniem o ściegach i wypełnieniach.

Stałam obok sterty zbelowanego siana, zastanawiając się, czy powinnam się wdać w pogawędkę z paniami ze stołówki, jedynymi pracownikami szkoły, z którymi relacje Mitchella są nieodmiennie dobre, kiedy usłyszałam, jak jakieś dziecko mówi:

– Panie Holts, czy zamierza pan świętować Halloween? – Ostatnie słowa wyszeptało, bo na terenie szkoły nie powinno się ich w ogóle wypowiadać.

Kevin ubrany był w firmową koszulkę polo i beżowe spodnie z zaszewkami, co każdego innego dnia byłoby wyborem dość wątpliwym, ale dziś nadało mu wygląd najlepiej ubranej i najbardziej wiarygodnej osoby na sali.

– Nie, Emmo B. Będę brał udział w Alternaween. To etyczne świętowanie na terenach rekreacyjnych hrabstwa. Czy znani są ci Obiektywiści z Ward?

Emma B. potrząsnęła głową.

– Oczywiście, że nie. Spójrz tylko na siebie. – Na dzinsy założyła różowe czapsy, co nie mogło być zgodne z prawdą historyczną. – No więc Alternaween to jedno z naszych największych wydarzeń. Każdy przynosi zakupioną z własnych środków torbę cukierków, by cieszyć się nimi w towarzystwie innych racjonalnych jednostek. Można częstować pozostałych, ale nie zachęcamy do tego. Jałmużna? W żadnym wypadku.

– Och – powiedziała Emma B.

– Sugerowałbym, żebyś ty również zapomniała o tradycyjnym świętowaniu Halloween. Czy wiesz, że źródła tego obyczaju tkwią w rytualnej prostytucji uprawianej wśród starożytnych Celtów?

– Nie.

– No cóż, nie spodziewam się, by osoba w twoim wieku mogła to zrozumieć, ale wystarczy powiedzieć, że słowo „trik” nie oznacza jedynie psikus. Cukierek albo psikus to obyczaj, który narusza samoocenę wszystkich biorących w nim udział osób. Jestem przekonany, że w społeczeństwie demokratycznym nie ma na to miejsca.

– Ale dostawanie cukierków to świetna zabawa – zaproponowała Emma B.

– Jasne, że tak. Jednak szacunek do samego siebie też jest bardzo fajny. Wybierz to, co jest dla ciebie bardziej istotne, Emmo B., bo nie można mieć jednego i drugiego.

– Okej – powiedziało dziecko.

Dźwięki skrzypeczek sygnalizowały, że zaraz rozpocznie się program artystyczny, poszłam więc na trybuny i usiadłam obok Madge. Przy niemrawym

aplauzie pojawił się dyrektor Chester ubrany w cylinder i frak niczym niska i historycznie nieznacząca wersja Abrahama Lincolna.

– Czy to Chester? Źle wygląda – stwierdziła Madge.

– Nie jest zły. Jest najgorszy – zauważyłam. Ale Calvin rzeczywiście źle wyglądał: chudy i wymizerowany niczym ktoś, kto o sobie nie dba, a w tym świetle odrobinę przypominał wręcz prawdziwego dziewiętnastowiecznego suchotnika. Podszedł do mikrofonu.

– Przybywam do was w przebraniu założyciela naszego miasta, Hiram Warda – zaczął. Zgodnie z przekazami historycznymi Hiram Ward był bogobojnym nudziarzem, a nie nałogowym pijakiem, a Calvin wyglądał tak, jakby tuż przed założeniem fraka nieźle się upodlił w jakimś rynsztoku, co jest prawdopodobnie najlepszym wyjściem, jeśli już zostałeś zmuszony, żeby się w ów frak wcisnąć. – W tym roku nasze dzieci będą pionierami innego rodzaju: pierwszym rocznikiem, który podejdzie do testu Cleaver po podniesieniu standardu oceniania. Będzie to od nich wymagać siły charakteru. Odwagi. Ale w ostatecznym rozrachunku, kiedy już nam się uda... Tym z nas, którym się uda... No więc: będziemy mogli być dumni, mając świadomość, że we wszystkich czterech kluczowych obszarach, zgodnie ze standardami ustanowionymi przez nieobieralnych biurokratów tego szacownego kraju, chociaż droga nie była łatwa ani prosta, nasz postęp był... adekwatny.

– Ale o co, kurwa, chodzi? – zapytała Madge półgłosem, mówiąc prawdopodobnie w imieniu nas wszystkich.

– A teraz bardzo proszę o uwagę, bo oto mieszkańcy Ward z roku około tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego zaprezentują muzyczną podróż, zabierając nas z powrotem do czasów, kiedy to nasze uroczyste miasto było tylko maleńką placówką na wzburzonym morzu traw.

Kwartet Ward zaintonował melodię i na sygnał Calvina dzieci zaczęły śpiewać. Brak słuchu nadrabiała natężeniem dźwięku. Piosenka mówiła coś o belowaniu siana, strzelaniu do bizonów i pocałunkach kradzionych ślicznym dziewczętom. Śpiewające dzieci przytupywały i wykonywały obszerne teatralne gesty. Sala gimnastyczna była wzburzonym morzem kamer wideo i błyskających fleszami aparatów fotograficznych.

- To wszystko nie jest takie złe – uznała Madge.
- Jest nawet całkiem dobre – przytaknęłam.
- Może już bez przesady. Ale widziałaś jego podpuchnięte oczy? Chyba miał ciężką noc – powiedziała Madge.
- Uważasz, że... pił? – podsunęłam, jakby była to jakaś zupełnie nowa koncepcja.
- No a ty nie?
- Zdecydowanie.
- Nie zostawiłabym tego mężczyzny samego z ostrymi przedmiotami – dodała Madge.

Dwa rzędy dzieci pojawiły się przed podium, by wykonać połączenie tradycyjnej czejeńskiej melodii *Pora skalpowania* i ulubionej piosenki pionierów *Czerwone widmo*. Połowa dzieci wystroiła się w papierowe pióropusze i wymalowała temperą, podczas gdy druga miała na sobie typowe stroje farmerów. W finale złapały się za ręce i zaśpiewały o szczerzej tolerancji dla odmiennych wierzeń i kultur oraz głębokim szacunku dla scentralizowanej władzy. Gwiazdka przy programie informowała, że treść oryginalnych tekstów piosenek została stosownie zmieniona.

Po owacji na stojąco, podczas której Calvin kłaniał się raz po raz jak wańka-wstańka, chociaż brawa były przeznaczone zdecydowanie dla dzieci, znalazłam Mitchella w tłumie i pogratulowałam mu. Promieniejąc z radości, pobiegł dołączyć do swoich kolegów z klasy, co było do niego zupełnie niepodobne.

Zabawiłam trochę dłużej w sali gimnastycznej, pogrążając się w rozmowie z Madge, z którą dawno nie miałam okazji pogadać, a której sprawa o morderstwo kiepsko się rozwijała. Proces rozpoczynał się za trzy dni i Madge obawiała się, że jej teoria tego przypadku, arcydzieło samo w sobie, jest po prostu zbyt skomplikowana i subtelna, by ława przysięgłych złożona z naszych rówieśników mogła się na niej poznać.

- To musi być prostsze. Tak proste, żeby się stało zrozumiałe dla tych

prostaków – powiedziała Madge. – Powtarzamy sobie, że nasza główniana edukacja nie ma żadnego znaczenia, ale uwierz mi, gdy twoje życie będzie w rękach dziewięciu analfabetów, to się przekonasz, że ma znaczenie. – Była zbyt zaabsorbowana sprawą swojej klientki, by zapytać o zbiórkę żywności, czym oszczędziła mi konieczności oznajmienia jej, że pozostali rodzice odrzucili ten projekt w głosowaniu. Miałam nadzieję, że może jakimś cudem ten temat nigdy już nie wypłynie. Obawiałam się, że winą obarczy mnie i moje „godne pożałowania umiejętności społeczne”.

– Dobrze wyglądasz, Becky. Jakbyś wracała do normalności.

– Co to znaczy?

– Normalność? W twoim przypadku oznacza to osobę robiącą dziesięć rzeczy naraz, zmotywowaną i mocno zahamowaną. Przez moment miałam wrażenie, jakbyś... Wszystko jedno. Nie rozgrzebujmy już tego. Trochę się z Benem martwiliśmy.

Życzyłam jej szczęścia i uścisnęłam na pożegnanie, obiecując, że się umówimy, jak tylko jej proces dobiegnie końca. Wychodząc ze szkoły, zatrzymałam się przy stojącym na korytarzu automacie z przekąskami. Czułam się dziwnie. Serce waliło mi jak młotem i nagle naszła mnie potworna, nieopanowana chęć na chipsy serowe. Wrzuciłam dolara, ale torebka utknęła w automacie, zawisając na haczyku.

– Spokojnie – powiedział Calvin Chester, stając za mną. – Czasem atak frontalny nie jest najlepszą metodą. Należy myśleć strategicznie. – Przechylił automat do przodu i chipsy wylądowały w stosownej przegródce.

– Dziękuję. – Wyciągnęłam przekąskę z maszyny i odpięłam ostatni guzik sukienki, żeby złapać odrobinę powietrza. Poczułam oblewającą mnie falę gorąca i zbliżający się atak paniki. Chyba druga dawka phocusa była nie do końca przemyślana.

– Rebecca... – zaczął Calvin, zniżając głos. – Czy ty...?

Zamierzałam wyjść, ale dioda w automacie z napojami stojącym za Calvinem zaczęła mrugać, rozbłyskując raz za razem, jakby chciała mi przekazać jakąś wiadomość. Czułam się coraz gorzej, ale lampka przykuła moją uwagę i nie pozwalała o sobie zapomnieć. Znajdowała się kilka

milimetrów na prawo od głowy Calvina, a ja gapiłam się na nią, oddychając nierówno.

Calvin podszedł krok bliżej.

– Co się z tobą dzieje?

Spojrzałam na niego, chociaż nadal rozpraszała mnie kwestia migającego światełka.

– Y?

– To ja się pytam. Czy jest coś, o czym myślisz, Rebecca? – Pochylił się bardzo nisko nade mną i zniżył głos do szeptu. Poczułam jego oddech na policzku. Otworzyłam usta, by mu odpowiedzieć, i z dolnej wargi skapnęła mi maleńka kropla śliny, rozpryskując się na dłoni, którą położył mi na przedramieniu, gdy studiowałam schemat rozbłysków migającej diody. – Rozumiem – powiedział, wycierając rękę w nogawkę spodni. Sprawiał wrażenie obrzydzonego i jednocześnie zaintrygowanego, a ja nie byłam w nastroju, by odpowiadać na jakiegokolwiek niezręczne pytania dotyczące stanu mojego zdrowia.

– Przepraszam! – wykrzyknęłam i rzuciłam się do drzwi.

Wróciłam do kliniki roztrzęsiona, zaśliniona i niezdolna do konfrontacji z doktorem Thadem. Nic więc dziwnego, że siedział przy moim biurku, kartkując leniwie akta oznaczone symbolem \*&\*, które Maryellen w końcu mi doniosła, choć w zamian za to i za zaimprovizowaną naprędce maselnicę musiałam jej obiecać, że w niedalekiej przyszłości spotkamy się we dwie na „babski wieczór”.

– Co pan z tym robi, doktorze? – zapytałam zdecydowanie. W jego obecnym stanie te akta były ostatnią rzeczą, którą powinien się zajmować. A w moim obecnym stanie, kiedy poziomem amfetaminy we krwi dorównywałam prawdopodobnie Elvisowi w czasach jego szaleństw w Vegas, ostatnią rzeczą, którą chciałam się zajmować, był on.

– Przygotowuję prezentację na konferencję na temat płodności, oczywiście. Założyłam, że poprosiłaś Maryellen, żeby wyciągnęła te akta jako materiały

źródłowe, ale nie widzę w nich żadnego wspólnego mianownika. Mamy tu endometriozę, zespół policystycznych jajników, oligozoospermię, macicę łukowatą, groch z kapustą. Odwalasz robotę byle jak, Becky. Co ty masz na sobie?

– To sukienka noszona przez osadniczki na prerii.

– Pewna jesteś? Długość sugeruje raczej koszulę noszoną przez osadników. Dotychczas byłem przekonany, że kobiety w tamtych czasach mogły najwyżej z rzadka błysnąć kostką...

– Na prerii osiedlali się różni ludzie – zaczęłam się bronić. Grzbietem dłoni otarłam odrobinę śliny z ust.

– Słusznie. Wyglądasz jak modelowa rozpustnica. Jak preriowa wersja Hester Prynne, poważnie. Mogłabyś się przebrać? Trochę mnie to... wytrąca z równowagi.

– Oczywiście – odpowiedziałam mężczyźnie, który nadal miał na sobie wczorajszy krawat.



Spędziłam długie nocne godziny na liczeniu kwadratów na kołdrze i wymienianiu z pamięci raz po raz stolic krajów latynoamerykańskich – najpierw alfabetycznie, a potem w kolejności powstania – i innych podobnych zestawień. Nie byłam w stanie zapaść w sen. Nad ranem sięgnęłam po ulotkę znajdującą się w opakowaniu tabletek Phocus i poniewczasie ją przejrzałam. Potwierdziła podejrzenia kiełkujące we mnie od kilku godzin, a właściwie od chwili, w której obśliniłam dyrektora szkoły mojego dziecka: poważnie przedawkowałam.

Zaliczałam teraz ciężki zjazd po przedłużonym tripie na phocusie i według użytkownicy karma\_chameleon04, przewodniczki trzeźwości na forum dla wychodzących z nałogu, następne czterdzieści osiem godzin miało kluczowe znaczenie, jeśli miałam nie osunąć się na powrót w uzależnienie od leków lub w uzależnienie od Bandercooka. Usiadłam przy biurku i zabrałam się do wertowania pokaźnej sterty podejrzanych akt oznaczonych symbolem \*&\*, ale mój nieomylny zwykle instynkt, pozwalający wywęszyć namiętności doktora Thada, tym razem zawiódł. Myślami wracałam nieustannie do pewnego motelowego pokoju, pewnego sprężystego materaca, pewnego muskularnego montera ze społecznych dołów, którego imię potrafiłam wykrzyzczyć, lecz nie wymówić publicznie. Zgodnie ze świadectwami tych, którzy przeżyli to wcześniej, należało się tego spodziewać. Wzięłam z butelki łyk wody, co przyniosło chwilową ulgę moim wyschniętym wargom, i próbowałam sobie przypomnieć kilka wersów modlitwy o pogodę ducha, ale w głowie miałam kompletną pustkę.

Olbrzymim wysiłkiem woli skierowałam swoją uwagę na akta. Nasze ciemnowłose pacjentki były krzepkimi, pragmatycznymi mieszkankami Środkowego Zachodu, młodymi i wysportowanymi. Widziałam jednak, jak

w miarę upływu lat przybierały na wadze pod swoimi obszernymi bluzami, przygotowując bez końca potrawki z fasoli, chili i mięsa dla dzieci, którymi ja i doktor Thad mieliśmy je obdarzyć. Stawały się coraz pogodniejsze, aż w końcu zupełnie zniedołężniałe fizycznie i umysłowo, uśmiechały się tylko bezmyślnie do wszystkich razem i każdego z osobna. W takich doktor Thad, łagodnie mówiąc, nie gustował. Ale to musiała być któraś z nich. Jedna z szatynek oznaczonych \*&\* nie była tym, na kogo wyglądała. Jedna z tych rozsądnych kobiet była tak naprawdę popijającym szampana kłębowiskiem wybujałych namiętności. Ale która?

– Każdego roku – powiedział doktor Thad głośno tuż pod moimi drzwiami – większość młodych ludzi choć odrobinę wybijających się ponad przeciętność wyjeżdża nie tylko z Ward, ale w ogóle z tego stanu. Stąd bierze się spadek wyników testu Cleaver i ogólny upadek biznesu i przedsiębiorczości. Jeśli czegoś się z tym nie zrobi, zostaną nam tylko orne pola, bydło, które już w tej chwili przewyższa nas liczebnie, i wyzyskiwana siła robocza, którą ściąga się tutaj okresowo, żeby przerabiać to bydło na wyroby mięsne. Staniemy się wioską idiotów.

Zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko, próbując się skoncentrować na delikatnej robocie, którą miałam przed sobą. Położyłam ręce na stercie akt i czekałam na przebłysk geniuszu. Która to? Czekałam. Nic. Najlepszego przeczucia.

– Która to?! – krzyknęłam, ciskając malutkim bambusem w doniczkę, który doktor Thad podarował mi w zeszłym roku na Gwiazdkę. Doniczka roztrzaskała się na stosik obsypanych ziemią skorup. Za cienkimi ścianami gabinetu zapadła martwa cisza. Na jednej ręce mogłabym policzyć, ile razy dotychczas straciłam cierpliwość. Tutaj nikt nigdy nie słyszał nawet, żebym podniosła głos.

Ograniczanie strat było jedną z moich silnych stron, więc wiedziałam, że najlepiej będzie zająć się tym incydentem natychmiast, zanim wszyscy zaczną wyciągać najprzedziwniejsze wnioski. Wyszłam z za drzwi.

– Być może usłyszeliście właśnie odgłos rozbijanej ceramiki... – zaczęłam, mówiąc spokojnie i uśmiechając się, by uspokoić swoich oniemiałych

i wystraszonych słuchaczy, wśród których, ku memu przerażeniu, znajdował się również sam doktor Thad. Otaczał właśnie ramieniem parę pacjentów skierowanych na zabieg *in vitro* i utkwiał we mnie nad wyraz osobliwe spojrzenie. Maryellen trzymała się za pierś i nawet recepcjonistka wytrzeszczyła wyblakłe oczy. – Przepraszam... – zaczęłam jeszcze raz. I wtedy uzmysłowiłam sobie, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Nie istniało żadne wyjaśnienie, które mogłabym albo chciałabym im przedstawić. Wyszłam, nie kończąc zdania i nie biorąc płaszcza, przepchnęłam się obok doktora Thada i pozostawiłam jego, Maryellen, recepcjonistkę i pacjentów samym sobie.

Hayes mógł być w którymkolwiek miejscu autostrady międzystanowej I-80, sam lub z ekipą, tkwiąc wysoko na podnośniku, wdrapując się po słupie albo, jeśli znów wdał się w spór z urzędnikami, po prostu stojąc na poboczu drogi i machając flagą w ramach kary, podczas gdy inni odwalali pokazową robotę. Szukanie go nie miało sensu. Pracował w promieniu przynajmniej stu pięćdziesięciu kilometrów.

– Nie ma sensu go szukać – powtórzyłam głośno, wyjeżdżając za rogatki miasta, zdenerwowana i z zaschniętym gardłem, w kierunku zaniedbanej nigdyś dzielnicy o nazwie East Bottoms. Większość Bandercooków, którzy nie uprawiali ziemi, mieszkała właśnie tutaj, chociaż cała ta okolica zyskała ostatnio na popularności. Młode rodziny remontowały stare domy i parkowały na wąskich uliczkach minivany oklejone nalepkami dającymi do zrozumienia, że posiadacze tych samochodów ukończyli studia z wyróżnieniem, a do tego zwyciężyli w kilku biegach długodystansowych, ku konsternacji długoletnich mieszkańców w rodzaju Bandercooków, którzy robili, co w ich mocy, żeby powstrzymać gentryfikację. Dom Hayesa był stosunkowo mało zaniedbany, choć właściciel nie zadał sobie trudu, by choć odrobinę uporządkować jego otoczenie. Chyba żeby uznać zardzewiałą wannę stojącą obok domu za element dekoracyjny.

Wcisnęłam dzwonek, przestępując z nogi na nogę na zimnie i nie wiedząc, co pocznę, jeśli ktokolwiek mi otworzy. Tymczasem ten ktoś zrobił to niemal

natychmiast. Echo kurantu jeszcze nie przebrzmiało, kiedy w drzwiach stanął Rusty Bandercook kończący smarować sobie kanapkę musztardą.

– Pani doktor? – Miał na sobie zwykłe, codzienne ubranie Bandercooków: koszulkę z nazwą zespołu i parę obszernych sztruksowych spodni, do których założył wełniany, zapinany z przodu sweter w paski. W jednej ręce trzymał kawałek chleba, a w drugiej ubrudzony musztardą nóż.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – powiedziałam, wskazując na kanapkę.

– Zupełnie nie – odparł Rusty. – Proszę wejść.

– Och, chyba nie powinnam. – Cofnęłam się od drzwi.

– Hayes nie będzie miał nic przeciwko – stwierdził wprost Rusty. – Nawet nie ma go w domu.

Stałam w progu, mając ochotę natychmiast uciec, jednocześnie dziwnie zaintrygowana pomysłem rozejrzenia się po domu Hayesa. Nie wiedziałam prawie nic o jego życiu poza motelem Fox.

– Z całym szacunkiem, pani doktor, ale jest o wiele za zimno na takie rozterki. Z jakiegoś powodu pani tu przyszła. Nikt tak sobie po prostu nie zajeżdża do tej cholernej dzielnicy... chyba że mu zabrakło pasty na kanapki. Więc proszę wchodzić i przejdźmy od razu do rzeczy.

Weszłam za nim do domu, zauważając zarwaną szarą kanapę, ślubną kapę złożoną na wiklinowym fotelu na biegunach i lekko przekrzywiony oprawiony w ramki plakat przedstawiający ośnieżone górskie szczyty, który wiele lat temu był częścią kampanii promocyjnej piwa Bold County. Rusty zaprowadził mnie do kuchni i zaczął układać różowe plastry mięsa na posmarowanym musztardą chlebie.

– Proszę siadać – zaprosił, więc odsunęłam sobie od stołu rzeźbione krzesło na wrzecionowatych nóżkach i usiadłam. – Nie wygląda pani najlepiej. Zrobię pani kanapkę.

– Okej. – Myśli mi się rwały i rozmywały, brakowało mi przenikliwej ostrości spojrzenia, której doświadczyłam wczoraj, ale w tym momencie normy społecznej oceny były mi równie obojętne jak upalonemu nihiliście

z college'u, więc wzięłam podawane mi przez Rusty'ego talerz i szklanę kranówki. Kanapka była znakomita. – Nie powinien pan być w pracy?

– Urlop na życzenie – odparł Rusty, żując gwałtownie. – Kwestie religijne. Świętuję dzień przesilenia.

– To wypada w grudniu – zauważyłam.

– W pani kalendarzu. Wszystko jedno. Wiem, dlaczego pani tu przyszła.

– Naprawdę? – zapytałam, odgryzając kęs kanapki. Wiedział więcej niż ja. Teraz, kiedy już tu dotarłam, nie potrafiłam sobie wyobrazić, co mogłam mieć nadzieję uzyskać. Wariacki impuls, który przywiódł mnie tutaj z biura, zupełnie zniknął. Może po prostu byłam głodna? Tak czy inaczej, Hayes biegał właśnie po zaśnieżonych polach ręką w rękę z Sheilą Glass, a w tym scenariuszu nie było dla mnie miejsca. W każdym razie spodziewałam się, że go nie ma. Nie miałam pojęcia, gdzie przebiegają granice mojego upodlenia, ale pozwoliłam sobie na ostrożnie optymistyczne przypuszczenie, że miłosny trójkąt z Bandercookiem i prowadzącą keno amatorką tańców liniowych z tatuażem na piersi te granice przekracza.

– No to teraz tak. Najbardziej prawdopodobnym i logicznym wyjaśnieniem jest to, że przyszła pani przeprosić i poprosić mnie, żebym na powrót został dawcą nasienia dla pani kliniki. Mam rację?

Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się, czy bardziej nieprzyjemne będzie zwierzenie się Rusty'emu, czy przyjęcie od niego kolejnego pojemniczka ze spermą.

– Tak, myślę, że możemy się zgodzić, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie pani wizyty. I oczywiście jest pani tutaj jak najmiej widziana. Czy mogę pani zrobić jeszcze jedną kanapkę?

Potrząsnęłam głową.

– No cóż, nie będę pani trzymał w niepewności. Odpowiedź brzmi „tak”. Podejmę znów obowiązki dawcy.

– Świetnie – odparłam. – No to ja już chyba pójdę.

– Proszę poczekać – powiedział Rusty, unosząc palec wskazujący w kierunku porowatego sufitu, jakby miał właśnie wygłosić jakąś niezwykle

cenną uwagę. – Ta teoria kupy się nie trzyma, pani doktor. Nie przyszła tu pani do mnie. Miała pani wszelkie powody, by sądzić, że będę jak zwykle pracował w szkole, i nie miała pani absolutnie żadnych powodów, by sądzić, że będę tutaj, w tym domu, gdzie nawet na co dzień nie mieszkam. To nielogiczne. I jeśli pani tego nie widzi, to pani dyplom lekarski nie jest wart papieru, na którym został wydrukowany.

– Brzmi to bez wątpienia bardzo przekonująco – zgodziłam się. Kiedy tak Rusty krążył po kuchennej terakocie niczym Herkules Poirot zwracający się do podejrzanych zgromadzonych w sali balowej, naszła mnie nieodparta chęć zaciągnięcia się z cygarniczki *art déco*.

– Myślę, że możemy zgodnie uznać fakt, że wpadła pani właśnie na mnie, za szczęśliwy zbieg okoliczności. Jakie zatem pozostają nam opcje? No cóż, rozłożmy to na czynniki pierwsze. Czyj to dom? – Rusty wycelował we mnie palec, oczekując odpowiedzi.

– Hayesa – odrzekłam.

– Bingo! – powiedział Rusty. – Przyszła pani do domu Hayesa, by zobaczyć się z Hayesem. Może pani teraz powiedzieć, że to niedorzeczne. W końcu jest pani doktorem medycyny. A Hayes... – Rusty zaśmiał się sucho. – Hayes jest zwykłym pajacem.

Wzięłam potężny łyk kranówki, ale zrobiłam to zbyt szybko i część pociekła mi po brodzie.

– A jednak – ciągnął Rusty, znów kierując palec wskazujący w górę – poddaję pod rozwagę...

– Czy jest tu gdzieś łazienka? – przerwałam mu.

Rusty obrócił się na pięcie i odparł normalnym tonem:

– Oczywiście, że jest tu łazienka. Co pani sobie myśli? Że żyjemy jak zwierzęta? Korytarzem po lewej.

Korytarz nie był długi, a i tak udało mi się źle skręcić, trafiając do sypialni Hayesa, posprzątanej i bezosobowo oszczędnej, niezdradzającej śladu jego osobowości, jeśli nie liczyć stojącego na samym środku wielkiego wodnego łóżka z jasnego drewna.

– Co za pajac – powiedziałam sama do siebie i zaczęłam przetrząsać jego szuflady. Jakieś resztki amfetaminy musiały się jeszcze ostać w moim organizmie, bo natychmiast wciągnęłam się w tę pracę bez reszty, sporządzając w pamięci listę zawartości każdej z szuflad: grube skarpetki robocze i szkocka krata we wszystkich możliwych odmianach, cała systematyka szkockiej kraty, każda jej gromada, rząd, rodzaj, gatunek i odmiana. Wyprawa do łazienki zaczynała się mocno przeciągać, ale grzebałam dalej, pozwalając Rusty’emu snuć najbliższe domysły co do stanu moich kiszek.

Przyglądałam się właśnie badawczo dużemu opakowaniu prezerwatyw – nieotwartemu – kiedy rama okna podsunęła się do góry i do środka wśliznął się Hayes, cicho jak włamywacz, chociaż miał na sobie grubo podzielowane buty i był to w końcu jego własny dom. Założyłam, że musi mieć jakieś powody. Gapiliśmy się na siebie przez chwilę, aż w końcu upuściłam opakowanie prezerwatyw na łóżko wodne, jakby było rozpaloną do czerwoności sztabą. Powierzchnia łóżka zafalowała.

– Wiedziałem, że znów cię zobaczę – uśmiechnął się Hayes. Miał nadzwyczaj łagodny głos, zwłaszcza jak na Bandercooka, a ja starałam się nie myśleć o tym, gdzie mógł nabrać takich złodziejskich nawyków. Oczy mu rozblęły, jakby się poczuł... zrehabilitowany. Zastanowiłam się przez moment, czy ten termin mógł należeć do zasobu jego słownictwa.

– Wiedziałaś? – To miało zabrzmieć wzgardliwie, bo jego nadmierna pewność siebie działała mi na nerwy, ale w tych okolicznościach nie zdobyłam się na szyderstwo. Być może przypadkowo w moim głosie dała się słyszeć jakaś żalosna nuta. Hayes przemierzył pokój i poderwał mnie z ziemi, po czym rzucił na swoje żenujące łóżko z epoki Burta Reynoldsa, zanim zdążyłam zrobić jakąś złośliwą uwagę na temat jego niedawnej namiętności do keno.

– Jesteś jak płochliwa sarenka – powiedział, drapiąc mnie w obojczyk swoim kilkudniowym zarostem.

– W jakim sensie? – zapytałam, ale Hayes porzucił metafory językowe na rzecz całowania, które było jego silną stroną. Odepchnęłam go. – Rusty tu jest

– wyszeptałam.

Hayes zamarł, zawisając nade mną oparty na łokciach, i wytrzeszczył oczy.

– A co on tutaj robi?

– Kanapki – wyszeptałam.

– No to musisz iść. Bardzo mi przykro. Teraz nie możemy. Już, już, przez okno.

Hayes popchnął mnie w stronę otwartego okna, przez które wpadały małe płatki śniegu.

– Ale Hayes, on już...

– Musimy to zachować w tajemnicy. Koszmarnie się z tym czuję, ale to najlepsze rozwiązanie, wierz mi – stwierdził Hayes i opuścił mnie na podwórko, stawiając na stercie czerniejących liści wiązu. – Odezwę się – wyszeptał i zamknął okno.

Przeszłam przez podwórko na tyłach do samochodu. Od dłuższej chwili padał lekki śnieżek i miękkie, białe płatki przysypały zardzewiałą wannę. Podniosłam garść śniegu i ugniotłam ją w rękę, zastanawiając się, czy to możliwe, że Hayes się mnie wstydzi.



– Stokrotne dzięki, Rusty – powiedziałam, unosząc obciążoną lateksem rękę w pożegnalnym geście, by wygonić go wreszcie z biura. Drugą rękę, w której ściszałam pojemniczek z nasieniem, trzymałam tuż nad koszem na śmieci, czekając tylko, aż Rusty wreszcie się zabierze. Tego ranka był nadzwyczaj rozmowny.

– Ależ nie ma za co. Miałem się zająć przygotowaniem budynku szkoły do zimy, ale pomyślałem sobie: „A, pieprzę to!”.

– No proszę.

Na zewnątrz wiatr miotał płatkami śniegu na wszystkie strony. „Za moment to wszystko stopnieje – powiedział Reyne Reynolds w porannej prognozie pogody. – To tylko mały przedsmak mroźnego piekła, które dopiero nadchodzi. Deb, oddaję głos do studia”. Deb roześmiała się niezręcznie i chyba wcześniej niż planowano puszczono reklamę kancelarii prawnej Barton & Theopolous nazywanej „Podwójnymi palcami Boga”. Ręka mi ścierpła. Wyrwana z zamyślenia podniosłam wzrok na Rusty’ego i spostrzegłam, że nadal jest w moim biurze i sam nad czymś się zastanawia.

– Jak zima złapie, to już nie odpuści. Najwyższy czas, żeby dobrze uszczelnić te drzwi i okna przed zimą.

– Oto właściwe podejście do pracy.

– To do zobaczenia.

„Jeszcze tylko raz i jesteśmy kwita” – pomyślałam. Planowałam wziąć trzy porcje, ale za te pogawędki jedną mu potrąciłam. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, wrzuciłam pojemnik do śmietnika.

– Becky! – wykrzyknął doktor Thad, kiedy pojemnik uderzył w dno śmietnika. Miał brzydki zwyczaj pojawiania się znikąd w najmniej

odpowiednich momentach. – Proszę, powiedz mi, że nie wyrzucasz nasienia do biurowych śmieci ogólnych. Miej odrobinę szacunku dla siebie.

– A co to ma wspólnego z szacunkiem dla siebie? – zapytałam jak skończona idiotka, zamiast po prostu zaprzeczyć, jak zrobiłaby to każda rozsądna osoba złapana na czymś takim.

– Byłaś taka młoda, Becky. Taka młoda, kiedy cię spotkałem. Tyle było w tobie pasji! Tyle ognia! A teraz? Spójrz na siebie.

To prawda, kiepsko wyglądałam w lawendowym, ale to Angie wybierała paletę kolorów biurowych i dlatego właśnie wszyscy jesteśmy skazani na noszenie lawendowej odzieży medycznej, która rzekomo wyraźnie odcina się od tapicerki w kolorze grzybów Navaho, w każdym razie dopóki Angie nie znajdzie jakaś inna zachcianka. Doktor Thad, jak zauważyłam, nie wyglądał na szczególnie ogarniętego pasją. Był blady i zmęczony, a na odzież medyczną narzucił długi blezer z parzonej wełny, chociaż na zewnątrz było dość ciepło jak na tę porę roku.

– Oboje byliśmy bardzo młodzi – zauważyłam. Wydawało mi się, że ja sama trzymam się całkiem nieźle, ale w bezlitośnie jasnym świetle można było dostrzec, że czas nie obszedł się łaskawie z doktorem Thadem. Był delikatnym kwiatem z Południowego Wybrzeża, któremu w klimacie takim jak ten przeznaczone były uwiad i śmierć, choć pesymista mógłby wtrącić, że wszystkim nam przeznaczone jest to samo, niezależnie od klimatu.

– A teraz stoisz sobie tutaj, wrzuciwszy do zwykłych śmieci pojemniczek bezwartościowej spermy woźnego, kiedy jest u nas specjalny pojemnik na odpady medyczne, nie wspominając już o najnowocześniejszym zbiorniku do mrożenia i przechowywania nasienia, który mamy finansowy i moralny obowiązek wypełnić najlepszym materiałem genetycznym.

Kipiący oburzeniem doktor Thad wymaszerował z gabinetu.

Przez cały ranek omijałam doktora Thada szerokim łukiem, a on wyładował swoje zniesmaczenie moją postawą, dokonując kolejnego handlowego wyczynu w postaci finalizacji sprzedaży pakietu IVF Deluxe parze specjalistów od podnoszenia poziomu kultury rolnej, która nie mogła się

zdecydować, czy nie podpisać umowy z naszą konkurencją z Roane Clinic. Należały mu się gratulacje.

– Zamraża doktor jakichś koleżków? – zapytałam, wchodząc do laboratorium.

– Zgadłaś – uśmiechnął się doktor Thad. Umieszczał właśnie na lodzie czwórkę mikroskopijnych dzieci, które miały czekać w zapasie. Jeśli w przypadku ich rodziców wszystko pójdzie dobrze, nigdy nie trzeba będzie po nie sięgać. A jeśli pójdzie źle – jeśli ich bardziej obiecujące rodzeństwo się nie przyjmie – i jeśli tym ziomkom uda się przejść pomyślnie etapy rozmrożenia, implementacji, ciąży i porodu, to prawdopodobnie któregoś dnia zobaczymy ich na mieście.

Doktor Thad nie wspomniał nawet słowem o naszych wcześniejszych nieporozumieniach. Nie powinnam się martwić. Ani on, ani ja nie czuliśmy nigdy potrzeby przegadania każdego najmniejszego potknięcia, które się zdarza od czasu do czasu w trakcie normalnej współpracy. Byliśmy ze sobą związani na poziomie intelektualnym; największe znaczenie dla nas obojga miała praca. A dzisiaj byliśmy tak urobieni, że nie mieliśmy czasu na przeprosiny i pocałunki na zgodę, mówiąc w przenośni. Przebywanie w miejscu, w którym uczucia nie miały znaczenia, w czystych i uporządkowanych wnętrzach dobrze zarządzanego laboratorium, przynosiło prawdziwą ulgę.

Skoncentrowałam uwagę na jajeczkach dwudziestoosmioletniej stypendystki programu Fulbrighta, której pragnienie udzielenia pomocy bezpłodnej parze ustępowało rozmiarami jedynie przyłaczającej kwocie kredytu studenckiego. W gruncie rzeczy była już o rok za stara na dawczynię, ale z czystego współczucia sfałszowałam jej datę urodzenia i rozpatrzyłam pozytywnie jej wniosek. „Zachowamy to w absolutnej tajemnicy” – powiedziałam jej, co przynajmniej na razie było prawdą. Czasem zastanawiałam się, czy uda nam się dotrzymać tego sekretu. Drobną zmianą prawa i pewnego dnia dziecko wychowane gdzieś na przedmieściach Ward zapuka do jej drzwi, zwracając się do niej „mamo”.

Nigdy nie podnosiłam tych pojawiających się okazjonalnie wątpliwości w obecności doktora Thada. Prawdopodobnie podsumowałby swój pogląd na

te sprawy krótkim: „Nie myśl o tym”. Teraz jednak powiedziałam:

– Sądzę, że właśnie zahamowaliśmy drenaż mózgów.

Doktor Thad nagroził mnie jednym ze swoich rozkosznych chichotów.

– Mieliśmy w tym miesiącu mnóstwo wydatków – ciągnęłam lekkim, niezobowiązującym tonem, a przynajmniej miałam nadzieję, że tak to brzmi, zachęcona przyjaznym nastrojem doktora Thada. Pozyskanie takiej ilości spermy i jajeczek z najwyższej półki wiązało się z rekordowymi wydatkami, a ponieważ musieliśmy jeszcze zapłacić za nowy zestaw do zamrażania, który doktor Thad właśnie kupił, nasz okręt niebezpiecznie się przechylił. Wystarczyło kilka solidnych transakcji, by wyprostować kurs, ale w tym nie byłam najlepsza i ostatnie nieobecności doktora Thada mocno się na nas odbiły.

– Ten zestaw spłaci się z naddatkiem setki razy – odparł doktor Thad, wsuwając zabłąkany kosmyk włosów pod papierowy czepek laboratoryjny.

– To przyszło dzisiaj – nie ustępowałam, wyjmując z kieszeni fakturę za prąd, jakby to był drobiazg. Ataki paniki doktora Thada to nic miłego; ich unikanie wymagało wyczucia. – Wygląda na to, że termin płatności już minął, co jest pewnym problemem. Saldo na koncie mamy raczej niewysokie. Nawet biorąc pod uwagę dzisiejszą transakcję, cienko przędziemy. Oczywiście nie ma się czym martwić. Wiem, że gamety tych geniuszy wkrótce przyniosą nam zysk, ale do tego momentu musimy z czegoś opłacić rachunki.

– Oczywiście – zgodził się doktor Thad, ale widziałam, że nie udało mi się przykuć jego uwagi. Sortował teraz plemniki, odrzucając te, z których powstałyby dziewczynki, w imieniu trzydziestoparoletniej pary prowadzącej franczyzową cukiernię w pobliżu Des Moines, która chciała się doczekać męskiego potomka. – Jakbyśmy tu nadal mieli prawo majoratu czy jakieś inne gówno – stwierdził doktor Thad. – Jeden z was, małe skurwysyny, odziedziczy sklep z pączkami w jakiejś dziurze w Iowa. Czy to nie jest coś?

– W sumie zabawna sprawa z tym rachunkiem za prąd, bo tu jest napisane „ostateczne wezwanie do zapłaty”. Ale to pewnie pomyłka. Więc jak tylko uda się panu sprzedać jeszcze kilka tych pakietów IVF, wyjdziemy na prostą.

– Becky – powiedział doktor Thad.

– Tak, panie doktorze?

– Gdzie my teraz jesteśmy?

– W laboratorium. – Nie dodałam, że w laboratorium kriogenicznym: laboratorium, na którym spoczywa święty obowiązek zachowania dla potomności potencjału genetycznego setek naszych klientów w formie zamrożonych, odłożonych na czarną godzinę gamet, nie wspominając o embrionach.

– A kiedy jesteśmy w laboratorium, Becky, muszę się skoncentrować. Nie mogę pozwolić na to, żebyś mnie rozpraszała jakimiś drobnymi sprawami bieżącymi. Po prostu zajmij się tym.

Miałam wykształcenie w dziedzinie mikrobiologii, a nie księgowości, o czym doktor Thad doskonale wiedział, ale w tym momencie był zbyt zdenerwowany, by o tym pamiętać.

– Zostawiłam kilka wiadomości dla... uhm, Angie...

Przerwał mi.

– Nie możesz w każdej sprawie polegać na Angie – przypomniał mi doktor Thad. – Po prostu zapłać ten rachunek.

– Nie mamy wystarczających środków na koncie.

– Niemożliwe. – Machnął lekceważąco swoją kształtną dłoń. Potrafił być porywczy i kiedy był tak usposobiony, bardzo trudno się z nim dyskutowało, ale się nie poddawałam.

– Jeśli nie zapewnimy sobie w krótkim czasie znaczących wpływów, pod znakiem zapytania stanie możliwość wypłaty wynagrodzeń.

– Ile mamy na koncie? – zapytał. Udzieliłam mu odpowiedzi. – Sprawdź jeszcze raz – nakazał nieco ostrzej, ale że był wykształconym na Harvardzie naukowcem, jedną z najważniejszych postaci w dziedzinie płodności i kriobiologii, a nie pracownikiem obsługi klienta, nauczyłam się nie zwracać uwagi na jego drażliwość. Sprawdziłam jeszcze raz.

– Proszę samemu zobaczyć – poprosiłam, wyciągając ku niemu telefon. Na fatalistycznie podświetlonym ekranie saldo na koncie wyglądało jeszcze bardziej złowroźnie. Doktor Thad pochylił się i zerknął na wyświetlacz.

Temperatura pracy w laboratorium kriogenicznym wynosi dobre kilka stopni poniżej poziomu komfortu przeciętnego człowieka. Doktor Thad bardzo łatwo marzył i dlatego zawsze szyję miał owiniętą wełnianym szalikiem w oryginalny wzór. Ku memu zaskoczeniu użył go teraz do otarcia z czoła kropli potu.

– Czy dobrze się pan czuje, panie doktorze?

Doktor Thad uśmiechnął się, ale był to niewesoły uśmiech sugerujący ukryte zmartwienia. Byliśmy tego samego wzrostu, więc mogłam mu spojrzeć prosto w oczy, zwykle stanowcze i nieprzeniknione, lecz w tym momencie pozbawione tej niezwyklej witalności, dzięki której nasza klinika wyznaczała standardy opieki zdrowotnej w całym regionie środkowozachodnim. Z jego wyglądu wywnioskowałam, że nadszedł czas na wyznania.

– Och, Becky – wyszeptał w moje włosy, bo ku memu całkowitemu zaskoczeniu otoczył mnie nagle ramionami i zamknął w uścisku. W historii naszej dwunastoletniej współpracy było to wydarzenie całkowicie bez precedensu, ale objęłam go niezgrabnie rękami w rękawiczkach, starając się zachowywać naturalnie.

Żaden przyzwoity naukowiec nie odrzuci teorii ot tak, nie przyglądając się nawet danym, a ja ukończyłam studia jako jedna z najlepszych na roku. Z tego względu w świetle zgromadzonych faktów zmuszona byłam się zastanowić, czy koncepcja Maryellen na temat doktora Thada i jego sezonowego obłądu nie zasługuje na uwagę.

– Oczywiście, że nie – powiedziałam na głos i skupiłam się na kwestii wynagrodzeń. Jeśli doktor Thad i ja zrezygnujemy na razie z wypłaty, to prawie uda nam się dopiąć bieżący budżet. Ale sam pomysł – absurdalny, zrodzony w głowie Maryellen – nie dawał mi spokoju. Brnęliśmy przez szary listopad i zdawało się, że odbija się to nawet na recepcjonistce, która zdecydowanie nie sprawdzała się jako pracownik, ale poza tym zwykle tryskała energią. Z wykładów z historii pamiętałam, że teoria grawitacji została podsumiowana sir Izaakowi Newtonowi przez nierozgarniętego woźnicę. – Niech będzie – odezwałam się znów, zerkając na ekran. – Po prostu to sprawdzę.

– Do kogo mówisz?! – krzyknęła Maryellen z końca korytarza.

– Do nikogo! – odpowiedziałam, zamykając drzwi.

Dzięki rygorystycznie prowadzonej dokumentacji dosłownie chwilę zajęło mi wygenerowanie mapy skupień incydentów z doktorem Thadem w roli głównej. Pociągnęłam łyk kawy i wbiłam wzrok w ekran. W listopadzie, grudniu i styczniu od kropek było aż gęsto. Letnie miesiące były całkiem puste, sygnalizując zupełny spokój. Ani razu w ani jednym roku kalendarzowym doktor Thad nie romansował z pacjentką, nie zapisał się na umór ani nie wdał się w żadną burdę wcześniej niż w połowie października ani później niż na początku marca. Fakty mówiły same za siebie: doktor Thad dokonywał aktów autosabotażu i prezentował wachlarz dysfunkcji w taki sam sposób, w jaki inni ludzie wyciągali ozdoby świąteczne i prezentowali pięknie przystrojone drzewka: sezonowo.

– Czy to możliwe? – wyszeptałam.

– O co chodzi?! – zawołała Maryellen tuż spod moich drzwi, gdzie prawdopodobnie stała, przyciskając to swoje gumowe ucho do skrzydła z włókna szklanego.

– O nic! – odkrzyknęłam.

Gdybym tylko mogła pokazać ten dokument doktorowi Thadowi. Zobaczywszy dramatyczną topografię tej mapy skupień, nie mógłby zaprzeczyć, że dane dostarczały silnych, jeśli nie niezaprzeczalnych argumentów na poparcie tej tezy. A potem? Może dałoby się to leczyć? Roztoczyła się przede mną panorama życia, w którym doktor Thad wybiera monogamię, trzeźwość i rozwiązywanie konfliktów bez odwoływania się do przemocy. To był piękny widok. Jakich moglibyśmy dokonać przełomów! Jakimi prestiżowymi nagrodami zostalibyśmy obsypani, gdyby tylko doktor Thad był w stanie poświęcić naszej pracy swoją całkowitą uwagę przez cały rok! No i pieniądze!

Ale nie mogłam mu pokazać tej mapy. Nie mógł się dowiedzieć ani tego, że dzięki uważnej obserwacji jego zachowania poznałam dosłownie wszystkie jego sekrety, ani że kierowana jak najlepszymi intencjami prowadzę systematyczny zapis wszystkich jego potknięć. Bez wątpienia uznałby to za „ze

wszech miar dziwaczne i podejrzone, przywodzące na myśl praktyki najzwyczajszego seryjnego zabójcy” – tak właśnie zareagował, kiedy mimowolnie się zdradziłam z wiedzą o tym, że woli pastę z dodatkiem starześli rozesłanej od miętowej. To było niesprawiedliwe. Każda spostrzegawcza osoba, która miałaby okazję regularnie przeglądać jego szafkę z lekami, doszłaby do tego samego, a tymczasem mnie od czasu tego stosunkowo nieznaczącego odkrycia nie wpuszczano już za próg rezydencji Sorensonów.

Wydrukowałam dokument i wsadziłam go razem z ulotką na temat dorosłego ADHD do kieszeni, po czym ruszyłam korytarzem do gabinetu doktora Thada. Musiałam sprawić, by dostrzegł, że jego zespół nadpobudliwości psychoruchowej z zaburzeniami koncentracji uwagi rujnuje mu życie. I co ważniejsze: niszczy nasze przedsiębiorstwo.

– Panie doktorze?

– O co chodzi, Becky? – zapytał, nie podnosząc wzroku. Pochylony nad telefonem, zestrzeliwał śmigłowce wroga czołgiem z epoki II wojny światowej. Zamknęłam za sobą drzwi, a doktor Thad poderwał głowę. – Czy to rozmowa z gatunku tych toczonych przy drzwiach zamkniętych?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko... To dość osobiste.

– Oczywiście – powiedział doktor Thad, lecz nadal patrzył nieufnie.

– Zastanawiam się tylko... Jak to ująć? Czy kiedykolwiek podjął pan pochopne decyzje, których nie potrafił pan później wyjaśnić? – Miałam zamiar przeprowadzić go przez kolejne pytania kwestionariusza zamieszczonego na odwrocie ulotki, po czym podliczyć jego wynik. Dostałby co najmniej siedem punktów, co wskazywało na wysokie prawdopodobieństwo ADHD, a wtedy musiałby się zmierzyć z problemem.

Doktor Thad odchylił się na krześle i strzelił palcami.

– Zakładam, że żartujesz. – Skrzywił usta niemal gniewnie.

– Nie.

– Oczywiście, że nie. Ty nigdy nie żartujesz, wiem o tym. Podobnie jak ty



wiesz, że przez te lata owszem, zdarzało mi się zachowywać impulsywnie. Myślę, że nie będzie przesadą, jeśli stwierdzę, że pochopne zachowanie jest nawracającym schematem, wyraźnie zaznaczającym się rysem mojej osobowości.

Energicznie kiwałam głową.

– Nawet tego dnia, Becky, kiedy się poznaliśmy, co się wydarzyło? Przypominasz sobie?

– Wdał się pan w bójkę na pięści z jakimś lekarzem. Poszło o jego narzeczoną, panie doktorze.

– I myślisz, że to było rozważne zachowanie? Czy to jest coś, co wspominam z rozczeniem, przepełniony głęboką satysfakcją płynącą z tego, w jaki sposób postąpiłem?

– Trudno mi powiedzieć.

– Napaść na własnego supervizora... To chyba można uznać za pochopne zachowanie, nie sądzisz? A wiesz, co się stało z doktor Van Heuss? Ostatnio udziela się w ruchach antyszczepionkowych... Tak, tak. Kompletna, zdemenciała wariatka. I dla niej, Becky, właśnie dla niej, niemal zrujnowałem swoje małżeństwo i swoją karierę. Nie, nie potrafię tego wyjaśnić, nie ośmieliłbym się nawet podjąć takiej próby.

Na razie szło lepiej, niż ośmieliłabym się przypuszczać.

– Proszę, wyjaśnij mi, dlaczego przychodzisz, przerywasz mi pracę i rzucasz mi w twarz moje najgorsze chwile, moje najdotkliwsze upadki? Odpowiedz mi, czy te wszystkie lata, kiedy wydawałaś się taka cierpliwa i nieskłonna do ferowania pochopnych wyroków, były tylko zasłoną dymną? Sądziłem, że mnie rozumiesz. Sądziłem, że mi współczujesz.

– Nie, panie doktorze! Źle mnie pan zrozumiał. – Wyobraziłam sobie, jak doktor Thad zaprzecza swoim problemom lub powoli i ze łzami w oczach je sobie uzmysławia. Nie byłam przygotowana na atak wściekłości.

– A zatem pozostaje jeszcze jedna możliwość. Tu nie chodzi o mnie, prawda? Tu chodzi o ciebie. To ty postąpiłaś nierozważnie, czego nie jesteś sobie w stanie wytłumaczyć, a teraz przychodzisz do mnie po radę.

– Tak. Obawiam się, że mogę mieć dorosłą postać ADHD. – Bezpieczniej było się wycofać. Doktor Thad nie był gotów do uznania swoich problemów i zastawienie na niego sideł było błędem. Teraz jedynym eleganckim wyjściem z sytuacji było przekierowanie rozmowy na moje problemy.

Doktor Thad prychnął szyderczo.

– Te rzekome schorzenia towarzyszą nam od zawsze. W średniowieczu był to taniec świętego Wita. Potem histeria. Rok temu drażliwy pęcherz.

– No tak – przyznałam, wyciągając mapę z kieszeni. – Ale proszę popatrzeć. – Może mogłabym go skłonić do uznania jego problemów co do zasady, tak żeby nie zorientował się, o czyich problemach tak naprawdę rozmawiamy?

– Ale o co chodzi, to zwykła mapa skupień. Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– Od wielu lat rejestruję swoje zachowanie. Jak pan widzi, liczba niewyjaśnionych pochopnych zachowań znacząco wzrasta i koncentruje się w miesiącach zimowych, co jak mi się wydaje, koreluje z diagnozą dorosłego ADHD.

– Mój Boże... Każda z tych kropek to wyodrębnione pochopne zachowanie?

– Nie, to jest w skali od jednego do dziesięciu, musiałam dokonać agregacji ze względu na brak miejsca. Czerwone kropki to gwałtowne kłótnie i akty przemocy, niebieskie to ciągi alkoholowe, a zielone oznaczają...

– Tak?

– Niekontrolowane zachowania seksualne.

Zapadła niezręczna cisza.

– Wow – odezwał się wreszcie.

– Wiem.

– Becky... – Doktor Thad wysunął szufladę z biurka i zaczął w niej grzebać. – Nawet nie wiem, jak to opisać, od czego zacząć. Znam cię równie dobrze jak siebie samego, a jednocześnie pod pewnymi względami jesteś kimś zupełnie mi obcym. Po prostu nigdy nawet mi się nie śniło, że jesteś taka labilna.

– Dziękuję – powiedziałam. Doktor Thad potarł zapałkę i zapalił cienkiego damskiego papierosa. Siedziałam w absolutnym bezruchu, dogłębnie

wstrząśnięta, czekając, aż zauważy: „O! A tak swoją drogą zacząłem palić”, ale niczego takiego nie zrobił. Wydmuchał dym bez cienia skrępowania, niczym podróżnik w czasie przybywający z połowy dwudziestego wieku.

– Musisz się z tego leczyć – stwierdził, zaciągając się głęboko. Z wprawą wydmuchnął smuzkę dymu w kierunku sufitu. – Nie, nalegam. Nie możemy sobie pozwolić na to, żebyś się tak zachowywała. Nie. Ma. Takiej. Możliwości. Sam przepiszę ci receptę. Phocus, prawda? Myślę, że pełny plaster będzie najlepszy – uznał doktor Thad, gryzmołując coś na bloczku recept. – A teraz idź i ją wykup. Weź sobie wolne na resztę dnia, jeśli potrzebujesz... W gruncie rzeczy, tak, myślę, że będzie lepiej, jeśli wyjdiesz natychmiast.

Doktor Thad strzepnął z wdziękiem popiół do kubka po kawie i wręczył mi receptę.

Wstałam do wyjścia. Jego miętowy oddech, jego ciężki od drzewa sandałowego zapach wody kolońskiej – czy to wszystko było tylko kamuflażem? Nie potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób doktor Thad zdołał ukryć swój tytoniowy sekret przede mną, przed jedyną osobą, która wiedziała o nim wszystko. A może nie? Może popełniłam fundamentalny błąd w ocenie samego doktora Thada? Myśl była tak przerażająca, że cały znajomy wystrój gabinetu – wygodne, ale nie za wygodne krzesła, biurko, nawet otaczające mnie ściany w kolorach ziemi – wydał mi się nagle płynny i niematerialny. Usunięto mi spod nóg wszystkie podstawowe założenia, wszystko, co jeszcze przed momentem wydawało się stałe, solidne i pewne. Poczułam się jak studentka pierwszego roku, którą za jednym zamachem wprowadzano w tajniki solipsyzmu i marihuany.

– I, Becky... – odezwał się jeszcze doktor Thad, a papieros zawisł mu na wardze jak gangsterowi z czasów prohibicji. – Twoje włosy.

– Co z nimi?

– Wydaje się, jakby pociemniały.

– Nie zauważyłam – powiedziałam, przeczesując je palcami.

– Po prostu postaraj się z tym uporać, zanim przerodzi się w problem – poprosił doktor Thad, zaciągając się kolejną dawką nikotyny.

Nie było absolutnie niczego, o czym doktor Thad i ja nie moglibyśmy porozmawiać, ale istniały pewne tematy, których zdecydowaliśmy się nigdy nie poruszać. Kiedy tak krążyłam po pokoju, popijając kawę, przyglądając się nagiemu ciału doktora i rozważając swoje kolejne posunięcie, coś mi mówiło, że to będzie jeden z nich. Gdy tylko weszłam do pokoju, natychmiast sprawdziłam oznaki życia, a stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, wyszłam, żeby zrobić sobie kolejny kubek kawy. Jestem pewna, że nie miałby nic przeciwko, gdyby nie leżał akurat twarzą do dołu na rozłożonym na płasko fotelu ginekologicznym, ze stopami w strzemionach, chrapiąc donośnie i tak czy siak nie będąc w stanie niczego mi odpowiedzieć.

Ale jeśli chodzi o to, co planowałam później... Stanowczo nie miałam pewności, czy wyraziłby zgodę albo choćby aprobatę już po fakcie. Zamyśliłam się nad etycznym aspektem tej sytuacji. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie poprosić Maryellen o radę, ale doktor Thad nigdy by mi nie wybaczył wystawienia jego fizyczności i moralności na widok publiczny. Musiałam podjąć decyzję sama i wiedziałam już, ku czemu się skłaniam. Spojrzałam w jego śpiącą twarz i próbowałam sobie wyobrazić, co mi zrobi, jak się już wybudzi, całkowicie ubrany i pałający świętym oburzeniem. Jeśli kiedykolwiek się dowie. Przypomniałby mi o swoich dyplomach, o swoich osiągnięciach w dziedzinie medycyny. Uznałby to za niewybaczalne naruszenie granic.

Ale niestety doktor Thad nie był całkowicie nagi: miał na sobie jeden z różowych chirurgicznych czepeków trzymany przez nas z myślą o pacjentkach. Musiał go przywdziać w ferworze minionej nocy, której szczegółów wolałam sobie nie wyobrażać. Czepek nasunął mu się na lewe oko, przez co niesforne włosy nastroszyły się z drugiej strony, tworząc

groteskowy tapir. Podważało to jego wiarygodność. Podobnie jak chrapanie. Nie mogłam potraktować poważnie jego przyszłych zastrzeżeń.

Odstawiłam z westchnieniem maleńką kawę, oderwałam podklejkę z plastra Phocus i delikatnie unosząc muskularny lewy pośladek doktora Thada, ostrożnie przylepiłam plaster nieco poniżej. Miałam nadzieję, że odkryje go wystarczająco późno, by zdążył mu przynieść jakąś korzyść. Dzięki własnemu plastrowi byłam całkowicie ubrana, gotowa do pracy i nieskłonna już dzielić intymnych chwil z Bandercookiem. Do tego produkowałam właściwą ilość śliny. Dla doktora Thada nie pragnęłam niczego więcej. Popijałam kawę i snułam domysły, ile minie czasu, zanim on – a raczej ona – to odkryje.

Doktorowi Thadowi stuknęła już prawie pięćdziesiątka i najwyraźniej miał za sobą nie byle wieczór, więc szacowałam, że potrzeba pełnych czterdziestu ośmiu godzin, by znalazł się z powrotem w przysłowiowym siodle.

Akurat tyle czasu było trzeba, by wyrównać spadek równi pochyłej. Aktualne pozostawało jednak poważniejsze pytanie: kim była przyszła odkrywczyni plastra? Na krótkiej liście znalazło się pięć kandydatek plus Angie, która od czasu do czasu mogła być nadal beneficjentką apetytu doktora Thada na życie czy co tam innego. Przeglądając listę, w wyobraźni umieszczałam każdą z tych kobiet po kolei w sytuacji, której efekty miałam przed sobą, i próbowałam określić, która z nich z największym prawdopodobieństwem zgodziłaby się na coś takiego.

Rozważając rozmaite podejrzane, zerknęłam na plaster Phocus i zauważyłam, że zaczyna się odklejać. Miejsce, gdzie tkwił plaster, podobnie jak cały korpus Sorensona, który miałam okazję oglądać podczas rozmaitych incydentów przez lata pracy, było całkowicie porośnięte cienkimi brązowymi włosami. To one uniemożliwiały odpowiednie przyklepienie plastra.

Delikatnie docisnęłam jego krawędzie palcem wskazującym, ale natychmiast wywinęły się z powrotem do góry. Doktor Thad ani drgnął, więc zaryzykowałam nieco większy nacisk. Górna krawędź owalnego plastra była teraz mocno przytwierdzona do skóry Sorensona, ale dolna nieco się zmarszczyła i jej wygląd ani trochę mi się nie podobał. Uznałam, że już nic się nie da z tym zrobić. Zerwałam plaster i z plaśnięciem przykleiłam go

doktorowi Thadowi na plecy, po czym wygładziłam, uzyskując wreszcie odpowiednie przyleganie. Doktor Thad obudził się raptownie, otworzył oczy i wrzasnął:

– Chryste Panie, Becky! Co ty mi robisz?!

– Próbuję tylko pana obudzić.

– To nie jest najlepsza metoda – powiedział, po czym zerwał papierowy czepek z głowy i zasłonił nim podbrzusze, podejmując spóźnioną próbę zachowania odrobiny godności. Widziałam, że ma znacznie więcej do powiedzenia i jest zdecydowanie nieusatysfakcjonowany moim wyjaśnieniem, ale priorytetem było dla niego w tym momencie usunięcie się z pola widzenia.

Zeskoczył z fotela ze zręcznością zaskakującą u potężnie skacowanego mężczyzny w średnim wieku, po czym ruszył korytarzem do własnego gabinetu. Bardzo rozsądnie uznał, że papierową czapkę najlepiej będzie wykorzystać do tego, by oszczędzić mnie i wszystkim postronnym obserwatorom swojego ujęcia od przodu w pełnym planie. Zaczęłam myć ręce płynem dezynfekującym. Kiedy podniosłam wzrok znad dozownika, zobaczyłam stojącą w drzwiach wejściowych Maryellen, a obok niej Coopera Zane’a, który oblał się bardzo twarzowym rumieńcem.

Wzruszyłam ramionami, jakbym chciała powiedzieć: „No i co zrobisz?”. Zgodnie z programem nauczania liceum w Ward miało dziś w menu dinozaury, a Maryellen nie była z tych matek, które pozwoliłyby, by delikatne kiełki wiary Coopera Zane’a zostały zmiażdżone w przerażających szczękach wszystkożercy, który grasował na Ziemi na długo przed tym, zanim Bóg zalał ją wodami przekłętą potopu i tak dalej. Postanowiła zaryzykować, mając nadzieję, że nie będzie to jeden z tych dni, kiedy doktor Thad chodzi po biurze bez majtek, ale tym razem los się do niej nie uśmiechnął. Można by rzec, że wszystko to mieściło się w Bożym planie, lecz z pewnością nie ja ponosiłam za to odpowiedzialność.

Ponieważ jednak miałam silne poczucie, że Maryellen zamierza podzielić się ze mną swoimi uwagami, uniosłam świeżo zdezynfekowaną dłoń i pokręciłam przecząco głową, wyraźnie sygnalizując moją niechęć do zagłębiania się w temat. Nagość jest bardzo biblijna, a oddalający się

korytarzem doktor Thad przywodził na myśl wygnanego z Edenu Adama przyodzianego w zwierzęcą skórę; mnie przypadła rola węża, cheruba z mieczem o połyskującym ostrzu lub samego Boga, zależnie od tego, jak to skadrować. Była to prawdopodobnie cenna lekcja dla Coopera Zane'a.

– Babski wieczór. Dzisiaj – wypaliła Maryellen. – I słowem się nie odezwę.

– Nie mogę – odpowiedziałam machinalnie, w tej samej chwili uzmysławiając sobie, że to nie do końca prawda. Mitchell wyjechał na weekend z Klubem Miłośników Przyrody do rezerwatu w Dawson, żeby strzelać jelenie i spać w śniegu. Tak w każdym razie twierdził. Drużyną chłopców dowodził mój szwagier Ben, który zapewnił mnie, że będą spali w domkach, i chociaż zamierzają tropić jelenie z wykorzystaniem starych sposobów Paunisów, żadna broń palna nie wchodzi w grę. Miałam pewne wątpliwości, ale bardzo odpowiadało mi spędzanie przez Mitchella czasu pod kierownictwem mężczyzny, który nie był Kevinem Holtsem. Kevina przyroda obchodziła zbyt mało, by choćby do niej strzelać, tymczasem wuj Ben – taką miałam w każdym razie nadzieję – potrafił wzbudzić w moim synu i pozostałych chłopcach podziw i współczucie dla natury oraz szlachetnych stworzeń zamieszkujących niezagospodarowane krainy rozciągające się poza przedmieściami Ward.

– Obiecałaś – powiedziała Maryellen. – Jest piątek i wychodzimy wieczorem na miasto.

Perspektywa zmarnowania w Starym Czejenie świetnie nadającego się do innych celów wieczoru nie budziła mojego entuzjazmu. W towarzystwie innych rodziców będziemy popijać chrzczone piwo, omawiać wyniki testów i plany remontu kuchni, a potem rozważać wady i zalety rozmaitych diet i zestawów ćwiczeń. Po kilku piwach ktoś być może opowie pieprzny żarcik, za który natychmiast przeprosi. Nigdy nie zdołałam się rozsmakować w tych bladych i nijakich rozkoszach dorosłości. Ale słowo się rzekło, więc uległam. Może pod kojącym oddziaływaniem plastra uda mi się jakoś znieść tę nudę?

– Załóż sukienkę... – Maryellen się zawahała. – Albo lepiej nie. Może po prostu dzinsy.

Maryellen tańczyła z weterynarzem dużych zwierząt z Nee pod pozólkłymi papierowymi kulami zwisającymi z sufitu, z których drobiny kurzu opadały na wstawionych gości. Przy stoliku za moimi plecami ktoś opowiadał dowcip o różnicy między luteranami a astronautami. Słyszałam go już wcześniej. Zanurzyłam dłoń w misie gumowatego popcornu. Była dopiero dziewiąta trzydzieści i miałam przed sobą jeszcze co najmniej trzy długie godziny tego babskiego wieczoru. Plaster chyba działał, bo nagła potrzeba wyśliznięcia się z baru i udania na poszukiwanie Hayesa Bandercooka przygasła. Bite dwadzieścia minut omawiałam z Amandą Boss kafelki, którymi wyłożyła sobie niedawno ścianę nad kuchennym blatem. Entuzjazm, który usłyszałam we własnym głosie, kiedy rozważaliśmy zalety poszczególnych rodzajów płytek, kazał mi się zastanowić, czy nie przeobrażam się w jeszcze gorszego potwora.

Ale ku memu zaskoczeniu atmosfera w barze szybko się rozluźniła. Tego wieczoru duże jasne serwowali promocyjnie za dwa dolary i chyba temu można było przypisać emocje coraz bardziej rozgrzewające wysokie stołki w Starym Czejenie. „Później ktoś to wszystko ogarnie!” wydawało się nieoficjalnym tematem przewodnim wieczoru. Otaczający mnie ludzie zaczęli podejmować coraz bardziej nieprzemyślane decyzje i o niczym bardziej nie marzyłam niż o tym, żeby zerwać plaster i się do nich przyłączyć. Ponieważ jednak nadal walczyłam o powrót znad bandercookowskiej przepaści, nie miałam do siebie za grosz zaufania.

Ubrany w żółtą flanelową koszulę Calvin Chester sącył czerwone piwo, siedząc na stołku barowym tuż obok wejścia do damskiej toalety. Potrzebowałam z niej skorzystać, ale nie było sposobu, żeby prześlizgnąć się, nie wchodząc w niezręczną interakcję. Po alkoholu moja zdolność odczytywaniu wyrazu twarzy rozmówcy spadała, więc czułam, że



z ewentualnej rozmowy nie wyniknie nic dobrego. A poza tym zdaniem Maryellen babski wieczór z definicji powinien przebiegać pod znakiem błyszczących topów, niewygodnych szpilek, tańców i podjazdu o północy pod okienko Barrelhouse Burger, a nie dyskusji z dyrekcją szkoły. Założyłam nogę na nogę i przysięgłam sobie, że go przeczekam.

– Nie, nie zamawiałam tego... – powiedziałam do Elspeth, która niczym kusicielka z piekła rodem stawiała właśnie przede mną kolejną szklankę piwa. Marzyłam o tym, żeby się napić, naprawdę, ale nie aż tak, jak o tym, żeby nie korzystać z łazienki, dopóki Calvin się gdzieś nie przesiądzie. Nie było szans, żebym po wypiciu kolejnej szklanki zdołała osiągnąć ten skromnie zakreślony cel.

– To od dyrektora – odparła Elspeth. – Kazał ci powiedzieć... Kurde, nie pamiętam. Coś ci miałam przekazać. – Elspeth potrząsnęła głową, a warkocze prześliznęły jej się po ramionach jak grube węże. – Nie przypomnę sobie. Dziura w głowie.

– Ale o co chodziło? – zapytałam. Elspeth tylko bezradnie zamrugła w żółtawym świetle ciężkimi powiekami. – To było coś miłego? – podsunęłam.

– Noo... tak – przytaknęła Elspeth, obrzucając mnie spojrzeniem sugerującym, że tylko ktoś wyjątkowo tępy albo dotknięty głęboką paranoją mógłby uznać postawienie mu piwa za przejaw wrogości. Z drugiej strony Elspeth, która była trzeźwa jak świnia, nie była w stanie zachować w pamięci informacji na tyle długo, by przenieść ją z jednego końca baru na drugi, co moim zdaniem sugerowało, że nie można ufać jej umiejętności odczytywania zniuansowanej ironii, która mogła być dodatkiem do piwa.

Zerknęłam na drugi koniec baru. Calvin śmiał się niewymuszenie i nie patrzył w moją stronę. Z postawionym drinkiem można zrobić tylko jedno. I zrobiłam to. Nie odrywając wzroku od potylicy Calvina, wychyliłam piwo kilkoma haustami do dna. Nie odwrócił się. I nie spojrział w moją stronę, kiedy przepchnęłam się obok niego do damskiej toalety.

Wybrałam kabinę z największą ilością graffiti. Świadectwa namiętności i urazów wyryte na drzwiach były żywym zapisem historii mieszkańców Ward

mających słabość do sztuki naściennej. Nie było lepszego miejsca – może poza męską toaletą – jeśli człowiek chciał się na przykład dowiedzieć, kto w okolicy jest jebaną suką. Z zadowoleniem stwierdziłam, że moje imię nie pojawia się na drzwiach kabiny numer jeden, za to w pobliżu klamki ktoś wyrzył słowa: „Doktor Thad Sorensen to DZIWKARZ”. Przetrzaśnięłam torebkę, znalazłam kluczyki i zaczęłam wyskrobywać te kalumnie, ale artysta dysponował niebagatelną siłą i było to wyczerpujące zajęcie. Siedziałam na sedesie z opuszczonymi majtkami, żeby ukryć prawdziwy cel mojej przedłużającej się wizyty. Wyżłobienia w drzwiach były tak głębokie, że postanowiłam ograniczyć się do dodania niewielkiego, ale kategoriycznego „nie” przed słowem „DZIWKARZ”. Nadal trudno to było uznać za komplement, ale była to znaczna poprawa. Ktoś ciężkim krokiem wszedł do łazienki i zajął sąsiednią kabinę.

– Rebecca? Jesteś tu?

– Elspeth? – zapytałam. Głos należał do niej, podobnie jak wielkie jasnobeżowe, sznurowane półbuty.

– Właśnie sobie przypominałam, co ci miałam przekazać. Dyrektor powiedział: „Nie krępuj się skorzystać z łazienki. Obiecuję, że cię nie zaczepię”.

– Chyba żartujesz?

– Nie. Powiedziałam ci, że to było miłe.

– Bez wątpienia – zgodziłam się. Stałam teraz przy umywalce i myjąc ręce, obejrzałam się przez ramię.

– Chcesz, żebym mu coś odpowiedziała?

– Nie, dzięki. – Wrzuciłam garść papierowych ręczników do śmietnika, po czym wyszłam na salę, nadziewając się wprost na spojrzenie Calvina. Byłam gotowa nie zwracać na niego uwagi przez cały wieczór, ale teraz przekroczył granicę. Miejsce obok niego było puste, więc je zajęłam.

– Bardzo ci dziękuję za przepustkę do toalety, ale twoja władza nie rozciąga się poza teren szkoły. W normalnym świecie ludzie mają prawo korzystać z łazienki bez twojego pozwolenia.

– Wyszedłbym z tego samego założenia, gdyby nie to, że widziałem dziś już dwie matki uczniów szkoły korzystające z męskiej toalety. A w porównaniu z tobą są... Wszystko jedno, bez znaczenia. Chodzi o to, że naprawdę macie znacznie większe szanse nie natknąć się na mnie w toalecie damskiej, choć mogłoby się to wydawać wbrew intuicji.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Kiedy tam siedziałaś... – Calvin wskazał gestem puste krzesło po drugiej stronie sali – popatrywałaś ciągle w tę stronę. Tęsknie. W pierwszej chwili myślałem, że to na mnie tak patrzysz...

– Ha. – Zapewne taktowniej byłoby ukryć swoje uczucia, ale po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić Calvina Chestera jako przedmiotu czyjegokolwiek pożądania. A już na pewno nie mojego. Czy jakakolwiek kobieta mogłaby zadurzyć się w dyrektorze szkoły? Uznałam to za wątpliwe.

– Uwierz mi, był taki czas... – Zawiesił głos, a na jego twarzy odmalowały się jednocześnie nostalgia i zadowolenie z siebie. – Ale teraz, kiedy jestem dyrektorem, wszystko się zmieniło. Cała ta władza... działa na kobiety odpychająco. Prawdę mówiąc, spodziewałem się czegoś zupełnie przeciwnego. Nie mam pojęcia, co miał na myśli Henry Kissinger.

– Ja też nie – odparłam zgodnie z prawdą. Przez moment żywiłam mroczną nadzieję, że Calvin jest na granicy samozniszczenia. Madge wyczuła, że coś tu nie gra, a ona wyczuwała dysfunkcje szóstym zmysłem. Picie, samotność, oczywiste symptomy. Nie potrafił się odprężyć nawet po kilku głębszych i byłam dziwnie pewna, że gdyby zapakował się do swojego chevroleta chevelle'a i ruszył I-80 na wschód, kariera nauczycielska Kevina Holtsa zostałaby raptownie przerwana.

– W każdym razie przypominałem sobie, że siedzę przecież przy drzwiach do łazienki, i wtedy wszystko stało się jasne – roześmiał się Calvin z lekką goryczą i wbił spojrzenie w wilgotny okrąg, który jego szklanka pozostawiła na papierowej serwetce, przyjmując do wiadomości fakt, że jest mniej pożądany niż publiczna toaleta. Jeśli oczekiwał współczucia, to znalazł się w niewłaściwym barze. Stary Czejen po prostu nie przyciągał tego rodzaju klienteli.

Amanda Boss stąpała ostrożnie w swoich wyjściowych szpilkach przed podświetlaną reklamą piwa Bold County, zmierzając chwiejnym krokiem do, owszem, męskiej toalety. Nie wiedziałam, że Calvin Chester jest takim pariasem, ale skoro tak, to dziwne, że usadowił się tuż przed damską łazienką, gdzie jego obecność była najwyraźniej niepożądana.

– Nie mogłeś usiąść gdzie indziej? – zasugerowałam.

– Najpierw zrezygnuję z miejsca przy barze, a potem co? – zapytał. Wzruszyłam ramionami. – Powiem ci, jak by się to skończyło: upijaniem się w samotności na rogu ulicy. Nie zamierzam oddać pola.

Zaplotłam palce wokół szklanki piwa. Maryellen, która lizała się właśnie na parkiecie ze swoim weterynarzem, powiedziałaaby prawdopodobnie: „Nie będzie tak źle”. Okoliczności wymagały jakichś pozytywnych ogólników, na które nie potrafiłam się zdobyć. Czy to nie to stare drzewo o nisko zwieszających się konarach jęczało na wietrze na parkingu za oknem? A niech mnie, tak. Mieszkańcy Ward nie zamierzali Chestera Calvina ani wieszać, ani smarować smołą i tarzać w pierzu, jak zrobiliby to ich przodkowie, ale Amanda Boss zdecydowana była zmierzyć się z całą ścianą pisuarów, byle tylko nie otrzeć się o niego w drodze do łazienki. Jego popularność była niska i nie zamierzałam twierdzić nic innego.

– Wiesz, że...? – zaczął Calvin, przechylając szklankę, by pozbyć się piany, ale urwał, gapiąc się na bąbelki.

– Co? – przynagliłam go.

Odstawił piwo i obrócił się na stołku barowym w moją stronę.

– No dobra, powiem to: nigdy wcześniej żadna kobieta mnie nie zaśliniła, Rebecca. Pierwszy raz mi się to zdarzyło.

– Hm. – Gwałtownie pociągnęłam łyk piwa.

– To... Szczerze, trudno to w ogóle zinterpretować, takie coś. Sprawdziłem. Ślinienie się jest często związane z głodem.. To bardzo prymitywna reakcja. Dość zwierzęca, jak się nad tym głębiej zastanowić. Niektóre źródła sugerują nawet, że można to łączyć z zaznaczaniem swojego terytorium.. chociaż nie zamierzam ci tu wpierać dziecka w brzuch. Naprawdę nie wiem, skąd się to

wzięło. Może ty też nie wiesz. Chcę chyba po prostu powiedzieć, że bardzo trudno mi cię odczytać.

Nie przestawałam pić, kiedy perorował o mojej ślinie, a teraz walnęłam pustą szklanką o bar i wbiłam w niego spojrzenie. A potem kiwnęłam na Elspeth, żeby przyniosła jeszcze dwa, bo nie zamierzałam tego wysłuchiwać o suchym pysku.

Calvin odchrząknął, sprawiając wrażenie nieco zaniepokojonego pojawieniem się dwóch kolejnych pełnych szklanek.

– A jak tam interesy?

– A co ci się obilo o uszy?

– Tak tylko zagadnąłem. – Sięgnął po swoją szklankę.

– Mnie i doktorowi Thadowi idzie znakomicie. Praca w branży płodności ma charakter sezonowy, chociaż wielu ludzi sobie tego nie uświadamia. Są górki i dołki.

– Doktorowi Thadowi? – spytał Calvin, unosząc brwi. Widziałam, że jest zaskoczony i koryguje właśnie jakieś pierwsze wrażenia. – Dlaczego tak go nazywasz?

– Tak ma na imię.

– Ale dlaczego tytułujesz go „doktorem”? Od jak dawna pracujecie razem?

– Od dwunastu lat.

– Och. Przepraszam, ale... Powiedziałaś: od dwunastu lat?

– Tak właśnie powiedziałam.

Calvin sprawiał wrażenie osoby, która ze wszystkich sił próbuje się nie roześmiać.

– I w ciągu dwunastu lat nigdy nie powiedział: „Hej, Rebecco, może po prostu mów mi Thad, co?”.

– Nie – odparłam cicho. Na spotniałej szklance zaczęłam wyrysowywać poziome i pionowe kreski.

– A więc... Czy twoje klientki to głównie lesbijki? – zapytał Calvin, zmieniając temat.

– To są pacjentki, a nie klientki. Przychodzą do nas głównie bezpłodne pary, ale owszem, czasem też lesbijki, a czasem kobiety samotne.

– Samotne kobiety. To takie smutne. Uważam, że to nie w porządku wobec dziecka, wiesz?

– Ależ wiem.

Chyba nie zdawał sobie sprawy z popełnionego właśnie nietaktu, co kazało mi zastanowić się, czy nie zrobił tego celowo.

– Jako ojciec zamierzam się bardzo angażować. Nosić niemowlę w nosidełku na gołej skórze i te sprawy.

– Nie liczyłabym na to – wycedziłam przez zaciśnięte zęby, bo właśnie poczułam na swoim krzyżu jego rękę, położoną tam jakby mimowiednie i od niechcienia.

– Dlaczego tak mówisz?

Drobny ładunek elektrostatyczny przyczepił mi się do swetra i gdyby Calvin cofnął rękę – czego na razie nie robił – tkanina przykleiłaby mu się na chwilę do skóry na spodzie dłoni, odciągając mi sweter od pleców. Gdyby musnął moją skórę choćby opuszką palca, to chyba... Nie wiem, co bym zrobiła. Siedziałam tam, myśląc o nim z nienawiścią i nie komentując położenia jego dłoni, tylko po prostu tolerując ją. Tak to właśnie wyglądało. Dlaczego nie potrafiłam sprzeciwić się temu człowiekowi? „Weź tę rękę z moich pleców i zabierz Kevina Holtsa ze szkoły” – tak właśnie powinnam mu była powiedzieć, i to z przekonaniem. A ja tylko siedziałam i gotowałam się ze złości.

– Nie, naprawdę, chciałbym wiedzieć. Bo wcześniej powiedziałaś... – zniżył głos do szeptu – że wszystko ze mną w porządku. Zobaczyłaś coś, co kazało ci zmienić zdanie?

– Słuchaj, nie jestem w stanie postawić diagnozy, siedząc przy barze.

– Ale coś podejrzewasz. – W mdłym świetle żarówek wiszących nad barem jego oczy wydawały się nienaturalnie zapadnięte. – Podejrzewasz coś, prawda? Powiedz mi, o co chodzi.

Nie wnikając już we własne motywy, odchyliłam się na oparcie barowego

stołka, miażdżąc mu rękę, zanim zdążył ją cofnąć. Wyrwał ją, a ja obrzuciłam go poważnym spojrzeniem.

– Masz bardzo skąpy zarost – zauważyłam. – To niedobry znak.

– Jest skąpy? – upewnił się, sięgając mimowolnie do brody, ale powstrzymał się i złożył ręce na barze, jakby zupełnie go to nie obeszło. – Co to znaczy?

To byłby stosowny moment na uprzejme kłamstwo, ale czasem siedząca we mnie klinicystka brała górę. A poza tym on naprawdę na nie nie zasługiwał.

– To nic nie znaczy. Ale koreluje z niską liczebnością plemników. Zwykle skrajnie niską.

– Niską liczebnością plemników – powtórzył Calvin powoli, jakby to był nieznanym mu zwrot w obcym języku.

– Nie wspominając o niskiej ruchliwości. Typ D, w najlepszym wypadku C.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mówię tylko, żebyś nie robił sobie zbyt wielkich nadziei, okej?

Powinnam się była zorientować, co się święci. Musiały być przecież jakieś sygnały ostrzegawcze chwilę wcześniej: szeroko otwarte oczy, rumieńce na twarzy, zwykłe oznaki narastającego niepokoju, które na terenie kliniki kazałyby mi zakończyć rozmowę i wytoczyć wielkie działa empatii w postaci samego doktora Thada. Fakt, że sytuacja mnie zaskoczyła, że okazałam się kompletnie ślepa, świadczył o ilości przytępiającego zmysły taniego piwa krążącego w moich żyłach. Chciałam zranić Calvina, obrazić go i wprawić w zakłopotanie, ale nawet przez mgłę Bold County widziałam teraz, że posunęłam się za daleko.

– Więc... ja... nigdy nie zostanę tatą?

– Tego nie powiedziałam.

– Ależ owszem. Właśnie to powiedziałaś.

Doktor Thad wiedziałby, co zrobić. Miał niesamowitą zdolność przekazywania złych wiadomości w taki sposób, że wydawały się neutralne, a może nawet jakby dobre. Ja nie miałam do tego smykałki. Pociągnęłam łyk piwa i przyjrzałam się twarzy Calvina.

– Powiedziałam tylko, że szanse są marne.

– Boże! – jęknął Calvin załamującym się głosem. Odepchnął się od baru i ruszył przez tłum w kierunku wyjścia, trąc oczy. Wbiłam w niego przerażone spojrzenie.

– Rachunek? – zapytała Elspeth, patrząc, jak odchodzi. Podałam jej dziesiątkę.

– Reszty nie trzeba.

Po czym wyszłam za Calvinem na zaśnieżony parking.



Calvin Chester szedł pod wiatr, dziwnym sprężystym krokiem przekraczając oblodzoną nawierzchnię opustoszałej O Street i kierując się w stronę pogrążonego w ciemnościach Sosnowego Zakątka, osiedla bloków wielorodzinnych, na którym mieszkali głównie samotni i niedawno rozwiedzeni mężczyźni, miejsca tak niewypowiedzianie ponurego, że lokalna policja o tej porze roku co noc kontrolowała wyrywkowo balkony na drugim piętrze. Przycupniętych na parapetach desperatów w samych majtkach, którzy zastanawiali się nad tym, czy widok stojącej na parkingu samotnej sosny nie powinien być uwieńczeniem ich wędrówki po tym padole, wardiańskiej policji na ogół udawało się odwieść od tych zamiarów, zanim rozplasnęli się na zlodowaciałym asfalcie.

– Calvin, poczekaj! – krzyknęłam, ale mój głos zginął w porywach wiatru. Rzuciłam się za nim po drewnianych schodach. – Calvin!

Otwierał już drzwi, kiedy mnie wreszcie usłyszał, i odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Łzy spływały mu po twarzy. Nie próbował ich ukryć.

– Co jeszcze możesz mieć mi do powiedzenia, Rebecca?

– Nic – wydyszałam, całując go prosto w usta, choć w gruncie rzeczy wcale nie miałam takiego zamiaru. Były zimne i całkowicie obojętne, ale jego widok, zdruzgotanego, i to przeze mnie, był nie do zniesienia. Nie odrywałam ust od jego warg, wkładając w to całą siebie, jakbym próbowała zagasić wybuchły w kuchni pożar. Uniósł ręce i starał się oderwać mnie od siebie. Nie winiłam go. Byłam potworem. Chciałam go błagać o wybaczenie, cofnąć wszystko, co powiedziałam, wyznać mu, jak mi przykro, przekonać, że nie powinien rezygnować z życia, miłości i ojcostwa. Chciałam mu powiedzieć, że jest tyle rzeczy, dla których może żyć, że jeśli roztrzaska sobie głowę na parkingu, to

nigdy sobie tego nie wybaczę, ale było już za późno. Kiedy oparłam dłonie na jego piersi, podskoczył, jakby poraził go prąd, i z trudem chwycił powietrze, wstrząśnięty i skonsternowany. Tyle że bez dwóch zdań zaczynał już na mnie reagować. Wszystkie wątpliwości, które mogłyby cisnąć mu się na usta, załamały się w nieartykułowanym jęku. Chwycił mnie w ślepej desperacji, jak człowiek balansujący na grani, i wciągnął do swojego ciepłego, nieumeblowanego mieszkania, osuwając się wraz ze mną na zniechęcająco beżową wykładzinę. Brutalnie ssał moje wargi jak ktoś, kogo od dawna nikt nie dotykał, i zdierał mi na oślep kolejne warstwy ubrania. Zanim rozebraliśmy się do reszty na jego zaskakująco sztywnej i drapiącej wykładzinie, zrozumiałam, że kiepsko to wszystko wygląda. Z jego szczupłego tułowia wyrastała para muskularnych ramion, a wąskie biodra osadzone były nad pełnymi, niemal kobiecymi udami. Jego, nie moimi. Wyglądał, jakby pozszywano go z fragmentów różnych ciał. Jak potwór Frankenstein.

Czas jakby się zatrzymał, i to nie w tym korzystnym sensie. Kolana miałam poobcierane od szorstkiej wykładziny, usta spierzchnięte i teraz chciałam już tylko odespać te wszystkie piwa za dwa dolary, a tymczasem siedziałam okrakiem na dyrektorze szkoły mojego dziecka w kompletnie pustym salonie, tłumiąc ziewanie i gorączkowo szukając w pamięci choć jednego z tych „stuprocentowych sposobów na to, żeby on stracił głowę”, tak często publikowanych w kobiecych czasopismach – czegokolwiek, co pozwoliłoby nam wyjść z tej sytuacji z twarzą, i do tego możliwie szybko.

Najwyraźniej Calvin czytał jakieś inne czasopisma.

W końcu, sprawiając wrażenie w równym stopniu zdezorientowanego, co wściekłego i rozpalonego, przewrócił mnie na plecy, dowodząc, że czasem lepiej jest w tych sprawach nie przekombinowywać. Powzdychałam z umiarem i po taktownej przerwie Calvin zwałił się na mnie. Poleżeliśmy przez chwilę, zbyt wyczerpani i poobcierani, żeby gadać. Potem wstał, odsunął włosy z czoła i spojrzał na mnie tak, jakbym go zraniła w jakiś wyjątkowo okrutny sposób.

– Czy to... Czy ty bzyknęłaś się ze mną z litości?

– Nie – odparłam, przykrywając sobie piersi płaszczem. – Kompletnie

spudłowałaś.

Oparł się na ramieniu, a włoski pod pachą sterczały mu na wszystkie strony jak kolce dziwaczного morskiego stworzenia.

– No to zostań na noc – powiedział wyzywająco. Zabrzmiało to tak, jakbyśmy oboje mieli tego gorzko pożałować.

– Gdzie?

Dostrzegłam w kącie kilka ułożonych w stosik książek, ale żadnej powierzchni, na której można byłoby się przespać.

– W moim łóżku, oczywiście.

– Masz łóżko?

Wczesnym rankiem, zniósłszy całą noc przytulania się na łyżeczkę pod kapą w kwiaty (którą uznałam za relikwiarz poprzedniego związku), lecz nie będąc, dzięki Bogu, zmuszona do powtórki, wreszcie wyszłam. Kiedy wymykałam się z sypialni, już w płaszczu, ubrana i zapięta pod szyję, Calvin usiadł na łóżku. Spojrzeliśmy na siebie bez słowa. Zimne powietrze Sosnowego Zakątka uderzyło mnie w twarz jak bardzo potrzebny mi policzek.

Na odcinku pomiędzy oblodzonym progiem mieszkania Calvina a zatoczką pół przecznicy dalej, w której zaparkowałam zasypany teraz śniegiem samochód, minęłam trzy znajome osoby. Ward potrafi takie być – zwykle wtedy, gdy jest to człowiekowi najbardziej nie na rękę. Gdybym dokonała jakiegoś aktu cichego heroizmu, nie spotkałabym żywego ducha, ale teraz, z rozmazanim makijażem, potężnym kacem i górą śniegu na samochodzie, świadczącą publicznie o tym, że tej nocy na pewno nie spałam we własnym łóżku, zaliczałam jedno niezręczne spotkanie po drugim. Wpadłam pod ostrzał naszej recepcjonistki, która wymieniła ze mną pośpieszne uprzejmości między kolejnymi gryzami pączka z dziurką zajadanego wprost na ulicy, potem nadziałam się na Shane'a Glassa, który mrugnął do mnie spod kaptura bluzy z trupa czaszką i nieśpiesznym krokiem niegrzecznego chłopca oddalił się od dymiących zgliszczy własnego wieczoru, a w końcu niemal wpadłam na Matta Bossa, który podniósł wzrok znad telefonu, wbił we mnie zaskoczone spojrzenie, po czym pochylił krótko ostrzyżoną głowę z powrotem nad

ekranem i wysłał esemes do Amandy. Tak w każdym razie założyłam. Wszystko to musiałam znieść cierpliwie, wciąż jeszcze roztaczając wokół siebie silny zapach wody kolońskiej albo może dezodorantu Calvina. W chwili, w której zeszkrobałam resztki lodu z przedniej szyby, pojawił się mój szwagier, Ben Loos. Ciągnął niski wózek załadowany skrzynkami z masą ceramiczną.

Niewyraźna poświata wschodzącego słońca zabarwiła śnieg na różowo.

– Dobry – przywitał się Ben, unosząc dłoń w rękawiczce z jednym palcem.

– Czy ty nie miałeś się czasem opiekować chłopcami z Klubu Miłośników Przyrody?

– Naprawdę chciałem, ale zabawna historia, wyobraź sobie...

– Ale ktoś się nimi opiekuje? – przerwałam.

– No właśnie chcę ci powiedzieć, bo to naprawdę zabawne. Kevin Holts pomagał mi ściągnąć ruch na stronę mojego sklepu internetowego, jako że lokalny rynek ceramiki wyczerpał już w zasadzie swój potencjał...

– Ben, kto się opiekuje moim dzieckiem?

– No i proszę! Przyszło zamówienie na dwieście kubków, ale sęk w tym, że muszę je wysłać do poniedziałku, inaczej nie było rozmowy. No to poszedłem do Kevina i powiedziałem, że ponieważ przyszło to zamówienie...

– Ben. Czy chłopcy z klubu pętają się właśnie po rezerwacie bez opieki?

– Oczywiście, że nie, Rebecca, nie bądź niemądra. Więc powiedziałem Kevinowi: „Będę musiał odrzucić to zlecenie, mam wcześniejsze zobowiązania”. A Kev mówi: „Daj spokój, Ben, może to twoja wielka szansa? Ja wezmę chłopców i...”.

Wsiadałam już do samochodu. Z piskiem opon wyjechałam na O Street, zostawiając Bena, żeby dopowiedział swoją historię pustemu krawężnikowi.

Pokonywałam kolejne kilometry drogi dzielącej Ward od rezerwatu w Dawson i czułam się coraz gorzej. Zaparowywała mi przednia szyba i co kilka minut uchylałam okno, żeby cokolwiek zobaczyć, zmuszona nieustannie iść na kompromis między ciepłem a widocznością. Zanim otworzyłam bramę i wjechałam na szutrową drogę, której wyboista nawierzchnia poprzesuwała mi boleśnie wszystkie organy wewnętrzne, zdążyłam się pogodzić z faktem, że gdy tego ranka otworzyłam zapuchnięte powieki, zobaczyłam obejmujące mnie ramię Calvina Chestera i poczułam jego gołe nogi wsunięte pod moje, gdy omiotłam spojrzeniem jego śpiącą twarz, gdy wspomnienie wszystkiego, co się zdarzyło między nami, walnęło mnie jak kij bilardowy między oczy, gdy dostałam mdłości z powodów zarówno fizycznych, jak i psychologicznych... to było to najlepsze uczucie, jakiego miałam doznać tego dnia.

Jadąc wyboistą drogą w kierunku domków, sięgnęłam po kolejną tabletkę na zgagę, podnosząc wzrok w tej samej chwili, w której uderzałam samochodem w jakieś rogate zwierzę. Huk był tak potężny, jakby jeleń zdetonował silny ładunek w momencie, w którym mój samochód w niego wjechał. Poduszka wybuchła mi w twarz, a ułamek sekundy później walnęłam potylicą o zagłówek. Siedziałam przez chwilę, wystraszona i oszołomiona, po czym wygramoliłam się z pogniecionego samochodu, z trudem otwierając drzwi. Leżące pod kołami ranne zwierzę rzucało głową w tył i w przód.

– Rebecca! – krzyknął Kevin. Ubrany w odzież termiczną, biegł już w moją stronę, a ja w soczewkach jego małych, okrągłych lustrzanych okularów słonecznych zobaczyłam własną twarz. Okropną scenę otoczyła kołem grupka nieporządnie ubranych chłopców. – Jesteś ranna?

Potrząsnęłam głową.

– Mamo! Co ty zrobiłaś? – jęknął Mitchell łamiącym się głosem. Jeleń rzucił się w agonii, krew wsiąkała w śnieg.

– Chryste – powiedział Kevin, patrząc na zmasakrowanego jelenia wydającego z siebie upiorne porykiwania. – Co robimy, Rebecca? Jak chcesz to ogarnąć?

Truett Boss zaniósł się płaczem. Zgięłam się wpół i wyrzygałam na śnieg.

– No dobra – westchnął Kevin. – Wygląda na to, że muszę objąć dowodzenie. – Okręcił się na pięcie i zwrócił do swojej drużyny: – Chłopcy, poczekajcie tutaj z panią Meer. Nie zbliżajcie się do zwierzęcia. Za chwilę wrócę. – Pobiegł w kierunku domków. Zwymiotowałam jeszcze raz, otoczona półkolem gapiących się na mnie i szlochających bezradnie chłopców w złotych szalickach i niebieskich czapczkach z pomponami.

– Przepraszam – wyszeptałam do jelenia, a chłopcy rozszlochali się jeszcze bardziej. Jeleń rył rogami w przesiąkniętym krwią śniegu.

Kevin wrócił z małym srebrnym przedmiotem w dłoni, który, kompletnie rozbita, nie od razu rozpoznałam.

– Wszyscy mają się cofnąć. Za ten krąg ogniskowy. Wszyscy. Raz, dwa, trzy – polecił zawodzącym chłopcom. – Rebecca, mogłabyś? – zwrócił się do mnie, wskazując głową w kierunku, w którym miałam odprowadzić chłopców.

– Chodźcie, dzieciaki – poprosiłam. – Pójdziemy poczekać w tamtym miejscu.

Kevin nasunął na uszy słuchawki ochronne i wypalił trzykrotnie w jelenia, rozrywając mu powłoki brzuszne, których zawartość rozprysła się na śniegu.

– Suuuper – powiedział jeden z chłopców. Ciągłe płakali, ale już mniej histerycznie, zahipnotyzowani widokiem Kevina Holtsa strzelającego do jelenia niczym pluton egzekucyjny.

Kevin wyjął magazynek i odwrócił się do nich.

– A teraz, chłopcy, chcę, żebyście mieli świadomość, że ta broń służy do samoobrony, a nie do polowania. To nie jest odpowiednia broń na polowanie. Do tego potrzebowalibyście czegoś innego... czegoś o mniejszej sile rażenia, jak sądzę – wyjaśniał Kevin, ścierając z czoła odrobinę jeleniej krwi. –

Czegoś, co pozwoliłoby zachować mięso i skórę z myślą o możliwym wykorzystaniu.

Usłyszeliśmy hurgot dochodzący z drogi i tuż obok nas zatrzymał się zielony gazik strażnika leśnego.

– Jasny gwint. Ty dzisiaj nie masz szczęścia, Meer – powiedział Kevin półgłosem, kiedy strażnik w długim zielonym płaszczu wyskoczył z samochodu i podszedł do miejsca wypadku. Spod ronda spiczastego kapelusza spływały mu długie, wycieniowane włosy, a cienkie zadbane wąsiki przyozdabiały górną wargę, przywodząc na myśl swobodną, surową męskość z dawnych reklam papierosów. Tyle że w przeciwieństwie do mężczyzn, którzy sprzedawali ekstramocne poprzednim pokoleniom, nie był ani spokojny, ani opanowany.

– Och, nie. Chryste Panie, nie. Nie Śliczny Johnny Kwiatusek. Nie Książę! – Mężczyzna padł na kolana i zaczął głaskać kozła po głowie, a jego oczy wezbrały łzami. – Kto to zrobił? Kto to zrobił?! – wrzasnął. Z wściekłości uderzył pięścią w zalany posoką śnieg. Chłopcy skulili się ze strachu. Mój siostrzeniec Ethan wycelował mały palec w moim kierunku i schował się za nogami Kevina.

– To ja... To był wypadek – powiedziałam.

Strażnik leśny wstał, wypiął pierś jak wściekły goryl i natarł na mnie.

– To jest rezerwat przyrody. Był tutaj bezpieczny! Miał być tutaj bezpieczny!

– Ogromnie mi przykro.

– Proszę pani, zabicie takiego zwierzęcia w rezerwacie przyrody pociąga za sobą konsekwencje. Nie tylko dla ekosystemu. Mam na myśli konsekwencje prawne. Przede wszystkim grzywnę w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Może pani również zostać skazana na karę do dziewięćdziesięciu dni pozbawienia wolności.

– Mamo! – krzyknął Mitchell, zarzucając mi ramiona na szyję i znów wybuchając płaczem. Też się rozpłakałam. Wjechałam w sam środek krwawej łaźni i rozwścieczony strażnik w zielonym kapeluszu zamierzał dopilnować, żebym cierpiała tak samo jak Książę, widziałam to w jego oczach.

– Spokojnie. Przegadajmy to – odezwał się Kevin. – W obliczu tego koszmarnego dramatu nie zdążyliśmy się przedstawić. Jak mogę się do pana zwracać?

– Nazywam się Eric Underneedle. Może się pan do mnie zwracać „panie strażniku”.

– Panie strażniku, nazywam się Kevin Holts – zaczął Kevin, robiąc pauzę, żeby to do strażnika dotarło, ale ten najwyraźniej nigdy o nim nie słyszał. – Chcę, żeby pan wiedział, że chłopcy z Klubu Miłośników Przyrody i ja jesteśmy po prostu wstrząśnięci tym wypadkiem. Wstrząśnięci. Bez dyskusji zapłacimy grzywnę. Wypiszę czek tu i teraz, i zrobię to z radością. Przynajmniej na tyle zasługuje to wspaniałe zwierzę. Myślę jednak, że możemy się zgodzić, że był to wypadek. Koszmarne, koszmarne wypadek. Tym samym jest to sprawa z zakresu kodeksu cywilnego. Mógłbym skontaktować się telefonicznie z moim prawnikiem, ale nienawidzę angażowania w takie sprawy prawników. Bardzo nie chciałbym skalać pamięci Ślicznego Johnny’ego jakąś ohydą prawną przepychanką. Na pewno by tego nie chciał. W gruncie rzeczy chciałbym, żeby ta grzywna w wysokości pięciu tysięcy dolarów stanowiła, jeśli pan pozwoli, pierwszą z corocznych darowizn. Przekazywanych ku pamięci tego szlachetnego stworzenia, które poniosło tragiczną śmierć w kwiecie wieku.

Strażnik otarł oczy i pociągnął nosem.

– Wyjdiesz z tego, stary – stwierdził Kevin, obejmując go ze współczuciem. – Razem z tego wyjdziemy.

Energicznie pokleпали się po plecach i wyswobodzili z uścisku.

– Czy cierpiał? – zapytał strażnik.

– Niezbyt długo – odparł Kevin, ponuro potrząsając głową. – Dopilnowałem tego.

– Dziękuję ci – powiedział strażnik. – Przynajmniej tyle.

Minęło kilka dobrych godzin, zanim przyjechała laweta po mój samochód i zanim trup Ślicznego Johnny’ego Kwiatuszka, Księcia, został ściągnięty ze



śniegu i załadowany na ciężarówkę służby leśnej. Najlepszym rozwiązaniem byłoby, powiedział Kevin, przyglądając się nagim gałęziom nad moją głową i nie patrząc mi w oczy, gdybym wróciła z chłopcami rano busem, chyba że jest ktoś, po kogo chciałabym zadzwonić. Przyznałam, że nie ma nikogo takiego.

Kevin zabrał chłopców na krótką wycieczkę dla poprawy nastrojów. Kiedy wlekliśmy się nudnymi, płaskimi szlakami rezerwatu, Kevin zabawiał nas opowiadaniem historii o słynnych, wpływowych osobach, które poznał w Kalifornii. Z upływem godzin coraz pogodniejszego dnia nastrój zelżał. Promienie zimowego słońca wwiercały mi się w obolałą, skacowaną czaszkę, jakby z punktu widzenia wszechświata dążącego do maksymalizacji mojego cierpienia każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, był godny tego, by się o niego stosownie zatroszczyć. Czułam jednak, że na to zasłużyłam. Od czasu do czasu Mitchell wyciągał rękę i ścisnął znacząco moją dłoń. Inni chłopcy gapili się na mnie z fascynacją graniczącą z podziwem, a gdy tylko na nich spojrzałam, spuszczała wzrok i wyrywali do przodu.

– ...no i tą barmanką okazał się nie kto inny niż trzykrotnie nominowana do Oscara Sandra Bullock!

Przez dojmujący ból głowy ledwo słyszałam usiane nazwiskami anegdoty Kevina. Słaniałam się w kozakach na wysokich obcasach, mając już tylko nadzieję, że znów nie zwymiotuję.

Kiedy wróciliśmy, po Ślicznym Johnnym Kwiatuśku zostały jedynie rozmazane na śniegu wnętrzności, i dotarło do mnie, że coś jestem Kevinowi winna: podziękowania, przeprosiny, pięć tysięcy dolarów rocznie. Weszliśmy rzędkiem do pawilonu przyrodniczego, a ja próbowałam znaleźć słowa, które oddałyby wzbierające we mnie, obok mdłości, uczucia. Ale Kevin w ogóle na mnie nie patrzył. Całkowicie wyciął mnie ze swojego pola widzenia. Skierował dzieci obok wyciętej z kartonu sylwetki uśmiechniętego strażnika Erica Underneedle'a – w radośniejszych czasach, pomyślałam – do sali wypełnionej podświetlonymi od tyłu dioramami piesków preriowych. Chłopcy wmaszerowali do znajdującego się w środku wyłożonego wykładziną amfiteatru i jakaś inna pracownica rezerwatu, strażniczka Gretchen Floss,

zaczęła wyświetlać po kolei slajdy przedstawiające nijaką florę i banalną faunę naszego ojczystego stanu. Kevin wyśliznął się na korytarz, a ja poszłam za nim.

– Kevinie.

Zastygł plecami do mnie, a potem bardzo powoli, jakby zbierał się w sobie, by zmierzyć się z wyjątkowo niewdzięcznym zadaniem, odwrócił się.

– Tak?

Południowe słońce wlało się przez sięgające od podłogi do sufitu okna pawilonu, dając Kevinowi, który wreszcie na mnie spojrzał, jasny ogląd mojej twarzy.

– Jeezu – wydukał, pochylając się, żeby mi się przyjrzeć. – Chyba powinnaś pójść się trochę odświeżyć. W toaletach są umywalki. No idź. Poważnie.

Poszłam i wytarłam sobie twarz mokrymi papierowymi ręcznikami. Czarne kreski wieczorowego makijażu już dawno spłynęły mi na policzki, dając efekt w stylu Gene’a Simmons’a. Wyglądałam przerażająco.

Kiedy wyłoniłam się z łazienki, Kevin opierał się o ścianę i czekał na mnie.

– Rebecca, nie wiem, od czego zacząć. Jestem osobą skoncentrowaną na przyszłości. Osobą nastawioną pozytywnie. Może gdybym się wdrapał na wzgórze i po prostu pomedytował, dał się owionąć wiatrowi i ogrzać słońcu, może wówczas przyszłyby mi na myśl właściwe słowa.

– Wcześniej byś zamarzył na śmierć – zauważyłam, ale zignorował moją kąśliwą uwagę.

– Ale teraz? Nie potrafię spojrzeć z dystansu. Na usta ciśnie mi się tylko jedno: co za pieprzone bagno.

– Tak – zgodziłam się.

– Odłóżmy na chwilę na bok tego piątaka, cholerną dumę rezerwatu, bo owszem, jelenie czasem wybiegają przed samochody, jasne. Zdarza się. Ale co ty tu w ogóle robisz? Pojawiasz się jak błąd sobotniej nocy, cuchnąc z daleka player pour homme. Z jakiego konkretnie powodu?

– Nie jestem do końca pewna – odpowiedziałam, zanadto skupiona na opanowywaniu mdłości, żeby stawić czoła temu przesłuchaniu. Marzył mi się

już tylko zaciemniony pokój, łóżko i kilka aspiryn o przyspieszonym działaniu.  
– Martwiłam się o Mitchella.

– Mitchell miał się dobrze. Wszyscy mieli się dobrze. A teraz? Trochę strauumatyzowani, co? Nie da się tego zamieść pod dywan. Ci chłopcy widzieli dziś coś, czego nigdy nie zapomną.

Drzwi prowadzące do amfiteatru otworzyły się gwałtownie i od ścian odbiły się łkania i zawodzenie. Chłopcy wylali się na korytarz, a łzy spływały im po policzkach.

– Strasznie mi przykro – powiedziała strażniczka Gretchen Floss, załamując ręce. – Jeden ze slajdów przedstawiał Księcia i oni wszyscy kompletnie się rozkleili.

– Proszę nie przepraszać, to nie pani wina. – Kevin ukląkł na jedno kolano i szeroko rozłożył ręce. – Mocny uścisk drużyny! Chodźcie tu, wszyscy! – Chłopcy uwiesili się na nim, wszyscy co do jednego, łącznie z Mitchellem. – Wiecie, w co wierzyli Paunisi, jeśli chodzi o jelenie? Wierzyli, że kiedy jelenź zostaje ubity przez potężnego myśliwego, dusza zwierzęcia opuszcza ciało i idzie prosto do nieba, gdzie mieszkają już wszyscy starzy wodzowie plemienia. I w niektóre noce, gdy spojrzeć w gwiazdy, wszystkich ich widać. Wodza Niebo. Wodza Słońce. Wodza Walecznego Niedźwiedzia. Jadą konno pośród gwiazd, a wszystkie wspaniałe kozły, jakie kiedykolwiek żyły na Ziemi, kłusują u ich boku. Widzicie, chłopcy, gwiazdom dostał się dziś nowy kozioł. Najwspanialszy ze wszystkich.

Przy kolacji – dla chłopców hot dogi, dla Kevina zielona papka zmiksowana w jego małym podróznym blenderze, a dla mnie nic, ciągle jeszcze było za wcześnie – chłopcy nie rozmawiali o niczym poza Ślicznym Johnnym Kwiatuszkiem, Księciem biegającym wśród gwiazd. Kiedy zimowe światło dnia ustąpiło ciemnościom nocy, Kevin zabrał ich na śnieg, żeby mogli popatrzeć w niebo.

– Jest tam! O tam! Chłopaki, widziałem go – powiedział Truett Boss i wszyscy mu przytaknęli.

Spaliśmy w domkach na polowych łózkach. Kevin pożyczył mi swój

śpiwór, twierdząc, że jest mu aż za ciepło od kominka, w którym rozpalił tak, że huczało, a kłęby dymu unosiły się kamiennym kominem, a poza tym ma długą, ciepłą i przylegającą do ciała bieliznę termiczną. Kiedy chłopcy zapadli w sen, Kevin wyszeptał:

– To bardzo trwały zapach, Rebecca. Niewielu znanych mi mężczyzn go nosi. A jeszcze mniej kobiet.

Leżałam plecami do niego. Nie odwróciłam się.

– To było bardzo piękne. To, co powiedziałaś o tym jeleniu. Nie wiedziałam, że Paunisi kultywowali takie wierzenia.

Kevin poruszył się na swoim łóżku.

– To były wyssane z palca brednie. Sprzątałem bajzel po tobie.

Chłopcy wokół nas zapadali w coraz głębszy sen, a ja czułam wwiercające mi się w łopatki spojrzenie Kevina. Wyobraziłam sobie, że gdybym na niego popatrzyła, zobaczyłabym jego oczy krzeszące w ciemności iskry potępienia, więc się nie odwróciłam. Włożyłam dłoń pod koszulę i zaczęłam odklejać plaster z lędźwi, ale powoli, tak żeby nie było słychać. Taka byłam naiwna, przyklejając go, taka przepełniona wiarą w osobę, jaką mogłabym się stać. Teraz wiedziałam już, że nie mógł mi pomóc, bo istniały rzeczy bardziej godne politowania niż Hayes Bandercook.

– W sprawie tej zbiórki żywności – powiedział Calvin, zrównując się ze mną, kiedy szłam przez parking, żeby odebrać Mitchella. Zaparkowałam właśnie nasz nowy samochód, jasnozielonego forda granadę z rdzawą plamą na drzwiach przypominającą zarysem stan Floryda. Wybrałam go w komisie w Nee „za pół darmo”, jak to ujął sprzedawca, ze względu na aromatyczne wnętrze.

– Zbiórki żywności? Nie organizujemy zbiórki żywności.

Wcześniej spadł śnieg i niedługo znów miał spaść, ale dzieci biegały na zimnie po boisku do piłki nożnej, a za nimi powiewały kaptury ich kurtek. W tym roku noszenie kaptura nie było *cool*. Nikt jeszcze nie odmroził sobie uszu, ale spodziewałam się, że nastąpi to przed nadejściem wiosny. Calvin patrzył na dzieci, nie na mnie, i był gładko ogolony. Wydawał się młodszy, a nawet jakby szerszy bez tej swojej cienkiej bródki. Bolesnie, chłopięco szczery. Taktownie starałam się nie przypatrywać jego szczęce. Nie zamieniliśmy słowa, odkąd wyszłam z jego mieszkania, a teraz oboje byliśmy sztywni i niepewni, zażenowani tak zgodnie, jak niezgodni byliśmy na jego parszywej wykładzinie.

– Ależ oczywiście, że organizujemy. I potrzebujemy ewidentnego W.

– Słucham?

– Wygranej. Musimy wygrać.

– Jak można wygrać zbiórkę żywności?

Calvin zatrzymał się tuż przed progiem zwalniającym i spojrzał mi prosto w oczy. Gasnące światło przesączało się przez budynki szkolne, a nasze cienie wyglądały jak dwa przygarbione, naradzające się strachy na wróble.

– Żarty sobie robisz, prawda?

– Czy wygrani nie są czasem głodni ludzie, którzy dostaną torbę zakupów?

– Myślę, że są wygrani... w pewnym sensie. Ale próbuję ci przede wszystkim powiedzieć, że musimy zebrać więcej niż jakakolwiek inna szkoła w okręgu. Bardzo wiele od tego zależy.

– A co konkretnie? – Spędziłam kilka mrocznych godzin w oczekiwaniu na to, aż nad osiedlem Sosnowy Zakątek wzejdzie słońce, gapiąc się na nieruchomy pysk tłustego kota, kiedy Calvin spał owinięty wokół mnie jak sprężyna, i absolutnie nie miałam pewności, na czym w tym momencie stoimy.

– Więcej, niż mogłabyś sądzić. To ważne dla wszystkich dzieci, żebyśmy wypadli najlepiej, ale dla piątej klasy jest to niebywale istotne. Zastanawiałem się nad twoimi wątpliwościami co do zatrudnionej obecnie w szkole kadry.

– To nie są wątpliwości. To gwałtowny sprzeciw. Sytuacja w piątej klasie jest nie do obrony. Wiesz, że niektóre dzieci zmuszone są spędzać cały dzień w szatni? Nie mogą wyjść, dopóki nie zaliczą próbnego testu Cleaver albo nie utworzą sobie drogi wyjścia mieczem. Piankowym mieczem.

Calvin przygarbił się i wcisnął brodę za kołnierz płaszcza.

– Możliwe, że ta decyzja o zatrudnieniu była zbyt śmiała. Mam słabość do zdecydowanego, odważnego przywództwa.

– Nikt nie jest doskonały – stwierdziłam, zginając zziębnięte palce w puchatych rękawiczkach.

– Nie w porządku jest wymaganie od wszystkich pozostałych, by nadążali za moją wizją.

– Czy ty proponujesz mi...?

Wymianę. Nie powiedziałam tego głośno. Czy jeśli wygram zbiórkę żywności, Kevin wróci do internetu?

Nie chciał jednak załatwiać tego w ten sposób, tak otwarcie, więc tylko szybko kiwnął głową i powiedział:

– Proponuję ci szansę pobicia rekordu wynoszącego aktualnie pięć tysięcy puszek.

– Pięć tysięcy puszek? W tej szkole uczy się trzysta dzieci. Jak mam to

zrobić, twoim zdaniem?

– Będziesz musiała być absolutnie bezwzględna, by choćby zbliżyć się do tego wyniku. Ale zbliżenie się do niego nie wystarczy. Musisz to wygrać, Becky.

– Mam na imię Rebecca – przypomniałam.

– Naprawdę? Thad mówi na ciebie Becky.

Thad! To było jak nóż w serce i z pewnością zrobił to celowo. Dlaczego byłam jedyną osobą, która nie zwracała się po imieniu do Thaddeusa Sorensona, doktora nauk medycznych? Dlaczego mnie, jego prawej ręce, że się tak wyrażę, jego bratniej duszy w godzinach pracy, odmawiano tego banalnego świadectwa zażyłości? Byłam wtajemniczona we wszystkie najohydniejsze dramaty jego życia osobistego, a mimo to nigdy nie zostałam zachęcona do tego, by zwracać się do niego po imieniu! To wszystko nie miało sensu. Zaczęłam się zastanawiać, czy w dniu, w którym się poznaliśmy, nie powiedział: „Mów mi Thad”, jak najwyraźniej proponował to wszystkim innym, co mi jakimś cudem umknęło? Mało prawdopodobne.

– On sobie na to zapracował.

– Naprawdę? – zapytał Calvin, a ja dziękowałam opatrności, że w gasnącym świetle dnia nie widzę wyraźnie jego miny, dzięki czemu mogę sobie wmawiać, że nie patrzy na mnie z politowaniem. – Nie mogę pojąć czym.

– Proszę pozwolić, że sprawdzę, co go zatrzymało – poprosiłam parę siedzącą naprzeciw pustego biurka doktora Thada. Byli wysocy i surowi, zapięci w swoich płaszczach pod szyję mimo ciepła napływającego falami – za niebagatelne pieniądze – z otworów wentylacyjnych pod sufitem. Pomyślałam mimowolnie, że bardzo przypominają młodszą wersję pary z obrazu Granta Wooda *American Gothic*. Nie było powodów do paniki. Sytuacja finansowa kliniki zrobiła się niewesoła, ale nasza działalność zawsze uzależniona była od regularnego strumienia przychodów. Odzyskanie płynności było kwestią jednego, najwyżej dwóch zabiegów. Potrzebowaliśmy tylko doktora Thada i jego ponadprzeciętnych umiejętności interpersonalnych,

a tymczasem nigdzie go nie było.

Usiadłam w dyrektorskim fotelu doktora Thada i wybrałam jego numer, korzystając ze swojej służbowej komórki, bo szanse, że odbierze połączenie z głównego numeru kliniki, były znacznie mniejsze. Odebrał po pierwszym dzwonku, ale głos miał stłumiony, jakby trzymał słuchawkę z daleka od twarzy.

– Patrz, to ja! To ja dzwonię do siebie. Dzień dobry, doktorze Thadzie! – mówił już wyraźniej, prosto do mikrofonu.

– Państwo Grantwood przyszli do pana na wizytę – poinformowałam.

– Co? – zapytał doktor Thad. – Z kim rozmawiam?

Przyjrzałam się uważnie ponurym twarzom Todda i Melissy Grantwoodów. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy odebrali tradycyjne wychowanie religijne i przesiąkli pragmatyczną kulturą farmerską radzącą znosić cierpliwie rozliczne rozczarowania, jakie niesie ze sobą życie. Krótko mówiąc: trudno było wyobrazić sobie mniej wdzięcznych klientów, a jednak musieliśmy dobić targu.

– Rozumiem. Zatem rekomenduje pan... Tak, tak jak omawialiśmy to wczoraj.

– Becky? Becky, mam w tym momencie pełne ręce roboty – przerwał mi doktor Thad. Usłyszałam pisk i coś, co brzmiało jak klaps na gołe ciało. – Ty mała... – a potem kolejny pisk i telefon potoczył się, jak sądziłam, na hotelową wykładzinę, zapewne Prescott Inn w Warlock. Usłyszałam wystarczająco dużo. Gdybym miała jeszcze jakieś złudzenia co do skuteczności phocusa w zakresie ograniczania nieodpowiedzialnych zachowań u dorosłych, w tym momencie zostałabym z nich odarta. Odłożyłam telefon na biurko i wbiłam spojrzenie w blade oczy Grantwoodów.

– Doktor Thad został nieoczekiwanie zatrzymany na oddziale chirurgicznym. Bardzo mi przykro. W życiu lekarza takie rzeczy się zdarzają.

Grantwoodowie skinęli głowami. Rozumieli. Znali już to wielkie kłamstwo, na którym opiera się współczesna praktyka medyczna, że lekarze są zawsze zajęci robieniem czegoś ważniejszego niż stawianie się na umówione wizyty. Wyglądali, jakby to kupowali.



Wzięłam głęboki wdech, modląc się, by Grantwoodowie nie mieli przy sobie podsłuchu, i przygotowując się do udzielania porad medycznych bez zezwolenia.

– Wyczerpująco omówiliśmy jednak wczoraj państwa przypadek i doktor Thad jest przekonany, że biorąc pod uwagę państwa wiek i zebrany wywiad, procedura *in vitro* z wykorzystaniem jajeczek dawczyni jest logicznym następnym krokiem.

Byłam prawie pewna, że tak właśnie brzmiałaby rada doktora Thada, gdyby znajdował się w stanie ducha pozwalającym jej udzielić.

– Mamy kilka naprawdę znakomitych dawczyń – ciągnęłam, przesuwając po mahoniowym blacie w ich stronę katalog gładkoscórych posiadaczek stosownych jajeczek. Twarzy Grantwoodów nie zmarszczył najłżejszy grymas. Być może przyłoczyła ich koncepcja propagacji genów wyraźnie lepszych niż ich własne. Marzyli o wychowaniu głupawych, kartoflowatych dzieci i nie byli jeszcze gotowi pożegnać się z nadzieją na wzbogacenie puli światowej miernoty za sprawą własnych gamet. Gdyby tylko udało mi się pozyskać jajeczka od jednej z kobiet Bandercooków. – Wiem, że mają państwo poczucie, że to znaczący krok, i rzeczywiście tak jest, ale razem z doktorem Thadem jesteśmy przekonani, że stwarza on bardzo duże nadzieje na sukces.

– Ile? – zapytała Melissa Grantwood.

Uczciwość wymagała udzielenia jej bezpośredniej odpowiedzi, ale kunszt handlowy nakazywał przygotowanie odpowiedniego gruntu pod ostateczną kwotę, opakowanie jej radosnymi marzeniami o powołaniu na świat własnego dziecka. Doktor Thad był mistrzem tej subtelnej sztuki. Ja nie.

Wypaliłam kwotę. Głowy Grantwoodów obróciły się na okrytych kołnierzami płaszczy szyjach, a ich właściciele wymienili spojrzenia.

– Czy to przyniesie spodziewany efekt? – zapytał Todd.

– Jesteśmy o tym przekonani. Odsetek zabiegów zakończonych powodzeniem w przypadku takim jak wasz wynosi zwykle około trzydziestu dwóch procent na jeden cykl.

– A więc... – stwierdził Todd i poruszył się na krześle – to prawdopodobnie

nie przyniesie efektu.

– Ma pan słusność – przytaknęłam, żeby się nie sprzeczać, choć pomyślałam, że zdradza to bardzo uproszczone pojmowanie statystyki przez pana Grantwooda. Wiedziałam, że ci ludzie bardzo pragną dziecka, a mimo to i tak czułam, jak wyslizgują mi się z rąk. – Muszą państwo zrozumieć, że tak wyglądają liczby w tej branży. Ale doktor Thad jest znakomitym lekarzem. Jego osobisty wskaźnik zabiegów zakończonych powodzeniem jest nieco wyższy.

Grantwoodowie nic nie powiedzieli. Siedzieli po prostu na krzesłach jak dwie huby na kłodzie.

– Zapłodnienie *in vitro* jest bardzo trudną, bardzo osobistą decyzją. Nie zamierzam twierdzić inaczej. Ale powiem państwu, że jeśli zdecydują się państwo na ten ruch, to wybierając doktora Thada, znajdą się państwo w bardzo dobrych rękach. Jest błyskotliwym, innowacyjnym, powszechnie szanowanym...

Przerwały mi odległe zdławione jęki. Dobiegały z telefonu leżącego tuż przy moim łokciu spoczywającym na biurku doktora Thada. Odgłosy stawały się coraz bardziej donośne i rytmiczne, doszło też do nich coraz szybsze sapanie. Zaczęłam majstrować przy wyświetlaczu, przeklinając dzień, w którym zahasłowałam telefon. Grantwoodowie przestali mnie słuchać. Gapili się na moje niewinne urządzenie z takim obrzydzeniem, jakie tylko potrafiły wyrazić ich beznamiętne twarze.

– Coś musi być nie tak z tym telefonem. Bardzo przepraszam... Nie wiem, co się dzieje.

– Nie wie pani? – zapytała Melissa sceptycznie.

– Oczywiście, że wiem, ale nie wiem, skąd to dochodzi ani kto to może być...

– Wygląda na to, że zapomniała się pani rozłączyć z doktorem Thadem – zauważył Todd.

– Nie, nie, na pewno nie. Rozłączyliśmy się. To musi być jakieś nowe połączenie, ktoś robi sobie pewnie żarty. Doktor Thad jest na oddziale

chirurgicznym.

Mitchell znów mi coś poprzestawiał w telefonie i nie byłam w stanie znaleźć aplikacji, od której to urządzenie wzięło swoją nazwę. W tym momencie kobiecy głos wykrzyknął imię doktora Thada, wypełniając gabinet swoją euforią na sekundę przed tym, zanim mój kciuk nacisnął przycisk „Rozłącz”.

Grantwoodowie wstali.

– No cóż, co do jednego miała pani rację – rzekła Melissa, trącając męża łokciem w wielki brzuch. – Sądząc po odgłosach, prawdziwy z niego mężczyzna.

Patrzyłam, jak nasze pieniądze wymaszerowują za drzwi, ramię w ramię, uśmiechając się pogardliwie.

– Mamo, dlaczego nie jesteś mężatką? – zapytał Mitchell, kręcąc się na obrotowym krześle w oczekiwaniu na śniadanie.

Byłam przygotowana do udzielania odpowiedzi na to pytanie zadawane mi przez rozmaite osoby. Odpowiadałam na nie nieustannie przez wiele lat, aż do swoich trzydziestych pierwszych albo trzydziestych drugich urodzin, kiedy to ludzie przestali je zadawać tak często, może z litości. Najwyraźniej przegapiłam swoją szansę. Może jest mi pisane poznać kogoś za wiele, wiele lat w domu spokojnej starości, przystani seksownych seniorów, ale przez kilka kolejnych dekad byłam skazana na samotną egzystencję – co do tego wszyscy wydawali się zgodni. Ale nigdy wcześniej tego pytania nie zadał mi Mitchell.

– Bo nie chcę być mężatką – odparłam z grzanką w buzi. Przysunęłam mu talerz z jego grzanką i nalałam sobie kolejny kubek kawy, przebiegając spojrzeniem pierwszą stroną miejscowego dziennika.

– No ale dlaczego ja nie mam taty?

Odłożyłam gazetę. Powinnam się była domyślić, że do tego zmierzał. Próbował mnie delikatnie podejść, bo ta rozmowa, rozmowa o tacie, wytrącała mnie z równowagi, o czym dobrze wiedział, chociaż ze wszystkich sił starałam się sprawiać wrażenie opanowanej i pewnej siebie, pogodzonej ze wszystkim, co w naszym życiu było obecne i nieobecne. Kawałek tostu przykleił mi się do podniebienia. Spłukałam go wrzącą kawą.

– Mitchell. Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie.

Ta rozmowa przypominała wcieranie soli w świeżą ranę, w każdym razie mnie, i z trudem wyobrażałam sobie, czym musi być dla niego. Potrafił nie wspominać o tym przez wiele miesięcy, a potem prześladował mnie przez kilka dni z rzędu, jakbym ukrywała drugiego rodzica na strychu niczym

nieszczęsną, obłąkaną panią Rochester. Czasem sprawiało to wrażenie, jakby Mitchell wierzył, że jeśli będzie mnie błagał wystarczająco długo, wreszcie wyrzucę ręce w powietrze, krzyknę: „Och, niech już ci będzie!”, i odsunę sekretną zasłonę, by przedstawić mu miłego, grającego w piłkę ojca, jakąś atrakcyjną mieszankę wszystkich ojców, którzy przechadzali się kiedykolwiek na małym ekranie, czochrającego włosy żartownisia albo ojca z epoki czarno-białej telewizji, który nosi krawat, utrzymuje porządek i dzieli się wiedzą. Raz po raz zapewniałam go, że nie ma nikogo poza nami dwojgiem.

Najpierw byłam delikatna i cierpliwa. „Nie ma nic złego w tym, że tak to czujesz, masz prawo, oczywiście. Tak, w kategoriach naukowych wszyscy mają jakiegoś ojca. Ale wielu ludzi nie ma taty”. Potem robiłam się rzeczowa. „Słuchaj, nic się w tej kwestii nie zmieni”. W końcu, wyczerpana tematem, czując w piersi pieczenie, które mogło być zarówno zgagą, jak i wyrzutami sumienia, zauważyłam, że wielu ojców wcale nie jest takich wspinających, i pytałam, czy zastanowił się nad tym, że może wcale nie wychodzimy na tym wszystkim tak źle?

– Ale może moglibyśmy go znaleźć, gdybyśmy się dobrze przyłożyli?

– Biologiczny ojciec to nie to samo co tata. A poza tym to niemożliwe, Mitchell. Wiesz o tym.

– Pan Holts mówi, że wszystko jest możliwe.

– No i kompletnie się myli. Mnóstwo rzeczy jest niemożliwych. Tysiące rzeczy. Miliony. Liczba rzeczy niemożliwych może być wręcz nieskończona. Nikt tego do końca nie wie.

Przy każdej rozmowie o ojcu starałam się zachowywać rozsądnie i profesjonalnie, zapewnić go, że cały ten układ, nasza dwójka i nikt poza tym, był częścią mojego planu. Tak naprawdę cały ten plan legł w gruzach – nic w naszym życiu nie potoczyło się zamierzonym torem, i chociaż ustawicznie obniżałam oczekiwania, każdy nowy plan zapadał się pod własnym ciężarem tak samo jak wszystkie poprzednie.

– Zapytam o to pana Holtsa.

Mitchell jak zwykle pokroił swój tost na zgrabne kwadraciki i teraz po kolei nadziewał je na widelec i zjadał.

– Nie sądzę, że powinieneś biegać do pana Holtsa z każdym swoim pytaniem. Jest całe mnóstwo rzeczy, o których on nie ma pojęcia.

– Mamo, on jest miliarderem – uświadomił mi Mitchell. Czek na pięć tysięcy dolarów, który Kevin wypisał strażnikowi Ericowi Underneedle'owi, kiedy już wsiadaliśmy do busa, przyćmił niemal wszystko, co wydarzyło się podczas tego weekendu. Przez całą drogę chłopców rozpalały legendy o iście bizantyjskim bogactwie Kevina. Ogólnie rzecz biorąc, byłam za to wdzięczna losowi.

– Ha – powiedziałam. – Nie jest. A poza tym pieniądze nie dają odpowiedzi na wszystkie pytania.

Mitchell wziął łyk soku pomarańczowego.

– Wygląda na to, że jednak tak.

– Dają odpowiedzi na niektóre pytania – przyznałam. – Ale potem stwarzają masę innych problemów.

– Na przykład?

– Och, nie wiem. To skomplikowane.

– Czy to, gdzie przechować te wszystkie pieniądze, może być problemem? Albo jak zabezpieczyć je przed złodziejami?

– Nie, mam na myśli realne problemy, Mitchell. Tylko że w tym momencie akurat żadne nie przychodzą mi do głowy. – Biorąc pod uwagę saldo na koncie, nie byłam w sytuacji, w której problemy ludzi dysponujących nadmiarem gotówki szczególnie by mi się narzucały lub wydawały się wyjątkowo dokuczliwe.

– Ja też chcę być miliarderem.

– Kochanie, on nie jest miliarderem. A kłopot z pieniędzmi polega na tym, że nie potrafią cię tak naprawdę uszczęśliwić.

– A ja myślę, że pan Holts jest całkiem szczęśliwy. Zawsze sobie pogwizduje. Smutni ludzie tego nie robią. Ty tego nigdy nie robisz. – Mitchell obracał się na krześle w prawo i w lewo, doskonale wiedząc, jak mnie to irytuje, zwłaszcza bladym świtem.

– Nie jestem smutna. Po prostu nie czuję potrzeby wygwizdywania dzień

w dzień idiotycznych melodyjek.

Mitchell sączył swój sok pomarańczowy. Jest coś upiornie drażniącego w takim sceptycznym spojrzeniu dziesięciolatka. Sięgnęłam po argumenty do archiwum wspomnień z dzieciństwa. – Wiesz, mówi się, że łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego.

– Ale dlaczego wielbłąd miałby chcieć przechodzić przez ucho igielne?

– No, pewnie by nie chciał.

– No to nie ma problemu – skwitował Mitchell, nadziewając ostatni kwadracik tostu.

– Słuchaj, nie zapomniałeś o czymś? – zapytałam. Z kluczami w rękę zapinałam dwurzędową kurtkę narzuconą na odzież medyczną. Brązowa papierowa torba wypełniona jedzeniem stała wciąż na słomiance pod drzwiami. Zbiórkę żywności uruchomiliśmy już dobre kilka dni temu, ale Mitchell ciągle zapominał zanieść swoją torbę.

– Nie – powiedział Mitchell, odwracając się, by pokazać mi swój plecak, do którego wrzucił już odrobioną pracę domową.

– No to spójrz pod drzwi. Frontowe! – odpowiedziałam, bo Mitchell ruszył już w stronę garażu.

Wygiął szyję i zmrużył oczy, odgrywając przesadną pantomimę poszukiwań.

– Niczego tam nie widzę.

– To są twoje puszkę na zbiórkę żywności.

Zablokowałam na godzinę kserokopiarkę w klinice, drukując setki ulotek na temat zbiórki żywności. Rozwiesiłam plakaty na wszystkich szkolnych korytarzach. A Mitchell zauważył – nie bez racji – że ostatnio ciągle wspominam o jedzeniu w puszkach. A jednak mimo tych wszystkich wysiłków żadne dziecko z klasy Mitchella nie przyniosło jeszcze ani jednej puszkę. Sądziłam, że może to być jakaś próba ukarania mnie za Ślicznego Johnny'ego Kwiatuszka, Księcia. Zamierzałam ich przycisnąć i rozwiązać sprawę otwarcie.

– Myślę, że powinniśmy je po prostu zatrzymać dla siebie.

Zaczynał padać śnieg, więc nacisnęłam mu na uszy pomarańczową czapkę narciarską. To był zły znak, że mi na to pozwolił. Oddawał pole, żeby uderzyć z flanki.

– Nie potrzebujemy ich. Mamy mnóstwo jedzenia, a są tacy ludzie tutaj, w Ward, którzy nie mają co do garnka włożyć. Możesz im pomóc, zabierając to do szkoły.

Mitchell zmarszczył brwi, zaglądnąjąc do torby z jedzeniem wypełnionej pomidorami konserwowymi, purée z dyni i fasolką do odsmażania.

– Wiem. Ale nadal nie chcę tego zrobić.

– Nie chcesz pomóc głodnym ludziom? A może po prostu – przygryzłam wargę, żeby zachować spokój – próbujesz ukarać własną matkę?

Mitchell wyglądał na zbitego z tropu.

– Mamo, chcę ci pomóc, naprawdę. Ale jak przyniosę jakąkolwiek puszkę, to dzieciaki z klasy mnie zabiją. Wsadzą mnie z powrotem do szatni, mamo.

– Dlaczego miałyby to zrobić? Wiesz, że dla klasy, która wygra, przewidziana jest w nagrodę imprezka?

Niedawno rozkleiłam kolejne plakaty obwieszczające tę dodatkową zachętę, wyrysowane ręcznie o pierwszej w nocy w maniakalnej próbie wzbudzenia w dzieciach chęci udziału.

– Tak... Ale pan Holts mówi, że jeśli nikt nie przyniesie jedzenia, to zabierze nas do Pizza Planet. Będziemy jeść pizzę i grać w gry wideo. I w kręgle.

Rozważana przeze mnie impreza klasowa, ciasteczka w opakowaniach i kubeczki ponczu na wysłużonych ławkach, była przygnębiającym wydarzeniem w porównaniu z bachanaliami, którymi kusił ich Kevin.

– Na pewno chodziło mu o to, że jeśli wszyscy przyniosą jedzenie.

Niemożliwe, żeby Kevin sprzeciwił się Calvinowi otwarcie w tak gardłowej sprawie. Calvin chciał W. Jawny sprzeciw naraziłby na szwank informatyczny projekt Kevina, a jeśli Kevin Holts czegokolwiek się obawiał, to była to utrata zysków.

– Powiedział, że jeśli nikt. Jest przeciwny zbiorce żywności – obwieścił



Mitchell. – Mówi, że to nieetyczne.

– Nieetyczne? Ale przecież dzięki tym konserwom nakarmimy głodnych ludzi.

– Wiem – zgodził się Mitchell. – Dlatego nie mogę tego zrobić. A poza tym chcę pograć w kręgle. Muszę w tej kwestii podążać za głosem sumienia.

Przełożył ręce przez szelki plecaka i ruszył do samochodu.

– Mitchell, poczekaj! – krzyknęłam. Podniosłam torbę. – Bardziej cię obchodzą kręgle niż ludzie, którzy nie mają co jeść? To takie... egoistyczne.

– Pan Holts mówi, że egoizm jest cnotą.

– Cnotą? W byciu egoistą nie ma nic dobrego.

– Mówiłem mu, że tak powiesz. Odparł, że jak masz z tym problem, powinnaś się umówić na rozmowę z nauczycielem.

– No i właśnie się umówię. Bo owszem, mam z tym problem. Duży problem.

– Pan Holts powiedział, że prawdopodobnie z różnych powodów nie będziesz się chciała umówić na spotkanie z nim – ciągnął Mitchell.

Spojrzał na mnie, próbując wysondować moją reakcję. Jego ciepłe brązowe oczy rozbliły się spod pomarańczowej czapki narciarskiej.

– Z jakich powodów? – zapytałam, pilnując wyrazu twarzy, na której powinno się odmalować jedynie uprzejme zainteresowanie.

– Tego się właśnie chciałem dowiedzieć! Ale on stwierdził tylko, że w jego towarzystwie czujesz się niezręcznie i że to są sprawy pomiędzy dorosłymi. No to mu powiedziałem, że sam mówił, że nie ma czegoś takiego jak sprawy pomiędzy dorosłymi, i że jest hipokrytą! A on się roześmiał i odrzekł mi, że pewnie w przyszłości zostanę magnatem przemysłowym, ale i tak mi nie zdradził, co to za powody. Zapytasz go i przekażesz mi, mam?

– Jasne. Zapnij kurtkę.

Nie było mowy o tym, żebym mogła odstawić swój nowy samochód na myjnię do wyprania tapicerki, dopóki doktor Thad nie wróci do pracy, więc razem z Mitchellem pokonywaliśmy kilometry na mrozie z włączonym ogrzewaniem

i otwartymi oknami. Przy zamkniętych oknach smród ze środka był nie do zniesienia. Trzęśliśmy się z zimna. Kiedy stanęliśmy na czerwonych światłach na skrzyżowaniu O Street i Pięćdziesiątej Siódmej, pośpiesznie przetarłam sobie zaparowaną przednią szybę rękawiczką. Tuż obok, na rogu ulicy, jakaś kobieta o siwych skołtunionych włosach pchała przed sobą wózek pełen śmieci. Jej sytuację wyjaśniał chaotyczny, trudny do odcyfrowania napis nagryzmołony na tekturce. Wbiłam wzrok w sygnalizator przed sobą, ale z otwartymi oknami byłam łatwym łupem. Kobieta zaczęła lamentować jęklwym, przepitym głosem:

– Czy zechciałaby pani wesprzeć grosikiem? Jestem osobą bezdomną, od wczoraj nic nie jadłam, a chociaż ciepłą zupę by człowiek...

Uniosłam się na siedzeniu, przewróciłam oczami i nie zdejmując rękawiczek, zaczęłam nieporadnie grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych. Kobieta, powłócząc nogami, przeszła w kierunku otwartego okna przy siedzeniu pasażera.

– Znajdź sobie uczciwą robotę! – wrzasnął Mitchell z tylnego siedzenia. Kobieta znieruchomiała w pół kroku. Światło zmieniło się na zielone, a ja z piskiem opon ruszyłam ze skrzyżowania.

– Mitchell! Jak mogłeś powiedzieć coś takiego! Chciałam jej pomóc. Skąd ci przyszło do głowy, żeby wrzasnąć coś tak nieuprzejmego?

Ale wiedziałam skąd.

– Gdyby miała pracę, nie musiałabyś jej pomagać. Mogłaby pomóc sobie sama, a ty odłożyłabyś pieniądze, żeby naprawić nasz samochód – tłumaczył Mitchell, prezentując mi skrócony światopogląd Kevina w rozumieniu dziesięciolatka, nieróżniący się w gruncie rzeczy od pojmwania czterdziestolatka. – Zimno mi.

– Nie wszyscy mają tyle szczęścia co my – powiedziałam. Nasze oddechy kłębiły się w samochodzie białymi obłoczkami. Ogrzewanie było włączone na maksa, ale ciepłe powietrze natychmiast ulatywało przez otwarte okna. – Nie tak prosto jest ot tak dostać pracę – mówiłam, zastanawiając się, co zrobię, jeśli sytuacja kliniki się nie poprawi. Święto Dziękczynienia było tuż, tuż, a nikt nie decyduje się na leczenie bezpłodności, kiedy jak zły sen powracają

pachnące goździkami placki z dyni. Pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Nowym Rokiem trwał martwy sezon, w którym ludzie wydawali pieniądze na kupony podarunkowe dla najbliższych i pielęgnowali nadzieję na cud pod jemiolą, a nie w klinice. Zwykle doktor Thad i ja chomikowaliśmy gotówkę na zimę jak wiewiórka orzeszki.

Zajechaliśmy pod szkołę i kiedy zmarznięty Mitchell biegł już do drzwi wejściowych, uzmysłowiłam sobie nagle, że to był Moment. Jeden z tych kluczowych Momentów, w których matka łagodnym, przepelnionym miłością i doświadczeniem głosem kształtuje światopogląd swojego dziecka, pomagając mu dostrzec sprawy w nieco odmiennym świetle, zanim jego przekonania zastygną w pokrętnej, odrażającej parodii ideologii, której uproszczona groteskowość zmusi cywilizowane społeczeństwo do skazania go na wieczne zesłanie do zony internetowych komentarzy. Zmarnowałam swoją szansę. Mitchell obraził bezdomną kobietę, ja obiecałam jej pieniądze, a potem po prostu odjechaliśmy. Po zajechaniu na stację benzynową czułam już tylko bezbrzeżne obrzydzenie do samej siebie.

Zatankowałam do pełna i trzęsąc się z zimna, weszłam do budynku, po czym wpadłam prosto na Hayesa Bandercooka. Jadł właśnie burrito na śniadanie, a smuga rozmazanego sosu serowego szpeciła mu przystojną twarz i zaczątki wąsów. Może to była kwestia burrito, może zarostu? – niezależnie od powodów nic nie poczułam. Kompletnie nic. Chociaż nie – jeszcze inaczej. Poczułam się silna. Zdecydowana. Przeszłam tuż obok niego, prosto do ekspresu do kawy, w ogóle na niego nie patrząc. Podniósł się i stanął za mną.

– Rebecca – wyszeptał mi wprost do ucha w sposób, od którego zjeżyły mi się włoski na zziębniętym ciele, ale nie odrywałam wzroku od ekspresu ciurkającego mi do kubka lepłą czarną cieczą z nocnej zmiany. – Hej? – próbował dalej, kiedy nadal nie zwracałam na niego uwagi. – Jesteś zła?

Uprzytomniłam sobie, że jestem bardziej niż zła. Byłam wściekła. Czy kilka (dłuższych) randek w motelu Fox dawało mu prawo do kupowania gigantycznego opakowania najtańszych kondomów, które zamierzał zapewne użyć nie tylko ze mną? Nie, nie dawało mu takiego prawa. Nie w mojej ocenie. Nie kiedy przegonił mnie oknem i – nie zapominajmy o tym – nawet nie

zadzwoił.

– Zastosuj w zdaniu słowo „zrehabilitowany” – rzuciłam wyzywająco i odwróciłam się na pięcie ze słusznym oburzeniem i parzącym w rękę kubkiem pysznej, spalonej kawy. Spiorunowałam go wzrokiem znad szalika. Zaskoczony wyraz jego twarzy podkreślał tylko pociągającą symetrię jego rysów, ale na szczęście tors miał całkowicie ukryty pod obszerną kufajką. Jeśli nie będziemy przeciągać sprawy, może uda mi się ją raz na zawsze zasnąć... to znaczy zamknąć.

– Co? Ale po co?

Miałam kłopot z zamknięciem wyginającego się papierowego kubka plastikową pokrywką. Hayes wyjął mi go z rąk i przytrzymał, pozwalając mi wcisnąć pokrywkę na miejsce. Starłam się nie patrzeć na jego dłonie. Zbyt wiele wspomnień.

– Tak jak sądziłam.

– Ale dlaczego mam zastosować w zdaniu słowo „zrehabilitowany”?

Zabrałam mu kubek, odwróciłam się plecami i ruszyłam w stronę drzwi, zostawiając go przy stoisku sprzedaży hot dogów.

– Nie zastosujesz, bo nie potrafisz – odezwałam się głośno, mając w nosie, czy ktoś usłyszy, jak się do niego zwracam.

– Poczekaj chwilę. „Ale dlaczego mam zastosować w zdaniu słowo «zrehabilitowany»?” jest zdaniem. Mam rację, prawda? Mam rację i dobrze o tym wiesz, Rebecca! – Śmiał się, jakby to była jakaś gra, ale nie zwolniłam kroku, a on, widząc, że nie żartuję, dał za wygraną.

Jadąc do pracy z kubkiem szybko stygnącej mi między udami kawy, stanęłam na tych samych światłach co wcześniej. Ta sama kobieta stała na straży tego samego wózka śmieci. Przez okno wręczyłam jej kawę i trochę pieniędzy.

– Spróbuj odmienić swoje życie! – rzuciłam, przeglądając się we wstecznym lusterku.

Jak wielu desperatów przede mną, wylądowałam w końcu w mieszczącej się w suterenie kancelarii prawnej mojej siostry. Usiadłam w poczekalni na najmniejszej z trzech obitych pomarańczowym skajem kanap i otworzyłam magazyn lajfstajlowy ze stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Byłam sama... i zaskoczona, jak bardzo mnie to rozczarowało. Chyba chciałam wymienić poglądy z kimś, czyje życie również właśnie się rozpadało. „Doszedłem do ściany. Nie mam pojęcia, jak z tego wybrnąć” – mogłaby zauważyć jakaś zrozpaczona postać siedząca kanapę dalej. „Doskonale to rozumiem” – odpowiedziałabym całkiem szczerze.

Kancelaria Loos & Meer-Loos przypomina rodzinny sklepik z tysiącem i jeden drobiazgów. „Od podpaleń do cyberprzestępczości” – tak brzmiał ich slogan reklamowy, a dotyczyło to wyłącznie praktyki karnej. Ben senior i Madge zajmowali się wszystkimi rodzajami prawa poza prawem morskim. Wydało mi się bardzo dziwne, że tego ślicznego zimowego dnia ani jeden mieszkaniec Ward nie musi się akurat przygotowywać do rozprawy ani złożyć żadnego pozwu. Może wszyscy przenieśli swoje sprawy do kancelarii Barton & Theopolous po drugiej stronie autostrady?

Podeszłam do okienka recepcji.

– Jeśli to nie jest dobry moment, to mogę przyjść później.

– Pani Meer-Loos zaraz panią przyjmie – powiedziała Sara Beth. Była bardzo młoda, prawie jeszcze dziewczyna, ale jednak za stara na warkocze, w które zaplatała włosy.

– Nie poznałam cię, Sara Beth. Pracujesz tutaj na stałe?

– Tak – przytaknęła Sara Beth. – Ciocia Madge jest moją mentorką. Pilnuje, żebym nie popełniła takich samych błędów jak rodzice.

Ojciec Sary Beth, Ross Loos, odebrał wykształcenie prawnicze i krótko pracował w rodzinnym biznesie, ale aktualnie uprawiał ekologiczne warzywa w pobliżu Daverly. Był poszukiwaczem, lecz poszukiwał nie Wszechmocnego Dolara, tylko „innego stylu życia”. Opowiedział mi o tym wszystkim sam z siebie w zimny jesienny poranek, kiedy na ostatnim w sezonie targu artykułów rolnych zorganizowanym na tyłach biblioteki kupowałam na jego stoisku torbę pokurczonych bakłażanów. Poszłam korytarzem za Sarą.

– Potrzebuję twojej pomocy, Madge.

– Wiedziałam. Zanosilo się na to już od kilku miesięcy. Ale nie zamierzam mówić: „A nie mówiłam?”.

– Doceniam to – przyznałam.

– Ustalmy najpierw sprawy podstawowe: oczekuję od ciebie absolutnej szczerości – powiedziała Madge, patrząc na mnie zza ogromnego mahoniowego, politurowanego biurka zaścielonego papierami i zastawionego rodzinnymi zdjęciami w cienkich srebrnych ramkach.

– Oczywiście.

– To wcale nie jest takie oczywiste. Mówię poważnie. Jeśli wozisz w bagażniku trupa prostytutki, to muszę o tym wiedzieć.

– Nie dlatego przyszłam.

– To taka figura retoryczna, Becky. Wszyscy jakiegoś wozimy i jeśli masz odrobinę zdrowego rozsądku, to zatrzaśniesz ten bagażnik na amen i nie będziesz go otwierać przy innych. Ale w tym momencie nie jestem twoją siostrą, tylko twoim prawnikiem. A przy doradcy prawnym trupy wyciąga się z szafy. Chwytasz?

– Madge...

– Bo jeśli nie wiem o tym, że masz trupa prostytutki w bagażniku, to nie będę w stanie ci w tej sprawie pomóc. Czy to jasne?

– Tak.

– A zatem czego się napijesz? Kawy?

– Bardzo proszę.

– Saro Beth! – zawołała Madge. – Kawa! Wiesz co, powiem ci bez

ogródek: bardzo chciałabym przeprowadzić rozwód Sorensonów – wyznała Madge. – Nawet nie wiem, którą stronę wolałabym reprezentować... To by była zabawa! Publiczne pranie brudów, ciąганie świadków po sądach, wywlekanie zaszłości... – Madge odchyliła się na krześle i zapatrzyła w sufit wykładany płytami azbestowymi. – Powiedz mi, żeby nie brał żadnej wielkiej kancelarii z miasta. To byłby kosztowny błąd. Takie sprawy lepiej rozwiązywać na miejscu.

– Nie sądzę, żeby się mieli rozwodzić.

– Ha! No może masz rację. – Skrzyżowała palce na szczęście. – Ale zawsze można mieć nadzieję.

Weszła Sara Beth z żółtą tacą i dwoma pasującymi do niej fajansowymi kubkami.

– Dzięki, skarbie – powiedziała Madge. Kiedy Sara Beth zamknęła za sobą drzwi, Madge powiedziała: – No to zgaduję, że biuro prokuratora okręgowego chce wycofać oskarżenie, a ty chcesz uprzędzić ich ruch.

– Zarzuty... Ale dlaczego mieliby to zrobić?

Madge wzruszyła ramionami.

– Bo zastrzeliłaś zwierzę na terenie rezerwatu.

– Nie zastrzeliłam go.

– To dobrze. Będzie nam łatwiej wygrać tę sprawę.

– Nie ma żadnej sprawy, Madge. To był wyłącznie pożałowania godny wypadek.

– Ty tak twierdzisz i ja ci wierzę, bo jesteś moją siostrą i cię kocham. Ale masz taką minę... Zawsze miałaś. Będziemy musiały nad tym popracować przed rozprawą pod kątem ławy przysięgłych. Mam znakomitą trenerkę, która przygotowuje do przekonującego wyrażania żalu, pracuje w Des Moines. Możemy ją tutaj ściągnąć samolotem, ale to kosztuje. Więc tym lepiej, że nie wniesiono jeszcze oskarżenia.

Gapiałam się na swoją siostrę znad brzegu kubka i po raz kolejny zastanawiałam się, czy przyjscie tutaj nie było koszmarnym błędem. W końcu klienci Madge rekrutowali się głównie spośród kryminalistów: grupy

społecznej znanej ze słabej kontroli popędów i wadliwego procesu podejmowania decyzji.

– Kevin zapłacił grzywnę. Załagodiliśmy spór ze służbą parkową.

– To o co w takim razie chodzi? Martwe prostytutki, Rebecca. No dawaj. Wyłóż je na stół – powiedziała Madge, klepiąc w blat.

– Chodzi o zbiórkę żywności w szkole – wyznałam. – Nikt nie bierze w niej udziału. Miałam nadzieję, że może dasz mi jakąś radę. Jak udało ci się przekonać do niej innych, kiedy sama ją prowadziłaś?

– Zbiórka żywności... Jako twój doradca prawny zmuszona jestem ci ją odradzać. Potwornie upierdliwe zajęcie. Potwornie. Sprawdź, czy nie mogłabyś tego zwalić na kogoś innego. Ja bym tak zrobiła.

– Za późno, żeby się wymigać. Chyba dałam już... hm, szkolnej administracji do zrozumienia, że zbiórka trwa.

– Calvin Chester. Miałam nadzieję, że o nim wspomnisz. Niezła historia. Chyba jeszcze lepsza niż ten jeleni.

– O tym też już wiesz?

– Jasne. Przez cały weekend nie rozmawiałam dosłownie o niczym innym. Ale nie oceniam. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, daj spokój. Piątkowy wieczór w pluralistycznej demokracji zachodniej z załamującymi się normami społecznymi i piwem za dwa dolce? Przecież takie rzeczy muszą się zdarzać.

– Pewnie tak. – Wzruszyłam ramionami.

– Szczerze, to cię podziwiam. Twój... hart ducha. Ten koleś? Po prostu nie dałabym rady. Już same te jego muchy pod szyją. Założę się, że uwielbia spać na łyżeczkę.

– Och... – Zawahałam się, niepewna, czy mam odpowiedzieć na to pytanie.

– Rozumiem. – Madge pokiwała głową. – Biedactwo.

– W gruncie rzeczy tu nie chodzi o Calvina. Chcę to zrobić dla Mitchella. Kevin Holts poddał go praniu mózgu. Mitchell nabrał przekonania, że dobroczynność jest z gruntu złym pomysłem. Krzyczy na bezdomnych, Madge.

– Chryste – powiedziała Madge. – Niektórzy są groźni.



– Musimy mu pokazać, że współczucie nie jest tylko dla życiowych nieudaczników.

– I współczuć nieudacznikom. Jasne, że tak – westchnęła Madge. – Zrobię to. Ale powinnaś porozmawiać z Holtsem. To niedopuszczalne.

– Nie przepadamy za sobą.

– Nigdy nie przepadaliście. Chociaż przez moment sądziłam, że... No wiesz, kto się czubi, ten się lubi. Trochę jak w *Dumie i uprzedzeniu*, nie? Ale rozumiem, że w tej chwili to po prostu zwykła obustronna pogarda, mam rację?

Odchrząknęłam.

– No więc Calvin chciałby pobić rekord pięciu tysięcy puszek.

Madge zagwizdała.

– Kurwa. Pięć tysięcy.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Może zaczniemy od tego, że wykonam kilka telefonów – powiedziała Madge. – Jeszcze kawy?

– Nie, dzięki.

– Dobra, to będziemy w kontakcie.

– I to wszystko?

– Jutro rano mam mowę końcową w Nee County. Ale nie martw się. To jest mój priorytet numer dwa.

Siedziałam przy biurku i przeglądałam ostateczny szkic wykładu doktora Thada na konferencję na temat płodności, podczas której miał omówić nasze ostatnie osiągnięcia w dziedzinie przechowywania blastocyst, co niechybnie wzbudzi uznanie zgromadzonych, kiedy uświadomiłam sobie obecność stojącej w drzwiach osoby.

– Gdzie jest Thad? – zapytał ten ktoś z koszmarnym prowincjonalnym akcentem. Natychmiast rozpoznałam Ninę Flyte. Jakimś cudem udało się jej pokonać korytarz prowadzący do mojego gabinetu, do którego normalnie pacjenci nie mają wstępu. Uśmiechnęłam się do niej, jakby wcale nie była kłopotliwym intruzem. Dzieci budowały na swoich monochromatycznych podwórkach największe bałwany tej zimy, ale z powodu perfidii Reyne’a „Jacuzzi” Reynoldsa Nina była równie daleka od zostania matką jak latem. Jeśli więc sprawiała wrażenie roztrzęsionej i rozgorączkowanej, to w moim odczuciu miała do tego pełne prawo. Już formułowałam jakąś uprzejmą odpowiedź, kiedy nagle do mnie dotarło. Thad.

– Gdzie jest Thad? – powtórzyłam ze zgrozą.

– Muszę z nim porozmawiać, to pilne, a on nie odbiera telefonu – powiedziała Nina.

W całej tej sytuacji nie miało w gruncie rzeczy znaczenia, że wymawia jego imię ze skróconą samogłoską i w sposób tak ohydnie nosowy, że trudno było w to uwierzyć, dopóki się tego nie usłyszało. Każdym z nas kierują siły, nad którymi nie panujemy, i nie sposób było winić Niny za zniekształcenie samogłoski właściwe dla miast północnych. Tyle że trudno było sobie wyobrazić, jak ktokolwiek może znosić regularne rozmowy z nią, zwłaszcza w sprawach sercowych, a konkretniej: jak doktor Thad może je znosić, bo

właśnie wtedy uprzytomniłam sobie, że scenariusz numer trzy – rozchwiana, ciemnowłosa pacjentka – właśnie wszedł do mojego gabinetu.

– Czy mogłabyś na chwilę usiąść, Nino? Zamknij drzwi, proszę. Nino, wiem, że przechodzisz trudny okres... – zaczęłam niezbyt głośno. Nina była atrakcyjną, szukającą zrozumienia brunetką, ale nigdy poważnie nie brałam jej pod uwagę. Zakładałam, że mężczyzny tak inteligentnego jak doktor Thad nie zafascynuje wariatka obnosząca kryształowe talizmany i aplikująca sobie lewatywę z soku z buraka. Nie doceniłam jej, ale miałam stuprocentową pewność, że mogę zakończyć tę sprawę tu i teraz, o ile tylko obie zachowamy dyskrecję i nie będziemy podnosić głosu. Wówczas sytuacja doktora Thada zostanie przynajmniej w pewnym stopniu opanowana, a ja zdołam ocalić jego reputację, małżeństwo i przedsiębiorstwo. Nasze przedsiębiorstwo.

– Przeszłam piekło – powiedziała Nina zbyt głośno. Jeśli Maryellen była w pobliżu, z pewnością to usłyszała, co zapewne tylko podsyciło jej ciekawość. Będzie oczekiwała wyjaśnień. Na krótką chwilę zatopiłam się w marzeniach o uspieniu Niny chloroformem i wywleczeniu jej bezwładnego ciała tylnymi drzwiami, zanim zdąży nas podsłuchać rozplotkowany personel. Nie to, oczywiście, żebym była zdolna do zrobienia czegoś takiego. Pomijając wątpliwe aspekty moralne i prawne takiego manewru, lista nieprzewidzianych skutków realizacji tak ryzykownego planu byłaby bardzo długa.

– Tak, przeszłaś piekło – wymówiłam bardzo łagodnie i cicho, mając nadzieję, że pojmie sugestię i ściszy głos. – I rozumiem, że spędzając tak wiele czasu w towarzystwie mężczyzny tak charyzmatycznego i utalentowanego jak doktor Thad, można... się zagubić.

– Och, czyżby? – zapytała Nina, unosząc brwi.

– Ale jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Doktor Thad jest bezpłodny.

Chociaż chciałam wierzyć, że wszystkimi naszymi pacjentkami ze scenariusza numer trzy kieruje zwykła staromodna żądza, w grę wchodziła również oszczędność. Gamety wysokiej jakości są kosztowne i nie pierwszy raz zdesperowana kobieta próbowała zaoszczędzić kilka tysięcy dolarów kosztem uczuć doktora Thada. Teraz powinna wybuchnąć łzami, wyrazić żal i dać upust nienawiści do samej siebie, ale ona tylko spojrzała na mnie

chłodno.

– Nie jest bezpłodny.

Nie próbowała się wyprzeć swojego romansu ani za niego przeproszać, co było absolutnie pierwszym tego rodzaju wypadkiem w historii pacjentek z folderu \*&\*.

– Nino, jest.

– Miał wazektomię. To nie to samo.

– Powiedział ci o tym?

To była sytuacja bez precedensu. Zupełnie zbiła mnie z tropu. Fakt, że doktor Thad zdecydował się na takie wyznanie, nie był bez znaczenia. Nawet ja, która cieszyłam się jego zaufaniem, dowiedziałam się o tym pośrednio. Poczułam pierwsze symptomy rodzącej się paniki. Odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić.

– Nie od razu. Ale wyciągnęłam to z niego. Niczego bardziej w życiu nie żałuje. Ale Angie nie chciała kolejnego dziecka. Ta kobieta jest potworem.

Podzielałam jej opinię, ale uznałam, że jej wyartykułowanie byłoby niełojalnością w stosunku do doktora Thada, więc tego nie zrobiłam.

– Chodzi o to, Nino, że ten związek nie ma szans. Chcesz mieć dziecko. Zasługujesz na dziecko. I będziesz cudowną matką – mówiłam z przekonaniem, bo bezwzględne spiskowanie w interesie własnej latorośli jest cechą przynajmniej równie macierzyńską jak zwykle karmienie jej i wychowywanie, a Nina była najwyraźniej zawodowcem. – Pomyśl o malutkich różowych paluszkach i bezzębnych uśmiechach. Nie przekreślaj swoich szans.

– Ależ nie przekreślałam.

Zaskoczyła mnie pewność, z jaką to powiedziała. Moje oko powędrowało bezwiednie w kierunku biurkowego kalendarza, gdzie trzy wielkie ikсы szpeciły kartkę miesiąca jak etykieta na butelce wyrafinowanej trucizny. (Oznaczenie to zarezerwowałam na dni nieobecności doktora Thada). Wybierał się do Omahy na doroczne spotkanie miejscowych absolwentów Harwardzkiego Towarzystwa Śpiewaczego. Czasem zastanawiałam się, czy ten męski kwartet wokalny nie jest tylko taktowną fikcją; zapewne

prawdopodobniejsze było produkowanie się doktora Thada w zakazanym duecie. Ale oczywiście ukończyłam uniwersytet stanowy i nie byłam obeznana ze wszystkimi uroczymi i oryginalnymi zwyczajami Ligi Bluszczowej. Blask bijący z oczu Niny rzucił jeszcze bardziej złowrogie światło na całą tę podróż.

– Jego tak naprawdę dość przerażają wszelkiego rodzaju zabiegi medyczne – powiedziałam. Tuż za granicami miasta Omaha stoją billboardy obiecujące prawie bezbolesne zabiegi rewazektomii zapoczątkowane przez doktora Keitha Richardsa, który fatalnym zbiegiem okoliczności (jak się w tej chwili wydawało) był bliskim przyjacielem doktora Thada z czasów studiów na Harvardzie, używającym Towarzystwu Śpiewaczemu swojego piskliwego tenoru. – Zawsze się to wiąże z określonym ryzykiem. – Dosłownie błagałam ją, żeby to wszystko odwołała, jakby to mogło cokolwiek pomóc.

– On chce mieć dziecko. Ja też chcę mieć dziecko – stwierdziła Nina z irytującą prostotą, jakby w życiu każdy mógł dostać to, czego chce.

– Nino, doktor Thad miał wazektomię nie bez powodu. Miał w rodzinie przypadki psychoz o gwałtownym przebiegu.

– Myślę, że kłamiesz – odparła Nina. – Jest jedną z najcudowniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałam. Ma piękną aurę.

– Powinnaś mu to powiedzieć.

Wobec takich bzdur komuś tak inteligentnemu jak doktor Thad łuski musiały spaść z oczu.

– Powiedziałam mu o tym. Pierwszej nocy. – Uśmiechnęła się, a mnie aż zemdliło. Bolesne było samo wyobrażenie sobie, jak jakaś nienaturalnie elastyczna maniaczka homeopatii odczytuje aurę doktora Thada.

– Mówimy o mężczyźnie, który ma zaledwie metr sześćdziesiąt siedem wzrostu!

– Prawie metr siedemdziesiąt. I jest genialny – zawyrokowała Nina, jakby potrafiła naprawdę pojąć rozmiar uzdolnień doktora Thada. Czego nie potrafiła.

– Rzy jak koń – skontrowałam.

– A nie uważasz, że po prostu dźwięcznie się śmieje?

– Nie uważam – skłamałam. – Rzy. Nino, nie chciałabyś tego dla swojego dziecka. A doktor Thad, niezależnie od tego, co mógł ci mówić pod wpływem louisa roederera, nie chce tak naprawdę połączyć swojego genetycznego przeznaczenia z twoim.

Nina wzdrygnęła się na ten niewielki szczegół: nazwę szampana. To było coś, co osoba, której doktor Thad zwierzył się ze swoich przemyśleń, mogłaby wiedzieć.

– Czy Thad cię poprosił, żebyś mi to przekazała?

Wypuściłam powietrze i przełożyłam dokumenty z jednej ręki do drugiej, jakbym ważyła słowa.

– Nie po raz pierwszy odbywam tego rodzaju rozmowę, Nino. Można prawie powiedzieć, że należy to do moich obowiązków.

Z zadowoleniem stwierdziłam, że to ją zraniło. Wszystkie sądzą, że są dla niego wyjątkowe, a on po prostu ma taki sposób bycia. Nie zdaje sobie z tego sprawy. Przesunęłam w jej stronę pudełko chusteczek, ale była twardsza, niż sugerowałby to jej średniowieczny światopogląd, i jej oczy pozostały suche.

– Jesteś zazdrosna.

To była uwaga nie na miejscu, ale zważywszy na okoliczności, nie drążyłam tematu.

– Nie chciałabym po prostu patrzeć beczynnym, jak znów zostaniesz skrzywdzona – odrzekłam. – Albo doktor Thad. No i należałoby też pomyśleć o Reynie.

Nina przewróciła oczami, co uznałam za nieodpowiadające powadze naszej rozmowy.

– Słuchaj, Becky – powiedziała, podnosząc się z krzesła. – Będziesz musiała zaakceptować fakt, że w życiu Thada jest teraz inna kobieta i to nie jesteś ty.

– Zawsze jest – mruknęłam do pleców jej płaszcza, ale na tyle cicho, że mogła nie usłyszeć. Kiedy już poszła, odchyliłam się do tyłu na krześle i zaczęłam obgryzać gumkę ołówka, co było fatalnym nawykiem objawiającym się w chwilach stresu.

Nie musiałam zbyt długo nad tym rozmyślać. Jeśli doktor Thad zaufał Ninie Flyte i obiecał jej więcej niż którejkolwiek z poprzednich kobiet, to po prostu będzie tego bardziej i szybciej żałował. Teraz chodziło o to, żeby dopilnować, by pod wpływem tego przejściowego zauroczenia nie zostały podjęte (czy raczej: cofnięte) żadne decyzje. Szybko przeszukałam internet pod kątem „komplikacji po zabiegu rewazektomii” i wybrałam trzy najbardziej przerażające. Przekleiłam je do e-maila zatytułowanego „Do Pana wiadomości” i wysłałam do doktora Thada. Dźwięk wysyłanej poczty przywrócił mi spokój. O ile znałam doktora Thada – a wiedziałam, że znam go równie dobrze jak samą siebie – Nina będzie sobie musiała znaleźć innego dawcę.

– Becky, moje życie osobiste jest.. – Doktor Thad urwał, szukając właściwego sformułowania. Tego dnia zaplanowany był jego wyjazd do Omahy i z nadmiaru ostrożności opuściłam z piskiem opon poranną kolejkę samochodów wyrzucających dzieci pod szkołą, pośpiesznie pomachałam Mitchellowi i bocznymi drogami skierowałam się w stronę rezydencji doktora Thada.

Ukradkowe kontrolowanie go w ten sposób wydawało się haniebnie, ale musiałam sprawdzić, czy jego plan podróży nadal obejmuje Ninę Flyte i nierozważne udrożnienie nasieniowodów. Blade światło przesączało się zza zasłon jego sypialni, wewnętrznego sanktuarium doktorowatości Thadowatości. Zaparkowałam samochód po drugiej stronie ulicy i zgasiałam silnik, po czym wbiłam wzrok w okno pokoju, w którym pan doktor i pani doktorowa dopiero się budzili. Przez chwilę to ja czułam się jak ktoś, kto zachowuje się nieprofesjonalnie.

– Przekroczyłaś granice, Rebecco – powiedziałam głośno, obserwując obłoczki pary ulatujące z moich ust. Niewiele brakowało, żebym odjechała.

Ale dobrze, że nie odjechałam, bo zaledwie osiem minut później zaskoczyłam go, kiedy pakował do bagażnika walizkę. Obok niej, wrzucony jakby w ostatniej chwili, leżał słomkowy kapelusz z otokiem z niebieskiej wstążki. Doktor Thad wypuścił chłodne powietrze przez swoje wąskie

nozdrza i zaczął jeszcze raz:

– Moje życie osobiste jest...

– Kompletnym chaosem? – podsunęłam. Zmarszczył brwi, jakby nie do końca o to mu chodziło. – Popłuczynami po najgorszym francuskim kinie?

– ...moją prywatną sprawą – dokończył doktor Thad. Było ciemno i przenikliwie zimno. Chociaż jak zwykle miał na sobie wełniany sweter i szalik, wiedziałam, że w chłodzie wczesnego poranka marznie jeszcze bardziej niż ja, ale nie zaprosił mnie do kontynuowania dyskusji w swoim samochodzie wyposażonym w ogrzewane siedzenia. Zerknęłam na skórzany fotel pasażera, który – o ile nie uda mi się przemówić mu do rozsądku – zajmą wkrótce opalone pośladki Niny.

– Panie doktorze, to są Stany Zjednoczone.

Był niemal po europejsku wytworny, i chociaż można by sobie życzyć, by ludzie ze Środkowego Zachodu byli tak obyci w świecie, żeby uznać jego wyrafinowane romanse za niewarte zainteresowania czy wspomnienia, nadzieja ta byłaby bezpodstawna. Tylko mój talent do zachowywania jego wyskoków w tajemnicy oszczędził mu na razie publicznej hańby.

– Mało mnie to obchodzi, Becky. Moje życie osobiste nie ma żadnego wpływu na jakość mojej pracy. Naprawdę durne są twoje sugestie, że to, co się dzieje pomiędzy mną a pewną bardzo wyjątkową damą – powiedział, zniżając głos – ma cokolwiek wspólnego z moją reputacją lekarza.

– Proszę pomyśleć o systemie metrycznym – odparłam, otulając jego dłonie w rękawiczkach swoimi gołymi dłońmi. – Generalnie rzecz biorąc, ten system jest lepszy, prawda? Klarowny, logiczny, wykorzystywany na całym świecie. Ale proszę przejść się do Starego Chejena i spróbować zamówić piwo w mililitrach, a dostanie pan... nawet pan, panie doktorze!, po prostu w łąb. Bo... Nie rozumie pan tego? To są Stany i nie możemy zrobić nic, by to zmienić.

– Jasna cholera, Becky – powiedział doktor Thad, cofając dłonie. – Masz palce jak z lodu.

Sięgnął do klamki samochodu.



– Nie może pan tego zrobić – stwierdziłam, mając na myśli rewazektomię, której ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. – Ryzykowanie kariery to jedno, ale nie może pan ryzykować swoich...

– Moich czego? – zapytał. Otworzył drzwiczki.

Chryste Panie, zacięłam się. Stałam na podjeździe i gapiłam się na niego.

– Becky, ta rozmowa jest skończona.

– Zakazanie. Krwiak. – Siedział już na siedzeniu kierowcy. – Gorączka. – Potrząsnął głową. – Ból moszny! – Chciałam paść na kolana i błagać go, żeby tego nie robił, ale wiedziałam, że by tego nie uszanował. Zatrzęsął drzwiami za sobą. – Impotencja! – wrzasnęłam, kiedy wyjechał z wizgiem z podjazdu, wzbijając fontanny żwiru i zostawiając po sobie chmurę kurzu.

– Rzeczywiście znasz tu wszystkie kąty – powiedziałam do Madge, która prowadziła swojego chryslera lebarona krętymi, wyboistymi ulicami Nee. Ward pokrywała regularna siatka ulic, litery biegły ze wschodu na zachód, liczby z północy na południe. Choćby człowiek chciał, nie sposób było się zgubić. Ale miasto Nee przyjęło swobodniejsze podejście do planowania układu urbanistycznego. Legenda głosiła, że założyciele miasta ustalili przebieg ulic nad dzbanem gorzałki, strzelając na oślep w powietrze i śledząc tor lotu pocisków.

– No cóż, często tu bywam.

Jechałyśmy Ed Barrelhouse Memorial Parkway, mijając lombardy i rodzinne restauracje. Nie byłam do końca pewna, dlaczego Nee jest „kluczem do wszystkiego”, jak upierała się Madge. Założyłabym się o wiele, że jeśli Nee kiedykolwiek miało jakiś klucz, to już kilka dziesięcioleci wcześniej zastawiło go za forszę na piwko.

Normalnie nie zawracałabym sobie głowy wybieraniem się z jakiegokolwiek powodu do Nee, a już na pewno nie szukałabym tam żadnych odpowiedzi. Rozwiązywanie problemów nie było jednym z naturalnych zasobów Nee, o ile nie miało się tego rodzaju problemu, jaki można rozwiązać zatrudnieniem niedrogo płaconego zabójcy.

Ale Madge wykorzystała moją chwilę słabości. Zgodziłam się pojechać, nie zwracając jej uwagi na obłąkaną daremność tego planu, a teraz bez oporu dawałam się wieźć, oparłszy głowę na gładkiej czerwonej skórze lebarona, bo właśnie kompletnie wyczyściłam sobie konto oszczędnościowe, żeby zapłacić recepcjonistce i Maryellen, i nie miałam ochoty zastanawiać się nad tym, co się zdarzy w przyszłym tygodniu.

– A jak ci poszło na rozprawie?

To było odrobinę nieuczciwe. Słyszałam już Reyne’a Reynoldsa obwieszczającego werdykt ławy w Channel 8, w relacji na żywo spod budynku sądu hrabstwa Nee. W ocenie sędziów obrona po linii psotnego chochlika nie trzymała się kupy, ale Madge rzadko zdarzała się mniej kapryśna klientka. Podsądna była po prostu mało wiarygodna jako kobieta, której zabawne figle mogłyby przypadkowo spowodować śmierć człowieka. Madge i tak osiągnęła więcej, niż udałoby się komukolwiek innemu.

Teraz zmarszczyła brwi.

– Wydali wyrok skazujący.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Nie należy zabijać swojego menedżera w biały dzień w samym środku zatłoczonej pizzerii. To zwykła likwidacja. Nawet w Nee nie sprawia to wrażenia wypadku.

– Jak można przypadkowo oddać taki strzał, obsługując jednocześnie stoliki? – Reyne i partnerująca mu prezenterka, Selma Cortez, odegrali scenę w pizzerii podczas wiadomości o dziesiątej, wykorzystując balon z wodą w celu zademonstrowania trajektorii pocisku. To był nie lada strzał.

– Miałam biegłego z zakresu balistyki, gotowego zeznawać, że jest to absolutnie możliwe, ale podczas przesłuchania moja klientka przyznała, że poszła do samochodu po broń tuż przed tym, zanim przypadkowo zastrzeliła z niej swoją ofiarę. Nigdy mi o tym nie wspomniała. Chryste, z kimś takim nie da się pracować.

Za oknami przesuwwały się domy Nee razem ze swoimi walącymi się werandami. Nee znajduje się na szczycie uskoku tektonicznego Chisholma-Hawkesa i stawiane tutaj konstrukcje są podatne na pęknięcie i osiadanie. Mieszkańcy Ward często żartują, że pewnego dnia ziemia się rozstąpi i pochłonie całe miasto. „I dobrze” – brzmi puenta.

– Dlaczego to zrobiła? – zapytałam, znów trochę nieszczerze. Nie byłam już jedną ze zwykłych, przestrzegających prawa obywaterek, które czytają tego rodzaju historie nad poranną miską płatków, zachodząc w głowę, dlaczego

ktoś miałby tak po prostu zastrzelić swojego szefa. Tego ranka bez problemu mogłam to sobie wyobrazić.

– Dlaczego? – Madge zrobiła gest, który wydawał się sugerować, że nie ma większej tajemnicy niż ludzki umysł, tajemnicy, której nawet ów umysł nie jest w stanie rozwiązać, i że pytanie o to, dlaczego ktoś coś zrobił, jest zakładaniem, że mamy dostęp do tego rodzaju wiedzy, która jest nam niedostępna. Zamierzałam właśnie wyrazić swój sprzeciw wobec takiego oglądu sprawy, ale Madge powiedziała: – Chciał, żeby przepracowała dwie zmiany.

– Wow.

– Wiesz, ona ma małe dzieci. Nie może tak po prostu zostać na kolejną zmianę bez uprzedzenia. Musiała też wziąć pod uwagę pieniądze, jakie dostają z opieki społecznej.

– Pewnie tak. A teraz pójdzie do więzienia.

– Na osiemnaście miesięcy. Mogło być gorzej.

– Osiemnaście miesięcy za morderstwo? Madge, jesteś niesamowita. – Byłam bardzo zadowolona, że mam Madge po swojej stronie. Gdyby udało jej się okiełznać system naszej szkoły w taki sam sposób, w jaki okiełznała system sprawiedliwości, pięć tysięcy puszek na zbiórkę żywności przestałoby wydawać się niemożliwe.

– Zaistniały poważne okoliczności łagodzące. Moja klientka cierpi na dorosłą postać ADHD. Ta choroba rujnuje ludziom życie.

Przejechałyśmy obok zaniedbanego parku. Pomnik Eda Barrelhouse'a, założyciela miasta, z rękami w kieszeniach, w skromnej marynarce lekko wydymającej się na plecach, co sugerowało zachodni wietrzyk, wbijał spojrzenie w rachityczne szczątki pordzewiałego wyposażenia placu zabaw.

– Mordowanie ludzi rujnuje życie. Nie do wiary, że ława składająca się z naszych rówieśników uznała zgodnie, że kiepska zdolność koncentracji jest dziś licencją na zabijanie.

– Moja klientka była cenionym członkiem społeczności, dopóki choroba nie wzięła nad nią góry.

– Nie była wcześniej karana?

– Tego nie powiedziałam. Chodzi o to, że musimy przestać stygmatyzować chorych i pomóc im uzyskać szerszy dostęp do leczenia. Dlatego noszę tę szarą wstążkę Fundacji ADHD u Dorosłych. To nadzieja na skuteczny lek. Powinnaś rozważyć wspieranie ich działań. Zwłaszcza w tych zimowych miesiącach. O tej porze roku ludzie nie powinni być zmuszeni tak cierpieć.

– Nie zamierzam przekazywać darowizn na próby powstrzymania ludzi od zajmowania się szeregiem spraw jednocześnie i zmiany nachylenia osi obrotu Ziemi. Z tym po prostu nic się nie da zrobić.

– To samo mówiono na temat ospy, Rebecca. No dobra, tutaj wysiadamy. Zostawmy ten defetystyczny stosunek do życia pod drzwiami, dobrze?

Zatrzymałyśmy się przy najwyraźniej opuszczonym Dross-Marcie, konkretnie w strefie załadunkowej na zapleczu. Na końcu języka miałam już kilka zastrzeżeń, ale stłumiłam je, nie chcąc, by po raz drugi nazwano mnie defetystką.

– To jest nasz człowiek. Kilkakrotnie wyratował mnie ze szkolnych opresji. Pozwól, że ja będę mówić – powiedziała Madge. Pchnęłam drzwi lebarona i wysiadłam prosto w lodowatą kałużę, topiąc swój obszywany futerkiem crocs w mętnej zawartości koleiny hrabstwa Nee. Obcasy Madge stukały już po chodniku, kiedy szła w stronę czekającej na nas ubranej na niebiesko postaci, więc poszłam za nią, chlupocząc wodą w bucie. Wyglądało na to, że trochę już za późno na wyrażanie wątpliwości.

Nasz człowiek ubrany był swobodnie, lecz elegancko, i miał spiczastą blond bródkę. Roztaczał wokół siebie mało krzepiącą aurę nonszalanckiej przestępczości. Osiemnastokółowa ciężarówka z wymalowanym logo stała przy rampie rozładunkowej, a przez otwarte tylne drzwi widać było stosy drewnianych skrzynek.

– Nazywam się Rebecca – powiedziałam, wyciągając rękę.

– Żadnych imion – zastrzegła Madge. – To nie jest spotkanie towarzyskie.

– Chase – powiedział nasz człowiek, nie potrząsając ręką, którą do niego

wyciągnęłam, ale ściskając ją obiema dłońmi. Nie byłam pewna, co ma oznaczać ten gest, ale wydawało się, że lepiej będzie go odwzajemnić, więc to zrobiłam. – Jestem tutaj menedżerem – powiedział Chase, jakby Dross-Mart nie był zabity na głucho deskami. Mimowolnie pomyślałam, że wizyta u Chase’a byłaby wartościową wycieczką dla klasy, która może zrozumiałaby dzięki temu powiedzenie o książce i okładce. Chase wyglądał jak lider gangu motocyklowego, a tymczasem najwyraźniej pracował w branży detalicznej.

– A więc wpakowałyście się w zbiórkę żywności?

– Owszem – przyznałam.

– Kurde – powiedział Chase. – Ciężka sprawa.

– Mogło być gorzej. Mogłyśmy się umoczyć w sprzedaż wypieków – powiedziała Madge.

Chase splunął na asfalt.

– Oto moja propozycja. Mam sto sześćdziesiąt osiem skrzynek, wartość rynkowa trzy tysie, sprzedam wam za półtora.

– Popatrzmy – powiedziała Madge. Chase podważył wieko drewnianej skrzynki.

– Jak widzicie, skrzynka jest napakowana do pełna. Gwarantuję, że nie będzie za mało. Oczywiście, możecie przeliczyć.

– Oczywiście, że przeliczymy.

– Mam nieskazitelną reputację.

– Ufam i kontroluję, to moja dewiza.

Podniosłam puszkę owiniętą nieznaną mi lawendową etykietą. Wokół niej biegł napis w języku, jak mi się wydawało, chińskim.

– Co to jest? – zapytałam.

– Liczi – powiedziała Madge. – Taki owoc.

– Bardzo smaczny – dodał Chase.

– We wszystkich puszkach jest liczi? – zdumiałam się.

– Mogą się trafić grzyby słomiane w zalewie – powiedział Chase.

– Nie wyda się podejrzane, że większość „przekazanych” przez nas puszek

to liczi? Jakie są szanse na taki przypadek? Calvin nie da się na to nabrać.

– Przymknij oko, jeśli naprawdę chce wygrać – powiedziała Madge.

– Może. Co jeszcze masz na składzie? – zapytałam Chase’a. Głaskał się po bródce i dostrzegłam na jego nadgarstku szarą opaskę symbolizującą świadomość jakiejś kwestii społecznej.

– Matki z rady rodziców szkoły podstawowej Windlowa wyczyściły już do zera zapasy groszku i kukurydzy. Późno wchodzimy do gry, Rebecca. Liczi albo nici – powiedziała Madge.

– Spójrz na datę przydatności do spożycia na wieczku. Te konserwy już się nie nadają do jedzenia – zaproponowałam.

– Pamiętaj, że to według kalendarza chińskiego. To kalendarz księżycowy. – Chase z upodobaniem odgrywał rolę eksperta od wszystkiego, co w długofalowej relacji biznesowej byłoby ciężkie do zniesienia. Już żałowałam tego podwójnego uścisku dłoni.

– Wygląda na to, że ta przeterminowała się już dwa lata temu według kalendarza zachodniego.

– Spokojnie – wtrąciła Madge. – Zachowajmy spokój.

– Windlow kupiła dwieście z tej samej partii. I dla Windlow były wystarczająco dobre – powiedział Chase.

Szkoła podstawowa Windlowa ma nowoczesne budynki i wyposażenie. Jej uczniowie malują obrazy i grają na instrumentach, pobierając prywatne lekcje. Mają dostęp do sprawnych toalet i zajęć w laboratoriach pozwalających na przeprowadzanie eksperymentów. Zazwyczaj staram się udawać, że Windlow w ogóle nie istnieje, ale teraz Chase rzucił mi ją w twarz.

– To bardzo ciekawe, że to właśnie Windlow postanowiła nakarmić głodnych przeterminowanymi puszkami z czarnego rynku. Co za policzek. Zastanawiam się, co z taką historią zrobiłby Reyne Reynolds. – Przynajmniej raz w roku Reyne przestawał nagrywać programy o rozkosznych zwierzątkach domowych i kręcił coś mocniejszego, „uchylając rąbka tajemnicy tej strony Ward, której możecie nie mieć ochoty oglądać”, jak to ujmował. – To wszystko jest kradzione, prawda? – zapytałam.

– Powiedziałaś, że ona jest w porządku – poskarżył się Chase. Jego przestępcza aura wydawała się mniej nonszalancka, jakby przekręcił wewnętrzną moralną dźwignię z pozycji OFF na ON.

– Bo jest – powiedziała Madge, kładąc uspokajająco wymanikiowaną dłoń na ramieniu Chase’a. Odwróciła się do mnie. – Rebecca, nie zastanawiamy się nad pochodzeniem tych puszek. Zastanawiamy się nad rozwiązaniem kwestii głodu. Nie możesz z pełnym brzuchem siedzieć w swojej wieży z kości słoniowej i wygłaszać napuszonych, umoralniających pogadanek. Jeśli naprawdę chcesz coś zmienić, musisz ubrudzić sobie ręce. Jak ONZ.

– Zapomnij. Nie ma mowy.

Odwróciłam się do lebarona.

– A więc zostawiasz mnie?! – krzyknął Chase do moich pleców.

– Zostawiam! – odkrzyknęłam, nie odwracając się.

– Mnie nikt nie zostawia – powiedział Chase, ale usłyszałam za sobą postukiwanie obcasów Madge, więc jego teza wydawała się mocno naciągana.

Przez dłuższą chwilę Madge i ja siedziałyśmy w lebaronie w niezręcznej, dławiącej ciszy.

– Madge, nie ma mowy, żebym kupiła to przeterminowane liczi.

– Nazwałabym to hipokryzją – powiedziała. – Ile setek ludzi zostawiłaś na lodzie... Ich data przydatności cię nie martwi?

– Nie – odpowiedziałam, przewracając oczami, bo przy założeniu nieprzerwanych dostaw prądu podtrzymujących pracę pomp azotowych embriony można przechowywać w nieskończoność. – Co ma piernik do wiatraka?

– W takiej sytuacji nie jestem pewna, czy potrafię ci pomóc.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– To kwestia finansów – wyznałam.

– Nie chcesz zapłacić tysiąca dolarów, żeby zrobić na złość Kevinowi Holtsowi?



– Nie mam pieniędzy.

Madge uniosła wysoko ciemne brwi. Ludzie uważają leczenie bezpłodności za bankomat współczesnej praktyki medycznej i zasadniczo mają rację. Ale tylko w tym tygodniu musieliśmy odwołać cztery konsultacje z doktorem Thadem. Trudno jest zarabiać pieniądze, jak się nie ma na podorędziu lekarza.

– Zbankrutowaliście?

– Nie, oczywiście, że nie. Niedługo ci oddam.

– To kiepski moment. Szczerze mówiąc, Barton & Theopolous trzymają mnie w szachu. Wszyscy pieniacze i nieudacznicy z miasta ustawiają się w kolejce nie do mnie, tylko do nich. Cholerni karierowicze.

– To przez te reklamy.

Barton & Theopolous niezmiernie nadawali wieczorne reklamy, określając się mianem „Podwójnych palców Boga”, podczas gdy dziewczyny z miejscowego zespołu tanecznego wywijają nogami w tle. Byli dość przekonujący.

Tyłna szyba samochodu Madge rozpadła się pod ciężarem puszki liczi ciśniętej przez Chase’a, który biegł teraz w naszą stronę, rzucając kolejnymi konserwami i wyrzaskując coś prawdopodobnie obraźliwego, choć przy zamkniętych oknach nie można było mieć pewności. Madge z piskiem opon wyjechała z parkingu i ruszyła w stronę Ward. Musiałam wygrać tę zbiórkę w tradycyjny sposób.

Doktor Thad wracał zwykle z Omahy sprężystym krokiem, ale tym razem oczekiwałam, że będzie kulał. Musiałam wiedzieć, czy krzywi się, siadając. Dał mi jasno do zrozumienia, że nie będziemy omawiać tej kwestii, więc musiałam wykazać się spostrzegawczością i wydedukować prawdę z poszlak. Doktor Thad miał niezwykle wysoki próg bólu, i chociaż zwykły pacjent skarżyłby się na tkliwość, opuchliznę i odrętwienie, było bardzo mało prawdopodobne, by doktor Thad zasygnalizował te objawy w jakikolwiek oczywisty sposób. Czujnie wypatrując jakichkolwiek oznak znoszonego ze stoickim spokojem bólu, weszłam do kuchenki, przyłapując go na napełnianiu torby lodem.

– Uderzył się pan w mały palec u nogi?

– Nie noszę sandałów, Becky – powiedział doktor Thad. – Myślę, że wiesz, co sędzę na ich temat.

Nawet na piaszczystych plażach Karaibów – w miejscu, w którym nigdy nie byliśmy razem, mimo że międzynarodowa konferencja na temat płodności odbywała się co dwa lata na Saint Kitts – człowiek nie miałby szansy natknąć się na doktora Thada włóczącego się boso albo w butach z odkrytymi palcami. Zdjęcia Angie nie pozostawiały co do tego wątpliwości.

– Co więcej, jeśli kiedykolwiek przyłapiesz mnie w sandałach, masz moją zgodę, by – nastroszył brwi i błysnął złowrogim spojrzeniem – zadać mi osobiste pytanie, na które odpowiedź w ogóle nie powinna cię obchodzić.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam chłodno.

Doktor Thad przyjrzał mi się bacznie.

– Ach, rozumiem – powiedział. – Wybacz mi, zapomniałem. Chcesz o tym porozmawiać? W razie potrzeby mogę nadstawić współczującego ucha.

– Porozmawiać o czym? – zapytałam.

– Taki obrałaś kurs? W porządku. Znasz mnie, nie wścibiam nosa w nie swoje sprawy. I nie damę wiary bezpodstawnym pogłoskom. Ani doniesieniom o wypadkach. Ani informacjom dostępnym publicznie. Wszystkie powyższe zupełnie mnie nie obchodzą. A teraz jeśli mogłabyś mi wybaczyć, zabiorę sobie ten okład z lodu do gabinetu... z dala od wścibskich spojrzeń.

Doktor Thad ruszył korytarzem i w chwili, w której skręcał za rogiem, dostrzegłam to – delikatne utykanie.

Małeńka filiżanka wyleciała mi z rąk i upadła z cichym stuknięciem na wykładzinę, rozpryskując na sztywnych włóknach aureolę kropelek espresso. Gdybym natychmiast rzuciła się do wycierania plamy mokrą ściereczką, być może udałoby się uniknąć przebarwień, ale nie widziałam sensu zadawania sobie trudu. Bo chociaż mogłam sobie robić nadzieje, że zabieg się nie powiodł, jak działo się to w około piętnastu procentach przypadków, czas było zmierzyć się z prawdą: w ciągu kilku tygodni doktor Thad zacznie produkować nasienie w okolicznościach zupełnie nieprofesjonalnych.

– Chcę, żebyście wiedzieli, chłopcy, że nie tak wychowałam wasze matki – powiedziała moja matka, przesuając swoją tacę po metalowych prowadnicach kafeterii Wylie’s, gdzie przygotowywaliśmy się do zjedzenia świątecznego obiadu. Rodzice przylecieli na Święto Dziękczynienia i byli zbulwersowani informacją, że nie zostanie im podany domowy posiłek. – Na farmie wasz dziadek przyniósłby świeżo ubitego indyka, a wasze matki pomogłyby mi go skubać. – To była absolutna prawda i właśnie przez to Madge i ja nabawiłyśmy się trwałego urazu do drobiu. – Tak pięknie nakrywałam stół – rozmarzyła się. – Roger, powiedz coś – zachnęła się, dźgając mojego ojca łokciem w żebra.

– Co roku naprawdę przepięknie nakrywała stół – stwierdził mój ojciec. Spiorunowałyśmy go z Madge wzrokiem, a on tylko wzruszył ramionami. Kiedyś potrafili się kłócić od świtu do nocy, ale na emeryturze ojciec nabrał zwyczaju natychmiastowego i bezwzględniego przytakiwania wszystkiemu, co matka mówiła. Teraz stanowili obraz szczęśliwego, długoletniego pożycia czy czegoś w tym rodzaju.

Chłopcy spojrzeli niepewnie na babcię. Nakrywała stół? Wrócili do nakładania sobie jedzenia na talerze, zastanawiając się, jak to rozumieć. Młodszy syn Madge, Aidan, był jeszcze za mały, żeby dosięgnąć bufetu, więc wskazywał potrawy na oślep, a ja nakładałam mu na talerz to, co akurat pokazał, chlapiąc sałatką buraczaną obok puddingu czekoladowego, a indyka serwując z galaretką owocową. W efekcie powstało coś, co opiece społecznej kazałoby założyć nam kartotekę, ale Aidan sprawiał wrażenie zadowolonego. Nawet jeśli ich źle wychowałyśmy, to i tak było za wcześnie, by to stwierdzić.

Wahałam się jeszcze między chlebem kukurydzianym a chlebowym nadzieniem do indyka, kiedy usłyszałam skowyt Mitchella. Stał na końcu

kolejki, przy kawałkach placka, a Viola Holts przejechała mu po stopie wózkiem, po czym w ramach przeprosin na niego nakrzyczała. Ktoś – prawdopodobnie opiekunowie, którzy wzięli sobie wolne, by spędzić popołudnie z własnymi rodzinami – ubrał ją stosownie do okazji. Siwe włosy miała natapirowane i polakierowane na sztywno jak piosenkarka country, a do pomarszczonej bluzki przypięto jej zrobioną z przędzy broszkę w kształcie indyka. Mitchell cofnął się o krok od jej wózka i sięgnął po kawałek placka z dyni. Viola Holts uniosła kościstą dłoń i uderzyła go złośliwie w ramię.

– Hej! – krzyknął Mitchell i osłupiały wybałuszył oczy. Viola położyła kawałek na własnej tacy i zaczęła odjeżdżać.

– W porządku? – zapytałam. Mitchell poczerwieniał tak mocno, że aż znikły mu piegi. Był zaskoczony i urażony.

– Dlaczego ta starsza pani mnie uderzyła? – dociekał, gapiąc się w stronę, w którą zmierzała Viola Holts ze skradzionym mu plackiem.

– Nie wie, co robi – powiedziałam, chociaż jej ruchy sprawiały wrażenie celowych i zamierzonych. – Prawdopodobnie cierpi na demencję. I chyba naprawdę nabrała ochoty na to ciasto.

– Miała sześć kawałków do wyboru! To było podłe.

To prawda. Sześć identycznych kawałków ciasta czekało tylko, aż ktoś je weźmie.

– To wariatka. Kompletnie szurnięta – oznajmiłam, pocieszająco otaczając Mitchella ramieniem.

– Szczęśliwego Święta Dziękczynienia! – zawołał Mitchell, zapominając o pretensjach do starszej pani, bo w naszą stronę szedł Kevin Holts. Pchał wózek inwalidzki Violi, która bezskutecznie próbowała go zatrzymać, pociągając za hamulec awaryjny.

– Szczęśliwego Święta Dziękczynienia, Mitchell. Rebecca. Szanowni państwo. Moja mama chciałaby państwu coś powiedzieć. No dalej, mamie – zachęcał Kevin. Starsza pani zacisnęła usta, a oczy jej zapłonęły.

– Prawdę mówiąc, mama rzadko się ostatnio odzywa, ale wiem, że chciałaby, żebym w jej imieniu powiedział, jak jej przykro. Ona... uhm, nie

jest sobą. I pragnęłaby, żeby Mitchell wziął ten kawałek ciasta.

– Nic się nie stało, proszę pana – rzekł Mitchell. – Już sobie wziąłem drugi...

Ale skarcona stara kobieta wyciągała już talerz z ciastem w stronę Mitchella.

– Weź to – wyszeptałam.

Mitchell sięgnął po talerzyk. Kiedy dotknął dłonią brzegu, Viola rzuciła się do przodu na swoim wózku i splunęła wprost na ubitą polewę.

– Jezu, mamó. Co się z tobą dzieje? – Kevina aż zatchnęło.

– Nic się nie stało. Może je pani sobie zatrzymać, nie ma sprawy – powiedział Mitchell, cofając się na bezpieczną odległość.

– Tak mi przykro, Mitchell. Mama jest dziś w niesfornym nastroju.

– Kev! Może byś się do nas przysiadł? Zajęliśmy stół tutaj niedaleko! – zawołał Ben Loos.

– Super – powiedział Mitchell, uszczęśliwiony perspektywą siedzenia obok rzekomego miliardera w osobie swojego ulubionego nauczyciela i niezrażony obecnością rozczochranego demona na wózku.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie – odparł Kevin. – Ale nie chciałbym się narzucać.

– Będzie nam bardzo miło. Zająłem dla nas tamten stół, obok Bandercooków – wskazał Ben Loos. Czyste intencje mojego przemiłego szwagra zaciskały mi pętlę na szyi. Kevin patrzył na mnie, czekając, aż przyłączę się do zaproszenia, a Ben słał w moim kierunku mało subtelne sygnały niewerbalne.

– Oczywiście – zgodziłam się ze zdawkową uprzejmością.

– A więc proszę za mną – zakomenderował Ben.

– Jeśli ona jeszcze raz dotknie mojego dziecka... – wyszeptałam do Kevina.

– Dokonam eutanazji na miejscu. Przysięgam ci, Rebecca, że powstrzymałem się do tej pory wyłącznie z przyczyn sentymentalnych.

– W porządku.

Kevin zastopował wózek Violi w bezpiecznej odległości i zajął miejsce obok Mitchella.

– Szczęśliwego Święta Dziękczynienia, Kevinie – powiedziała Madge. Brwi uniosła tak wysoko, że sięgnęły niemal linii włosów. Kevin odwzajemnił pozdrowienie i zapadła niezręczna cisza. Moja mama była zbyt zajęta jedzeniem, żeby prowadzić rozmowę, przez co mój ojciec nie miał się z czym zgadzać i on również zamilkł. Viola najwyraźniej w wyniku zmian otępiennych straciła mowę, za to bulgotała coś niepokojąco. Nawet chłopcy wydawali się skrepowani, przez co byli nadzwyczaj spokojni. Ben próbował zagłuszyć ciszę radosną pogawędką, ale żadne z jego spostrzeżeń na temat panującego chłodu, pory roku czy przyjemności urabiania się po łokcie w dobrej czerwonej glinie nie wzbudziło powszechnego zainteresowania.

Przy stole Bandercooków panowało takie ożywienie, że zaczęłam się zastanawiać, czy ktoś tam nie przemyślił pół litra. Było to całkiem prawdopodobne. Chad Bandercook opowiadał ze swadą jakąś anegdotę, a reszta pękała ze śmiechu, i całe towarzystwo wydawało się wzorem szczęśliwej rodziny, choć byłam pewna, że jeśli historię można uznać za nauczycielkę życia, to skończy się to jakąś awanturą. Zerknęłam przelotnie na Hayesa, a on odwzajemnił spojrzenie, obgryzając w zamyśleniu kurzą nóżkę.

Moja matka zaczęła mówić o tym, jak to kiedyś wyglądały Święta Dziękczynienia.

– Wstawałam przed świtem, żeby włożyć ciasta do pieca. Założę się, Kevinie, że twoja mama robiła tak samo. Prawda, Violu?

Viola oczywiście nie odpowiedziała, ale Kevin wyjaśnił, że jego zdaniem tylko jedzenie świątecznego obiadu na mieście jest decyzją racjonalną, bo nakład sił i środków wymaganych do przygotowania wyrafinowanego i bogatego w skrobię posiłku jest tak wysoki, że naprawdę nie sposób go uzasadnić poziomem osiągniętej przyjemności.

– Człowiekowi się wydaje, że ludzie doceniają jego wysiłek, a wcale tak nie jest – uznał Kevin, wyciskając keczup z butelki na swój talerz.

– Masz całkowitą rację – zgodziła się moja matka.

– Wszyscy mówią o outsourcingu tak, jakby to było jakieś brzydkie słowo,

ale ja nie chciałbym poświęcić własnego wolnego czasu na nadziewanie jakiegoś potwornego, zmutowanego ptaka – ciągnął Kevin.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała Madge, unosząc szklanę słodkiej herbaty.

Kuzyni zaczęli omawiać prawdopodobny wynik starcia pomiędzy Tornado Man i Precipitation Girl. Madge i ja wyraziłyśmy bezgłośnie ubolewanie. Obie miałyśmy poczucie, że ich najnowsza obsesja na punkcie Weather Warriors była tylko kolejnym testem macierzyńskiej wytrzymałości, czymś, co dodatkowo potęgowało nudę rodzinnych obiadów. Tymczasem Kevin się zainteresował. Dorzucił kilka własnych spostrzeżeń, ujawniając znajomość postaci, ich osobistych historii, znanych pięt achillesowych i preferowanych rodzajów broni. Chłopcy byli wniebowzięci. Wykrzykiwali pytania i popukiwali go w ramię, prawie na pewno brudząc mu kaszmirowy sweter sosem do pieczenia, ale jeśli miał coś przeciwko, to się z tym nie zdradził.

– Przypomnij mi, dlaczego nie lubisz tego faceta? – zapytała moja siostra półgłosem. Nie odpowiedziałam. Rzuciłam tylko spojrzenie, które mówiło: „No to patrz na to”.

– Kevin? – zagadnęłam. Sprawiał wrażenie zaskoczonego. Jak dotąd liczba skierowanych przeze mnie do niego wypowiedzi wynosiła bite zero. – Ponieważ mamy Święto Dziękczynienia, zastanawiałam się, czy nie rozważyłbyś ponownie odstąpienia od bojkotu szkolnej zbiórki żywności. O tej porze roku potrzeby są tak wielkie, a my – omiotłam gestem wspaniałości na naszym stole, zastawionym wszystkimi możliwymi rodzajami sałatek majonezowych i galaretkami owocowymi w kolorach tęczy – posiadamy tak dużo.

– Nigdy w życiu – odparł Kevin. – Nie mogę z czystym sumieniem zachęcać moich dzieci, by dzieliły się własnymi zasobami z zupełnie obcymi ludźmi. Jakie niosłoby to ze sobą przesłanie?

– Ale czy ty nie dzielisz się własnymi zasobami, ucząc piątą klasę? – zapytała Madge. – Plotka głosi, że zrezygnowałaś z wynagrodzenia.

– Wiesz, Marjorie, nauczanie nie jest z mojej strony wyrazem dobroczynności. Co do zasady, nie jestem tutaj po to, by komukolwiek pomóc.

Stawiam po prostu tamę całemu temu postępowemu wychowaniu, temu aliansowi oderwanych od życia akademików, którzy sprzysięgli się, żeby wypaczyć charakter Amerykanów.

– Co? – zdumiałyśmy się Madge i ja jednocześnie.

– Spójrzcie na program nauczania – odrzekł Kevin, coraz bardziej się zapalając. – Przedmioty humanistyczne... Ja bym powiedział: „wprowadzenie do bierności”. Literatura, gramatyka, ortografia całkowicie przesiąknięte jednym, starannie opracowanym przesłaniem: zależnością od rządu.

– Ale, Kevin! Zbiórka żywności. Całej klasie zafundowałeś pranie mózgu i to nie jest w porządku. Nawet Mitchell nie zgodził się pomóc.

– Chcę pójść do Pizza Planet! – zawołał Mitchell.

– Pranie mózgu? – Kevin tracił przewagę w dyskusji i wiedział o tym. – Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Przeprowadziłem stosowne rozumowanie i dzieci, za co należą im się wyrazy uznania, natychmiast się ze mną zgodziły. Ale coś ci powiem: dam ci równe szanse. Przyjdź do sali 304 i przedstaw swoje argumenty. Jeśli zdołasz przekonać klasę, zmienię warunki swojej propozycji: pójdziemy na wycieczkę do Pizza Planet, jeśli wszyscy wezmą udział w zbiórce.

Spojrzałam na Madge. Pokiwała energicznie głową: zrób to.

– Dobra – odpowiedziałam.

Wkrótce Meerowie i Loosowie, nawykli do pośpiesznego pochłaniania jedzenia, zagłębiali widelce w kawałki placka, a tymczasem Kevin i Mitchell nadal powoli konsumowali indyka, odkrawając sobie kawałki na jeden kęs i maczając je w keczupie. Ciastko z orzechami pekanowymi stanęło mi w gardle: robili to w niemal idealnie zgodnym rytmie. Aidan podniósł wzrok znad swojego talerzyka. Jadł ciastko bez użycia rąk, a teraz miał kozią bródkę z bitej śmietany. Spełniły się moje najgorsze obawy: Kevin i Mitchell roześmiali się jednocześnie. Rozmowa zamarała. Moi rodzice wymienili spojrzenia. Oczy Violi Holts rozbłysły. Zarechotała gardłowo.

– O co chodzi, mamó? – zapytał Kevin.

– Głupi! – odparła, najwyraźniej zwracając się do Kevina. Jej głos był



szorstki i ochrypły. – Głupi! – powtórzyła.

– Bądź miła – poprosił Kevin, jakby Viola kiedykolwiek była dla kogokolwiek miła.

Viola uniosła żyłasty palec i przesunęła nim powoli po zebranych, wskazując najpierw na Kevina, potem na mnie, a wreszcie zatrzymując go na Mitchellu.

– On... – wychrypiała. Trzęsła się cała z emocji. – On jest twoim...

– Mamo, o co chodzi? – zapytał Kevin, na wpół unosząc się z krzesła. – Co się dzieje?

Chwycałam widelec i wcisnęłam wielki kawał dyniowego placka w otwarte usta Violi.

– Uczniem. To prawda – dokończyłam, uśmiechając się i przybierając śpiewny ton, jakim zwykle się mówi do zdemenciałych staruszków. – Kevin jest nauczycielem Mitchella.

Viola wypluła ciasto na brodę i częściowo przeżuty kawałek spłynął na serwetkę, którą Kevin zawiązał jej na szyi. Opadła na siedzenie, jakby mówienie ją wyczerpało.

– Trzy! – wrzasnął Bill Bandercook, tak mocno uderzając dłońmi w blat, że aż zadrżały talerze. Cały stół Bandercooków z wyjątkiem Rusty'ego rzucił się do tylnych drzwi i wybiegł na parking, wyjąc i pokrzykując.

– O nie, na pewno nie! – krzyknęła Wylie, wybiegając za nimi w swoim kuchennym fartuchu i kucharskiej czapie. – Nie w tym roku!

Chwilę później wróciła i wręczyła Rusty'emu rachunek.

– Bardzo proszę.

– Dziękuję ci za uszanowanie naszych tradycji – powiedział Rusty, wyjmując portfel.

– Zjedz i zwiewaj? Co to za tradycja? Twoja rodzina jest kompletnie popieprzona.

– No a jak myślisz, Wylie, dlaczego nie mam własnych dzieciaków? – spytał Rusty, mrugając do mnie, kiedy płacił.

Kevin nalegał, żeby zapłacić za nas wszystkich, ale Mitchell i ja nie czekaliśmy już na rachunek. Madge, moi rodzice i nawet Ben Loos, który zawsze orientował się ostatni, gapili się na mnie, jakby oczekiwali, że zedrę maskę, którą mylnie brali za moją twarz, i ujawnię swoją prawdziwą obcą naturę. Wybąkałam coś o tym, że mam „mnóstwo do zrobienia”, i popędziłam Mitchella do samochodu.

Wyobraziłam sobie, że bank żywności będzie ponurym miejscem, w którym nikt na nikogo nie patrzy, tylko przemyka pośpiesznie z czapką wciśniętą głęboko na oczy, tuląc do siebie torbę nędznych artykułów spożywczych. I było właśnie tak, tylko gorzej. Przedpotopowe radio grało muzykę folkową z lat sześćdziesiątych, a para posiwiiałych hipisów, chudych i przygarbionych, rozdawała prowiant i uśmiechy. W pierwszym odruchu chciałam poprosić jednego z wolontariuszy o wypowiedź w klasie, ale szybkie spojrzenie na ich obszerne dzinsy i długie siwe warkocze uzmysłowiło mi, że Kevinowi wystarczy minuta, by zetrzeć ich na proch.

Prawdę mówiąc, nie miałam prawa stawiać się za wzór słusznego postępowania. W mniejszym lub większym stopniu stałam się przykładem czegoś zupełnie przeciwnego. Po świątecznym obiedzie planowałam do końca życia nie odbierać telefonów od rodziny, ale nie próbowali się ze mną skontaktować ani nie żądali żadnych wyjaśnień. Nikt nie odzywał się do mnie w sprawie Kevina. Ani w żadnej innej. Spadło na mnie odium wyrzutka i musiałam znaleźć kogoś innego... Kogoś, kto miałby autorytet moralny pozwalający mu wypowiadać się na temat głodu. I musiałam tę osobę znaleźć dzisiaj, zanim resztki współczucia tłące się w sercu Mitchella nie zostaną zduszone karykaturalną wersją Ameryki autorstwa Kevina Holtsa, w której to wizji pozytywny stosunek do życia i etos uczciwej pracy wystarczą, by zastawić stół jedzeniem, a może nawet dorobić się prawdziwego majątku.

Młoda matka pchająca wózek odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Jest pani lekarką? Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby lekarz zaopatrywał się tutaj w jedzenie.

Dwójka jej dzieci ubrana była w bluzy z dinozaurami na piersiach. Obojgu

kapąło z nosa, ale ich twarzyczki przyciągały współczucie jak magnes. Właśnie tego potrzebowałam.

– Nie, nie jestem lekarką. I nie zaopatruję się tutaj w jedzenie. To do szkoły... Szukam kogoś, kto porozmawiałby z piątoklasistami o bankach żywności.

Przygryzła wargi, uświadamiając sobie znaczenie moich słów.

– A więc nie przyszła tu pani po jedzenie?

– Nie, tak jak powiedziałam, to taki rodzaj realizowanego w klasie projektu...

– Realizowanego w klasie projektu. – W jej głosie zabrzmiały sarkastyczne tony. – Mielibyśmy być jak zwierzęta w zoo? Chce nas pani pokazać dzieciom w klasie, żeby mogły się czegoś dowiedzieć o biednych ludziach?

– Nie, nie rozumie pani. Gdyby mogła pani po prostu podzielić się swoimi doświadczeniami...

– Nie, to pani nie rozumie. Chciałyby pani mnie i moje dzieci wystawić na pokaz przed bandą dzieciaków jak jakichś cyrkowców? Bo problemy mojej rodziny mogą być kształcące dla innych? Jak pani śmie.

Widać było, że nie żartuje, więc cofnęłam się o kilka kroków.

– Ja to zrobię – powiedział ktoś za mną. Był młody, wysoki i chudy jak szkielet, ubrany w kurtkę ze skrzydlatą czaszką na plecach. Miał przetłuszczone blond włosy, ale nieźle się targował. – Pięćset dolarów – zażądał.

– Mam pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt i burrito ze stacji benzynowej.

Uściskawszy sobie dłonie, dobiliśmy targu.

– Kiedyś byłem taki jak wy – mówił Cody, odchylając się na krzesło stojącym pod tablicą. Zsunął kaptur kurtki z czaszką, by spojrzeć dzieciom prosto w oczy. – Dostawałem dobre stopnie, odrabiałem pracę domową, cały ten syf. – Cody splunął na podłogę i jedno z trojaczków Eubanksów westchnęło głośno.

„Co jest, kurwa?” – wyartykułował bezgłośnie Kevin, wbijając we mnie zniesmaczone spojrzenie. Stał z założonymi rękami z tyłu klasy i potrząsał głową.

Wzruszyłam ramionami. „Równe szanse” – odpowiedziałam również bezgłośnie. Po czym odwróciłam się w stronę klasy i rzekłam:

– Byłoby bardzo cenne, Cody, gdybyś mógł powiedzieć, jak sobie radzisz. Opowiedz dzieciom o kluczowej roli, jaką bank żywności odgrywa w twoim życiu, i o tym, w jaki sposób przekazywane przez uczniów darowizny mogłyby ci pomóc.

– Chcecie mi pomóc?

Dzieci energicznie pokiwały głowami. Były oczarowane Codym, jego krzykliwymi tatuażami (wokół szyi biegł napis „Wojownik”), wulgarnym językiem, zapachem papierosów i pleśni, który unosił się spod jego kurtki z kapturem, powoli wypełniając całą klasę.

– No dobra, pogadajmy serio. W dupie mam wasze śmierdzące puszeki gulaszu.

Co śmielsze dzieci zachichotały na to barwne wyrażenie, reszta klasy zastygła w ławkach i wybałuszyła oczy.

– Jak mam to gówno podgrzać? Przecież nie mam, kurwa, domu.

– Pozwól, że ci przerwę, Cody, i zwrócę uwagę na fakt, że nie wszyscy ludzie potrzebujący wsparcia w zakresie zapewnienia artykułów żywnościowych są bezdomni. Dosłownie dziś w banku żywności spotkałam matkę, która mieszka niedaleko stąd. Pracuje na pełen etat...

Ale dzieci odwróciły ode mnie głowy i na powrót wbiły wzrok w Cody’ego.

– Działam w obrocie gotówkowym, jasne? Jak chcecie pomóc, to dajcie mi forszę. Albo coś, co da się spieniężyć. Biorę złom, drut miedziany, takie sprawy. Ale chcecie usłyszeć moją radę?

– Tak! – krzyknął Mitchell. Kilku jego najbliższych kolegów zachichotało. Spiorunowałam go wzrokiem, ale tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Ale co ja takiego zrobiłem?”. Chodząca niewinność.

– Dajcie sobie spokój z dobroczynnością. Ten świat jest, kurwa, bezlitosny. Uważajcie na siebie, małe sukinsyny.

Z tymi słowami Cody podniósł się z krzesła i nonszalanckim krokiem wyszedł z sali.

– Podziękujemy pani Meer, że przyprowadziła nam dzisiaj tak fascynującego gościa – zachęcił Kevin.

Klasa wybuchła gromkimi brawami.

– A teraz myślę, że pora wyciągnąć ćwiczenia z matematyki.

– Poczekaj, a co z głosowaniem? – zapytałam.

– Mówisz poważnie? – zdziwił się Kevin, zniżając głos. – Chcesz przeprowadzić głosowanie? Ten świr, który zasmrodził mi całą klasę, był najprymitywniejszym wcieleniem stereotypu biedaka, z jakim się kiedykolwiek spotkałem. Gdybyś stworzyła taką postać w beletrystyce, słuszenie by cię wyśmiano. Nikt tutaj nie zmienił zdania.

– Kevin, przeprowadź głosowanie.

– Słuchajcie, dzieciaki. Wiem, że zdecydowaliśmy się nie brać udziału w zbiórce żywności, ale pani Meer sądzi, że być może po spotkaniu z Codym zmieniliście zdanie. I to jest okej. Jeśli więc tak się stało, jeśli chcecie zapewnić ludziom takim jak Cody prochy...

– Posiłek – poprawiłam go.

– ...posiłek – powtórzył za mną Kevin – to zmienię zachętę. Jeśli chcecie, i tylko jeśli chcecie, zabiorę wszystkich do Pizza Planet za udział w zbiórce żywności, a nie za jej bojkotowanie. No więc: kto chce pomóc Cody'emu? Ręce w górę.

Prawie wszystkie ręce wystrzeliły do góry.

– Ha – powiedział Kevin, przyglądając się z zaskoczeniem wszystkim tym drobnym, wymachującym ramionom. – Gratulacje, pani Meer. Piątoklasiści przyłączają się do akcji.

Zabawne, co stres może zrobić z człowiekiem. Powinnam być kompletnie spanikowana, a tymczasem spłynął na mnie głęboki spokój. Siedziałam przy biurku i pogwizdując, robiłam małą instalację ze spinaczy do papieru. Przypominałam himalaistę, który powoli zamarza na śmierć pod wierzchołkiem, lecz nie przestaje przy tym podziwiać gry świateł na odległych, spowitych chmurami szczytach. Z mojego gabinetu wyszła właśnie Nina, unosząc w torbie swój pozytywny test ciążowy. Ktoś musiał to obwieścić doktorowi Thadowi.

– Powinniśmy porozmawiać – stwierdziłam stanowczo, wchodząc bez pukania do jego gabinetu. Siedział przy swoim biurku i patrzył, jak ziarenka piasku opadają powoli na dno ramki, tworząc falisty krajobraz.

– Becky, jestem wyczerpany. Fizycznie i emocjonalnie wyczerpany. Zeszłej nocy Angie i ja przepracowaliśmy całe lata konfliktów. Ona się popłakała, ja się popłakałem. Zeszliśmy się z powrotem.

– To wspaniale, Thad – odezwałam się z nadzieją, że brzmi to naturalnie.

Uniósł gwałtownie brwi.

– Chyba chciałaś powiedzieć „panie doktorze”, Becky?

– Nie, chciałam powiedzieć „Thad”.

– No cóż, nie po to studiowałam dziewięć lat na Harvardzie, żeby być po prostu Thadem.

Obrócił ramkę z piaskiem, tworząc małe tornado kolorowych drobinek, które zmiotło cały wcześniejszy układ.

– Dlaczego nie? Dlaczego jestem jedyną osobą, która nie może ci mówić po imieniu?

– Myślę, że rozważa podpowiada zachowanie pewnego zawodowego dystansu, nie sądzisz?

– W obecności pacjentów, jasne, będę cię nazywać doktorem Thadem, ale teraz, kiedy jesteśmy tylko we dwoje, dlaczego mi nie wolno?

– Myślę, że doskonale wiesz dlaczego – powiedział doktor Thad, wychylając się do przodu z tym poważnym wyrazem twarzy, który przybierał, gdy miał do przekazania złe wiadomości.

– Nie, nie wiem. Mam wrażenie, jakbym była jedyną osobą w Ward, która nie jest z tobą na ty, i szczerze mówiąc, to rani moje uczucia.

– Ach, twoje uczucia – westchnął doktor Thad. – Wiesz, nie prosiłem się o charyzmę. W gruncie rzeczy to przekleństwo. I właśnie twoje uczucia są naszym problemem. Prawdopodobieństwo przekucia w czyn wzajemnego długoletniego pociągu, w twoim przypadku głęboko stłumionego, wzrośnie wykładniczo w chwili, w której pozwolę ci zwracać się do mnie „Thad”. Wyliczyłem prawdopodobieństwo i... Nie, nie, po prostu nie. To dla twojego własnego dobra.

– Myślisz, że mnie pociągasz? Jesteś impulsywny, nieracjonalny i dziecinny. Co najmniej czterdzieści procent czasu pracy poświęcam na sprzątnięcie narobionego przez ciebie bałaganu, który grozi pociągnięciem tej kliniki na dno.

– To prawda – powiedział doktor Thad. – To wszystko prawda. I dlatego muszę cię trzymać na dystans. Ponieważ zasługujesz na kogoś lepszego ode mnie. I ponieważ bez ciebie i bez twojego autorytetu moralnego, jedynie odrobinę upośledzonego twoimi podświadomymi tęsknotami, nie byłbym w ogóle doktorem Thadem. Prawdopodobnie spałbym pod mostem. Sam. Nie rozumiesz, Becky? Nigdy nie miałem się tym zajmować. Nie tak naprawdę. Pod wieloma względami znacznie lepiej czułbym się na planie jakiegoś *Ostrego dyżuru*, gdzie nawet potworne obrażenia nie mogą zgasić ognia namiętności.

– Mylisz się – zaproponowałam. Sama myśl o tym, że doktor Thad mógłby zamienić swój prawdziwy fartuch na serialowy kostium, odebrała mi wolę walki. – Ale jest pan taki narcystyczny, panie doktorze. To dość obrzydliwe.



– Naprawdę? Myślę, że oboje wiemy, co jest rewersem wstrętu.

– No cóż, cieszę się, że doszedł pan do porozumienia z żoną. Może zdobędzie się na wyrozumiałość, kiedy jej pan powie o dziecku.

– Jakim dziecku?

– Tym, które nosi Nina Flyte.

Doktor Thad zachichotał.

– Naprawdę, Becky, nie chciałbym nawet zjeść kolacji z Niną Flyte, o dziecku nie wspominając. Ten cały New Age... Tego się zrobiło po prostu za dużo. Nigdy nie zdołałbym się zakochać w kimś o tak średniowiecznych poglądach. Miałaś co do tego absolutną rację.

– Niemniej jednak za jakieś osiem miesięcy urodzi się nowiutki Sorenson. Nieszczepiona, pojona ziółkami kruszyna z matką wariatką oczekującą nadejścia Ery Wodnika.

– Niemożliwe – zaproponował doktor Thad. – Jestem bezpłodny.

Nieproszona, usiadłam na krześle naprzeciw jego biurka.

– A więc zabieg się nie powiódł.

– Nigdy mu się nie poddałem! Twoje dramatyczne ostrzeżenia zamieszczone w e-mailu i moje wrodzone tchórzostwo szybko wzięły górę nad pociągiem do Niny. Który, dziwnym trafem, okazał się bardzo ulotny.

– Jestem absolutnie świadoma tego, że Nina nie jest kobietą rozumującą logicznie, ale jeśli nigdy nie poddał się pan zabiegowi... Czy ona jest przekonana, że udało jej się odwrócić skutki wazektomii... homeopatycznie? – Zadałam to pytanie zupełnie serio, a tymczasem doktor Thad ryknął śmiechem. Poczułam się jak w stajni, w której wszystkie konie zaczęły parskać i rzeć jednocześnie.

Kiedy wreszcie odzyskał panowanie nad sobą, wyjąkał:

– Waham się, czy ci to wyjaśniać. Obawiam się, że mogłabyś nabrać o mnie gorszego mniemania.

– To niemożliwe, panie doktorze.

– Istnieją trzy filary Towarzystwa Śpiewaczego... Harmonia. Dyskrecja.

Braterstwo.

– Razem z doktorem Richardsem sfingowaliście pana rewazektomię?

– Znasz mnie na wylot. Rozumiemy się bez słów, nieprawdaż?

Wzruszyłam ramionami. Miał rację, ale nie byłam w nastroju.

– Cała ta historia... Powiedzmy, że był to wstydlivy rozdział. Nie jestem z niego dumny. Ale wierz mi, Keith nieźle mi dał popalić. Kazał mi przez pół godziny siedzieć w kąpieli lodowej. Więc mam poczucie, że już to mniej lub bardziej odpokutowałem. Jestem gotów pójść dalej.

– Nadal pozostaje problem Niny przekonanej, że nosi pana płód.

– Nina jest dla mnie zupełnie nieodpowiednia. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zerwiemy znajomość.

– Przypuszczam, że chce pan, żebym jej o tym powiedziała.

– Mogłabyś? – Twarz doktora Thada rozpromieniła się w jego najserdeczniejszym uśmiechu, ale pozostałam nieugięta.

– Absolutnie nie.

Skrzyżował ręce na piersi jak nadąsane dziecko.

– Mój związek z Niną był efektem gafy, którą palnęłaś podczas inseminacji. Gdyby nie twoje nietaktowne komentarze na temat spermy Reyne'a Reynoldsa, nie musiałbym jej pocieszać, co nieuchronnie doprowadziło do nawiązania kontaktów fizycznych. W zasadzie rzuciłaś mnie w jej ramiona, Becky.

– Gdyby przyjął pan radę, którą dałam panu tego ranka na podjeździe...

– Twoją radę? No to porozmawiajmy o twojej radzie. Po tym, jak zaangażowałem się w związek z Niną, pogodziłem się z Angie, do czego zawsze mnie nakłaniałaś, przez co znalazłem się w samym środku niezwykle kłopotliwego trójkąta miłosnego. Myślę, że gdybyś była ze sobą szczerą, dostrzegłabyś, że ponosisz przynajmniej część odpowiedzialności za tę sytuację.

– W ogóle tego nie dostrzegam.

– Niemniej jednak czy moglibyśmy... czy mogłabyś mi zaufać w tej kwestii? Czy nie jest bardziej niż prawdopodobne, że skonfrontowany ze łzami

i okrzykami rozpaczy Niny, uniosę się honorem i jak prawdziwy dżentelmen wznowie nasz romans, odkładając na bok własne upodobania? W jakiej postawi nas to sytuacji? Przemyśl to jeszcze raz, Becky. A teraz zechciej mi wybaczyć. Muszę dopieścić przemówienie, które mi napisałaś. Jest suche jak pieprz. Nie przewidziałaś tam zbyt wielu przerw na oklaski, prawda?

Wstałam z krzesła, nie siląc się na odpowiedź. Przynajmniej znowu pracował. W niedługim czasie klinika na nowo zacznie przynosić zyski. A tymczasem zrobiłam listę ruchomości nadających się do oddania w zastaw, żebyśmy doczekali tej chwili.

Pojechałam do Prescott Inn w Warlock z ekspresem do kawy, trzema krzesłami, laptopem Maryellen i mikrofalówką, grzechoczącymi z tyłu mojej granady. Byłam pewna, że doktor Thad się wścieknie na wieść o ekspresie, więc dorzuciłam go z czystej złośliwości. Zmierzałam do lombardu Barrelhouse w Nee, żeby zdobyć pieniądze na dalsze funkcjonowanie kliniki, ale najpierw chciałam uzyskać potwierdzenie, że to wszystko jest tego warte. Widziałam doktora Thada w tylu kompromitujących sytuacjach, że teraz dla odmiany chciałam zobaczyć, jak robi coś naprawdę dobrze. Był koszmarnym mężem, nędznym partnerem biznesowym, ale kiedy rzetelnie się przyłożył, potrafił być znakomitym lekarzem. Dokonaliśmy wspólnie prawdziwych przełomów, a teraz doktor Thad zamierzał podzielić się nimi ze światem albo przynajmniej z zainteresowanymi przedstawicielami profesji medycznych, uczestniczącymi w środkowozachodniej konferencji na temat płodności.

Prescott Inn na niczym nie oszczędzał. Był i powitalny baner, i zwykłe atrybuty konferencji: stoiska wystawiennicze, sterty darmowych smyczy i długopisów reklamowych, a do tego osoba nieokreślonej płci przebrana za piankową macicę, która stała w drzwiach, machała rękami i zagrzewała zgromadzonych do uczestnictwa w kolejnych wykładach i panelach dyskusyjnych.

W głównej sali balowej Prescott Inn doktor Thad zajął miejsce na podium i odczekał z uśmiechem, aż ucichną rozmowy. Kilka grup entuzjastów zaczęło klaskać i pokrzykiwać. Doktor Thad podziękował im skinieniem

głowy. Był charyzmatycznym prelegentem, swobodnie posługującym się pomocami wizualnymi i sprytnie wplatającym w toku prezentacji efekty i animacje PowerPointa – ludzie wiedzieli, że czeka ich prawdziwa wizualna uczta. Zajął miejsce na tyłach sali i się uśmiechnęłam. Musiałam sobie przypomnieć, że tu chodzi o naukę. W ostatecznym rozrachunku tylko to się liczyło. Na ekranie za głową doktora Thada zamigotały słowa „Innowacje w zakresie przechowywania blastocyst”.

– Wiem, że przybyliście tu dzisiaj, żeby poznać moje innowacje w zakresie przechowywania blastocyst, ale o tym możemy porozmawiać później w kuluarach. Teraz, jeśli pozwolicie, chciałbym poruszyć zupełnie inny temat. Temat, który już wkrótce dotyczyć będzie nas wszystkich i który jest bardzo drogi mojemu sercu. Chciałbym omówić ni mniej, ni więcej, tylko przyszłość Środkowego Zachodu, który przysposobił mnie jak syna. – Doktor Thad kliknął na obraz mapy środkowych obszarów Stanów Zjednoczonych. Pozostawił go przez chwilę na ekranie, a zgromadzeni otworzyli notatniki i usadowili się wygodniej na krzesłach. Wśród wirujących gwiazd, które wywołały kilka oczarowanych westchnień, przeszedł do następnego slajdu – rysunku przedstawiającego płody dojrzewające w kokoniastych inkubatorach. To był kontrowersyjny wybór, ale jeśli ktokolwiek mógł się nim z sukcesem posłużyć, to był to właśnie doktor Thad.

– Eugenika to brudne słowo. Ale czy mógłbym zapytać: dlaczego? Nauka o doskonaleniu człowieka ma niepokojącą historię, a przecież jestem przekonany, moi przyjaciele, że czeka ją świetlana przyszłość. W mojej klinice postawiliśmy sobie za cel podniesienie poziomu inteligencji i uzdolnień przeciętnego mieszkańca obszaru Środkowego Zachodu w ramach agresywnego programu pozyskiwania wysokiej jakości gamet. Nie musimy eksterminować ani sterylizować żyjących wśród nas tępaków.

Doktor Andrea De Mott, zagorzała katoliczka, zaczęło głośno klaskać.

– Dzięki postępom nauki jednostki najgorzej ewolucyjnie przystosowane można skłonić do tego, by powoływały na świat jednostki przystosowane najlepiej. – Gestykulował z przekonaniem, włosy miał coraz bardziej zmierzwiłone i nie dałabym sobie uciąć głowy, czy trochę się nie zaplął.

Wykorzystał dramatyczny efekt wygaszania, by przejść do następnego slajdu przedstawiającego rząd niepokojąco nordyckich postaci w swetrach ozdobionych wzorkiem płatków śniegu. Z ich postawy, rąk opartych na biodrach, zaciśniętych szczęk i rozświetlonych spojrzeń niebieskich oczu można było bezpiecznie wnosić, że są absolutnie zdecydowane zawładnąć światem. (Później sobie uzmysłowiłam, że doktor Thad po prostu skopiował i wielokrotnie wkleił własne zdjęcie).

Obraz zniknął, jakby zdmuchnięty porywem wiatru, a jego miejsce zajęło zbliżenie tłoków w jakiejś fabryce, które najwyraźniej miało przedstawiać postęp.

– Społeczeństwo jako całość wznosi się na wyższy poziom. Wyjątkowy geniusz przestaje być wyjątkowy. Stany Zjednoczone, ze swoim wzdętym brzuchem i kiepsko funkcjonującym podbrzuszem, mogą przynajmniej nieco poprawić swoją kondycję. Ten wspaniały naród zrzuci z siebie kajdany pośledniości i wypełni swoje imperialne przeznaczenie. Nowa kasta Amerykanów przesunie granice państwa na północ i południe, aż wreszcie spełni się sen o zjednoczonym kontynencie.

Ze szczytu ekranu nowy slajd rozwinął się niczym flaga. Całą Amerykę Północną, Środkową i Południową pokrywały gwiazdy i pasy. Pracownicy służby zdrowia zaczęli się kręcić na siedzeniach. Dostali bezpłatnie butelki wody, a na każdym stoliku postawiono kilka miseczek przekąsek, lecz mimo wszystko ich środkowozachodnia uprzejmość została wystawiona na próbę.

– Ten facet... – wyszeptał ktoś przy stoliku obok mnie, a jego koledzy zamruczeli zgodnie. Nikt nie chciał mieszać go z błotem, był miłym gościem, który się starał, jak mógł, ale jego prezentacja była, w środkowozachodnim znaczeniu tego słowa, „interesująca”.

Doktor Thad ciągnął w podobnym tonie, mówiąc zbyt szybko i zbyt głośno, zbyt serdecznie śmiejąc się z własnych dowcipów i generalnie zachowując się jak człowiek, który właśnie wciągnął kreskę koki. Nie użył słów „narodowy socjalizm” ani „Untermensch”, a mimo to jego przemówienie zawierało wystarczająco dużo eugenicznej retoryki, by w Niemczech około roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego nagrodzono je przynajmniej

umiarkowanymi oklaskami.

Opuściłam głowę na kolana i zakryłam uszy dłońmi. Chciałam krzyknąć. Byłam pewna, że doktor Thad postradał zmysły. Ale od jak dawna był skończonym eugenicznym świrem? I jak mogło mi to umknąć? Poświęciłam mu dwanaście lat życia i nie dorobiłam się dosłownie niczego z wyjątkiem poobijanego, śmierdzącego wozu zapchanego przedmiotami, które nadawały się do zastawienia w lombardzie. Czułam się jak ogrodnik Hitlera, który wyjaśniał w oglądanym kiedyś przeze mnie skrajnie niepokojącym dokumencie wyemitowanym w telewizji publicznej, że jasne, zauważył, że Herr Adolf miał pewną skłonność do trucicia o „czystości rasowej”, jak sobie dobrze popił, ale jakoś nigdy nie ułożyło mu się to w całość i nie uprzytomnił sobie, dla kogo sady te wszystkie szarotki alpejskie. Ludzie potrzęsali głowami i dziwowali się ochoczej ślepotce starego człowieka, który nie dostrzegł natury megalomana wypłacającego mu wynagrodzenie. Pomyślałam to samo tego wieczoru, siedząc na kanapie, zajadając popcorn i mamrocząc coś do siebie o banalności zła.

Uniosłam głowę. Z tyłu sali dobiegały podniesione głosy i w pierwszej chwili pomyślałam, że uczestnikom konferencji skończyły się wreszcie chipsy kukurydziane i cierpliwość, a teraz planowali wytarzać doktora Thada w smole i pierzu, po czym wynieść go na drągu z miasta czy jak tam się załatwiało takie sprawy w Warlock. Ale całe to zamieszanie było zbyt nieznaczące, by mogło być początkiem linczu. Z tyłu sali dwie pielęgniarki w średnim wieku próbowały powstrzymać drobną kobietę o myszowatych włosach, którą nie od razu rozpoznałam. Była bardzo zdenerwowana. Kopiąc wściekle, wyrwała się pielęgniarkom i wyprysnęła do głównego przejścia.

– Jesteś kłamcą! – krzyknęła, heroicznym podejściem podejmując polemikę ze wszystkimi lub przynajmniej z częścią przedstawionych podczas wykładu tez, podczas gdy reszta z nas tylko siedziała, zajadała chipsy kukurydziane i czuła się niezręcznie. – Dość już tych kłamstw!

– Can? – zapytałam.

– Mam na imię Jan! – wrzasnęła nasza recepcjonistka, zanim ochrona Prescott Inn przewróciła ją na wykładzinę sali balowej.

Od testu Cleaver dzieliło nas zaledwie kilka dni. Pliki testów i kart do zapisywania wyników dotarły już drogą lądową od teksańskiego wydawcy, przywiezione przez kierowcę ciężarówki jeżdżącego na dalekich trasach, który opuścił sobie szyby, żeby nie zasnąć, i sikał do papierowych kubków, żeby zrobić dobry czas. Calvin i Rusty wypakowywali pakiety sprawdzianów i przenosili je w bezpieczne miejsce na terenie szkolnego kampusu. Sama świadomość tego, że broszurki, których bohaterami było całe mnóstwo dzieci rozmaitej narodowości organizujących sąsiedzkie zbiórki surowców wtórnych („Jeśli Władimir przekaze cztery butelki wielokrotnego użytku, a Xanti dwa razy więcej niż Lok...”), przyczały się już gdzieś na terenie szkoły, napędzała wszystkim potwornego stracha. Nauczyciele obrzucali spojrzeniem rzędy mało obiecujących uczniów ze świadomością, że stan zaopatrzenia ich lodówki zależy od tego, czy te małe niemyte ręczki zaznaczą właściwy kwadracik. Wszyscy zgadzali się co do tego, że najważniejsze jest niedenerwowanie dzieci.

Nauczyciele przeprowadzili testy próbne, posługując się załączonymi instrukcjami (POWIEDZ: „Dzisiaj odpowiemy na pewne pytania, by sprawdzić, czego się nauczyliście. Niektóre pytania będą dla was trudne”). Na korkowych tablicach pojawiły się kartonowe topory symbolizujące uczniów przedzierających się przez ustalone odgórnie standardy umiejętności wymaganych po ukończeniu szkoły podstawowej. Calvin przechadzał się szkolnymi korytarzami z zachęcającym uśmiechem i policzkami napiętymi jak spandeks.

Raz, kiedy liczyłam puszki do naszego zestawienia, wydawało mi się, że słyszałam dobiegające z gabinetu dyrektora odgłosy tłumionego łkania. Stałam przez chwilę z buraczkami konserwowymi w objęciach, zastanawiając się, czy

nie powinnam do niego zajrzeć, ale uznałam, że lepiej nie. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Niedługo ryzy papieru z pozakreślonymi kratkami będą już w drodze do centrum obliczania wyników w Teksasie, poza naszym wpływem. Wkrótce po tym Calvin będzie mógł zacząć pakować rzeczy do małych kartonowych pudełek.

Maryellen i ja wcisnęliśmy do granady wszystko, czego nie zapakowałam w dniu konferencji na temat płodności. Doktor Thad, w zgodzie ze swoim charakterem lub jego brakiem, nawiązał romans z nieszczęsną recepcjonistką. Teraz wziął „urlop na czas nieokreślony”, żeby rozwiązać swoje problemy. Cała ta historia była tak zajmująca, że nikt w mieście nie gadał o niczym innym.

– Wiesz, gdzie się spotykali? W motelu Fox! – oznajmiła Maryellen. Gapiłam się na wprost przez gigantyczną przednią szybę, trzymając ręce na dziesiątej i drugiej, a Maryellen nachylała się do okna kierowcy, próbując nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. – Usłyszałaś, co przed chwilą powiedziałam, Rebecca? Kojarzysz ten paskudny motelik przy autostradzie I-80? Niedaleko rzeźni? Fox. Zabrał ją tam. Nie do wiary.

– To rzeczywiście niepokojące – odparłam zgodnie z prawdą. Większość miejscowych potraktowała doktora Thada ulgowo, uznając recepcjonistkę za wyrefinowaną kusicielkę, która wykorzystwała wrażliwego starszego człowieka. Tak ludzie to widzieli. Przepychanka przy drzwiach całkowicie wymazała im z pamięci obłąkaną prezentację i teraz widziano w nim już tylko błyskotliwego, przystojnego lekarza usidlonego i upokorzonego przez kogoś o poślednim wyglądzie i marnych wynikach matury. Czułam się odrobinę winna, że nie przestrzegłam jej przed skłonnościami doktora Thada, ale Jan tak przemyślnie ukryła swoją chwiejność i dysfunkcyjność za fasadą nijakiej, niewartej zapamiętania powierzchowności, że nigdy nie przyszło mi do głowy umieścić jej w grupie ryzyka. – Powiedział, że jest wyjątkowa. Wiesz, jak to brzmi w uszach dwudziestoczterolatki? – zapytałam.

– Jak prawda – stwierdziła Maryellen. – Biedne dziecko. Uwierzyła, że jest wyjątkowa, a tymczasem my nie zdołałyśmy nawet zapamiętać jej imienia. –



Maryellen głośno wydmuchała nos. Ciężko to przyjęła. Traktowałyśmy tę dziewczynę jak automat do odbierania telefonów. Czy można się było dziwić, że poszła do łóżka z pierwszą osobą, która dostrzegła w niej człowieka?

– Nie rób sobie wyrzutów, Maryellen.

Wycofałam samochód z parkingu kliniki, prawdopodobnie po raz ostatni. Budynek i jego wyposażenie, łącznie z moim ukochanym laboratorium, został wystawiony na sprzedaż.

– Ktoś tu umarł czy jak? – zapytał Ed Barrelhouse junior, zaglądając w osłupieniu do wielkiego bagażnika granady wypakowanego szczątkami mojego życia zawodowego. Ed był potomkiem założycieli Nee i należał do elity tego miasta. Siwe włosy strzygł krótko, po wojskowemu, i nosił błękitny, cienki jak igła krawat. Mimo zimna, którego wydawał się nie odczuwać, ubrany był jedynie we frakową koszulę w czerwone paski z krótkim rękawem. Facet był fenomenem.

– Nikt, z tego, co mi wiadomo. – Trzęsłam się z zimna w zapiętej pod szyję kurtce, a tymczasem Ed zachowywał się tak, jakby nigdy nic. Twarz mu pojaśniała z emocji.

– To obszerny bagażnik – powiedział, zatykając kciuki za kieszenie spodni.

– Taki bagażnik mógłby się nieźle człowiekowi przysłużyć w wielu sytuacjach.

– Mnóstwo miejsca na bagaże – przytaknęłam.

– Ile pani za niego chce?

– Nie jest na sprzedaż.

Uzgodniliśmy cenę trzystu dolarów za zawartość samochodu. Kiedy wypakowaliśmy resztki mojego życia z doktorem Thadem, przekreśliłam kluczyk w stacyjce. Grzanie buchnęło nam w nozdrza makabrycznym smrodem z taką siłą, że nawet Ed, który sprawiał wrażenie, jakby obwąchał od środka niejeden poprawczak, cofnął się pośpiesznie o krok.

– Chryste Panie, co to jest? Ma pani zdechłego kota pod maską?

Wzruszyłam ramionami.

– Możliwe.

Ed trącił palcem zawieszki zapachowe – trzy choinki i jedno czerwone jabłuszko z robakiem – zwieszające się ze wstecznego lusterka.

– To nie ułatwia sprawy. Proszę poczekać. Mam coś, co może pani pomóc.

Chwilę później pojawił się z czarną puszką aerozolu.

– Proszę zamknąć oczy i zakryć usta – polecił, a ja posłusznie się zastosowałam. Rozpyłał spray tak długo, że w końcu go zabrakło, a kiedy skończył, samochód cuchnął nieco mniej niż wcześniej.

– Nie jest to ogród różany, ale przynajmniej nie jedzie stąd jak z kostnicy.

– Taki jakby tropikalny zapach – powiedziałam. – Dzięki.

Przejechałam trzy przecznice, rozkoszując się brakiem znajomego fetoru, zanim nowy aromat nie stał się przytłaczający.

– O Boże – westchnęłam, opuszczając szyby tak szybko, jak się dało. – To player pour homme.

Moje ogrzewanie samochodowe roztaczało teraz korzenny męski zapach. Pachniało jak mężczyźni przemieszczający się stadami w obcisłych T-shirtach i zanurzający się w noc z ponurą determinacją, by nie powrócić do swoich przygnębiających mieszkań ani samotnie, ani w towarzystwie sobie podobnych. Pachniało jak orzechy kokosowe. Pachniało jak przydługie uściski, niezręczne spojrzenia i zbyt wyraziste ruchy miednicą w tańcu. To był zapach seksualnej desperacji i teraz właśnie ten zapach buchał przez okna mojego samochodu na ulice Nee, czytelny jak wezwanie do sądu. Niedługo musiałam czekać na odpowiedź. Zatrzymałam się na światłach na skrzyżowaniu Barrelhouse Parkway i Grifter Avenue, kiedy zobaczyłam biegnącego ulicą w moją stronę Hayesa Bandercooka wrzeszczącego moje imię. Moje imię, a do tego „Ratunku!”, co – biorąc pod uwagę, że był Bandercookiem – mogło oznaczać bardzo wiele bardzo różnych rzeczy.

– Potrzebujesz referencji do miejscowego college’u? Czy wszedłeś w jakąś kolizję z prawem? – ośmieliłam się zapytać.

– Chciałbym. – Hayes oparł dłonie na kolanach i dyszał ciężko. – Chodzi o Dużego Johna. Rebecca, jeśli wspólnie spędzone chwile cokolwiek dla

ciebie znaczący... a zdaję sobie sprawę, że być może nie... – nawet w takich opałach Hayes uśmiechnął się z wyższością, jakby chciał dać do zrozumienia, że sam nie wierzy w to, co mówi – wywieź mnie z Nee. To może być kwestia życia i śmierci.

– Dobra, wskakuj.

Hayes potrząsnął głową.

– E-e. Za bardzo się wyróżniasz. Bez obrazy, ale od patrzenia na to auto aż oczy krwawią. Wolałbym wrócić do Ward w bagażniku.

– Wszystko mi jedno – odparłam, pociągając dźwignię bagażnika. Taktownie nie zasugerowałam tej opcji sama, ale zdecydowanie wolałam, żeby nie widziano, jak zajeżdżam swoim wielkim zielonym samochodem w towarzystwie Hayesa Bandercooka pod szkołę Mitchella. To rozwiązanie było pod każdym względem lepsze. Hayes wskoczył do bagażnika, a ja wybiegłam na ulicę i zatrzasnęłam za nim klapę. Światło zmieniło się na zielone i stojąca za nami półciężarówka serwisu klimatyzacji i ogrzewania zaczęła trąbić. Pokazałam im środkowy palec, bo w końcu byliśmy w Nee, po czym odjechaliśmy w kierunku autostrady.

Siedziałam w kolejce samochodów, czekając na Mitchella i zastanawiając się, co zrobić z leżącym w bagażniku Bandercookiem, ale przede mną zrobił się jakiś korek. Jak okiem sięgnąć, warczały SUV-y i minivany z szybami obklejonymi rysunkowymi postaciami członków rodziny. Nie przesuwałam się do przodu. Wycofałam granadę, wjeżdżając na krawężnik, i ruszyłam w stronę bocznego parkingu szkoły, opuszczając kolejkę. Pójdę i sama odbiorę Mitchella, a przy okazji sprawdzę, jak wygląda dotychczasowy bilans zbiórki żywności. Odkąd piąta klasa adoptowała Cody'ego z Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy w charakterze klasowej maskotki, darowizny nieco wzrosły. Osiągnęliśmy solidny wynik, ale potrzebowaliśmy czegoś więcej, żeby wygrać zbiórkę żywności. Potrzebowaliśmy bezprecedensowego altruizmu naszej szkoły podstawowej i myślę, że wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że nie zdołamy go wyzwolić.

Przeszłam przez parking, pozwalając sobie na westchnienie. Wszystko

wydawało się rozpadać na moich oczach, a na zgliszczach nie powstawało nic nowego. Nie miałam pojęcia, czym się mam zająć po zawieszeniu działalności kliniki. Doktor Thad wyjechał do sanatorium w celu „poratowania zdrowia”, zostawiając mi wszystkie bolesne decyzje związane z zamknięciem kliniki, co prawdopodobnie zrobiłby również wówczas, gdyby był na miejscu. Ale to nie o niego się martwiłam. Martwiłam się o Mitchella. Kiepsko ostatnio sypiał. Był spięty i milczący. Rozpierająca go zwykle energia przygasła. Spędzał długie minuty, skrobiąc coś w milczeniu w notesie z troską malującą się na drobnej twarzy. Przeobrażenie było nagłe i bolesne. Nie zeskakiwał już z krzesła, nie biegł w podskokach korytarzem. Jego nieustanna paplanina kompletnie ucichła. Jedliśmy kolacje w milczeniu, a kiedy nie byłam już w stanie znieść ani minuty dłużej tego, że jedynym docierającym do mnie dźwiękiem był odgłos przeżuwania, upuszczałam widelec i składałam mu śmiałe, niejasne obietnice.

– Mitchell, wszystko będzie dobrze. Poradzimy sobie – mówiłam. Kiwał głową, ale był już za duży, żeby w to uwierzyć. Musiałam mu powiedzieć nie tylko, że sobie poradzimy, ale też jak sobie poradzimy, a prawda była taka, że nie miałam pojęcia.

Mała grupka dzieci kręciła się w pobliżu tylnych drzwi do budynku. Nigdzie w polu widzenia nie widziałam żadnego nauczyciela i zastanowiłam się przez moment, czy nie zatrzęsnęły sobie przypadkowo drzwi, zostając na mrozie. I wtedy dostrzegłam chłopca w znajomej pomarańczowej czapce narciarskiej, który wspiął się na drabinę opartą o kontener ze śmieciami i teraz wrzucał do niego jakieś rzeczy.

– Mitchell, co wy robicie? – Scena przypominała odrealnione obrazy impresjonistów: pomarańczowa czapka, brązowy śmietnik, zimowe chmury przewalające się po bezkresnym niebie nad prerią. Mitchell wyglądał na człowieka poważnego, zdecydowanego i niczym prezydent Stanów Zjednoczonych świadomego wywieranego przez siebie wrażenia.

– To, co musimy zrobić, mamó. Wiem, że tego nie rozumiesz. – Trzymał w ręce puszkę wykwintnego drobnego groszku, a teraz wrzucił ją prosto w cuchnącą czeluść śmietnika. Kolejne trzy puszki ze stukotem wylądowały na

dnie. Dzieci pracowały wydajnie niczym robotnicy przy taśmie, podając Mitchellowi na górę kukurydzę w sosie i zupę grzybową, której pozbywał się tak szybko, jak się dało.

– Przestań! – krzyknęłam, chwytając go za kurtkę. – Mitchell, natychmiast złaź z tej drabiny!

Na dźwięk podniesionego głosu osoby dorosłej część dzieci zaczęła odchodzić.

– Loretta. Ethan. Emma T. Nie skończyliśmy – powiedział Mitchell spokojnym, władczym tonem i ku mojemu zdumieniu dzieci podjęły pracę.

Światem w dużej mierze rządzi przypadek. To on decyduje o tym, czy plemnik dotrze do jajeczka, a kiedy do tego dojdzie, określa, które geny wezmą górę, a które ujawnią się jedynie nieznacznie w rysach twarzy albo ukrytej skłonności do niektórych chorób. W tym momencie poczułam jednak, że wszystko zostało ustawione. Ktoś rzucił nieuczciwie obciążoną monetą i Mitchell, moje ukochane dziecko, nie przypominał mnie już bardziej niż pierwszy lepszy nieznajomy spotkany przypadkowo w autobusie.

– Ależ owszem, skończyliście – podkreśliłam, stając między drabiną a dziećmi, ale nie miałam charyzmy mojego syna, która nie była zwykłym urokiem osobistym, lecz czymś tak potężnym, że mogłaby posłużyć do założenia firmy albo zapoczątkowania nowego kultu, więc nikt mnie nie posłuchał. Oczyma duszy zobaczyłam swoje dziecko, już dorosłe, jak truchta po scenie z przyklejonym do policzka mikrofonem, w głośnikach dudni *Tako rzecze Zaratustra*, a tłum inwestorów klaszcze w dłonie. Albo jeszcze gorzej: moje dziecko w lotniczych okularach w jakiejś parnej dziurze Trzeciego Świata, podające kubki zatrutego soku swym owieczkom w przededniu arbitralnie ogłoszonej apokalipsy. Może był tak zły jak cała reszta – jak, powiedzmy, Calvin – a ja dopiero teraz to dostrzegłam?

– Nie możesz zmarnować całego tego jedzenia!

– Przekazanie go do banku żywności jest marnotrawstwem – powiedziała drobna dziewczynka z dwoma ciemnymi warkoczykami. Emma T., o ile dobrze pamiętałam.

– Klasa zagłosowała. Sądziłam, że podjęliście decyzję, że chcecie pomóc

ludziom? – zapytałam.

– Owszem, ale...

– Nikomu to nie pomoże, jeśli będzie leżało na dnie śmietnika.

– Pomaganie ludziom tylko ich krzywdzi – stwierdziła mała dziewczynka.

– To tak jak z ropuchami – poparło ją jedno z trojaczków Eubanks.

– Ropuchy. – Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że incydent z żabami mógł być sprawką Kevina. Być może zaaranżował ropuszą eksplozję jako celową nauzkę z zakresu szkodliwych efektów dobroczynności i współczucia.

– Ludzie muszą być samowystarczalni – powiedział chłopiec – zanim pociągną na dno cały kraj.

– Ale w Ward są małe dzieci, które nie mają co jeść. Nie oczekujecie od małych dzieci samowystarczalności, prawda? A co ze starymi ludźmi? Czy o nich nie powinniśmy się zatroszczyć?

– My po prostu nie chcemy nikogo skrzywdzić – wyznała Emma T.

– Musimy więc postąpić etycznie – powiedział Mitchell. – Nawet jeśli oznacza to, że przepadnie nam wycieczka do Pizza Planet.

– A więc wy wszyscy tutaj kupujecie sobie sami jedzenie? Może rodzice powinni przestać was karmić?

– Mamo, to zupełnie inna sytuacja. A paternalistyczny rząd nie jest niczym przyjacielem – oznajmił Mitchell, wrzucając do śmietnika ciężką puszkę gulaszu. – Przejrzyj wreszcie na oczy!

– Mitchell! – krzyknął Calvin swoim najkoszmarniejszym głosem. Na widok dyrektora wszystkie dzieci, włącznie z Mitchellem, rozpierzchły się i popędziły z powrotem do budynku, z którego obojętni opiekunowie pozwolili im się wymknąć. Zostałam pod drabiną z kilkoma zabłąkanymi puszkami rosołu pod nogami. Musiałam sobie przypomnieć, że istoty ludzkie nie są w stanie eksplodować, bo Calvin wyglądał tak, jakby gotów był dołączyć do szkolnych ropuch, ponosząc śmierć w efekcie samozapłonu. Sprawiał wrażenie, jakby już samo zaczerpnięcie powietrza stanowiło dla niego trudność, ale po chwili wydusił:

– Nigdy więcej go tutaj nie przyprowadzaj, Rebecca.

– Poczekaj! – zawołałam, kopiąc na bok stojące mi na drodze puszki i ruszając za nim.

– O, nie! – wrzasnął Calvin przez ramię, stanowczo opuszczając ręce. – To koniec.

Mitchell poszedł za mną do samochodu z plecakiem przewieszonym przez ramię i paskiem od szelki wlokącym się za nim po brudnym śniegu. Był czerwony ze wstydu. Szyje siedzących w samochodach i czekających pod szkołą rodziców wyciągały się w naszą stronę, a oczy wpatrywały się uporczywie, kiedy wiadomość przekazywano sobie z ust do ust. Wydalony. Mitchell wsunął się na tylne siedzenie i zakrył sobie twarz pudełkiem śniadaniowym. Uruchomiłam samochód, ale nie byłam w stanie nim odjechać. Siedziałam na parkingu, czując wzbierające łzy, kiedy radio zaczęło grać *The Greatest Love of All*, rozgniatając swoim melodyjnym obcasem resztki mojego optymizmu. To był fatalny błąd.

W okno zastukał Kevin Holts. Opuściłam szybę.

– Chciałbym, żebyś mi coś wyjaśniła – powiedział, wtykając głowę do środka i wdzierając się w moją przestrzeń osobistą. Jeśli zauważył, że płakałam, nie skomentował tego. W jego uprzejmym głosie było coś, co wzbudziło moją czujność.

– Co wyjaśniła? – Spojrzałam mu prosto w oczy, nie mrugnawszy nawet powieką, choć po policzkach płynęły mi łzy, a nos mi spuchł i poczerwieniał, jak to się zwykle dzieje.

– Czy mogłabyś wysiąść z samochodu, Rebecca? – poprosił Kevin, dostrzegając chlipiącego dziesięciolatka na tylnym siedzeniu. – Musimy omówić – wysiadłam z granady – to – powiedział Kevin, podtykając mi coś pod brodę. To była zwykła kartka wyrwana z zeszytu, na której ołówkiem wyrysowano jakieś niezrozumiałe schematy blokowe. W tym momencie była to ostatnia rzecz, która mogłaby mnie obchodzić.

– W ogóle nie wiem, co to jest – stwierdziłam, wyjmując mu to z rąk i obrzucając szybkim spojrzeniem.

– No właśnie. O tym właśnie mówię. – Chociaż widywałam Kevina

w rozmaitych sytuacjach, aż do tej chwili nigdy nie widziałam go naprawdę wściekłego i byłam zszokowana tą transformacją. Był wysokim, kasztanowłosym słupem furii. – Trzymasz to do góry nogami.

Obróciłam kartkę i zerknęłam na nią z ukosa, co niespecjalnie pomogło.

– Co to jest?

– To jest taki drobiazg, który określa się mianem biznesplanu. A ten konkretny biznesplan dotyczy sprzedaży żywności w puszkach bezpośrednio osobom bezdomnym zamiast przekazywania ich w ramach akcji charytatywnej.

– O Boże – jęknęłam, pojmując wreszcie. – Mitchell to zrobił?

– Owszem – powiedział Kevin. – Zarobili trzydzieści baksów, zanim Calvin ich zamknął. Bezdomni kupowali ze zniżką, następnie zwracali puszki do sklepu i inkasowali pieniądze, po czym kupowali sobie za to gorzałkę. Wszystko jest tutaj, w planie Mitcha. Naprawdę tego nie widzisz?

Potrząsnęłam głową. Widziałam tylko jakieś przypadkowe szeregi prostokątów i strzałek, które chwiały mi się przed załzawionymi oczami, bo wiedziałam, co Mitchell próbował zrobić. Te trzydzieści baksów miało być dla nas. Chciał zarobić je z myślą o tym nieodległym dniu, kiedy nam już nic nie zostanie. To dlatego ciskał puszki do śmieci – był wściekły i przestraszony. Zdobyłam się na jakiś gest, by skończyć z głodem, ale co tak naprawdę mogłam zrobić? Jak miałabym położyć mu kres? Mitch był przekonany, że nie potrafiłam się zatroszczyć choćby o niego.

– Rozumieją to nawet ludzie pchający wózki z makulaturą i gadający z latarniami – powiedział Kevin.

– Teraz to już raczej bez znaczenia – stwierdziłam, pociągając nosem.

Kevin przeciągnął dłonią po włosach i spiorunował mnie wzrokiem.

– Wyjaśnij mi, jak to możliwe, że ktoś taki jak ty... Ktoś, kto ma ile? Dwadzieścia procent udziałów w biznesie, w którym odwała dziewięćdziesiąt osiem procent roboty?

– Dziesięć procent – sprostowałam. – Ale teraz i tak wypadliśmy z rynku.

– Chryste Panie – syknął Kevin, wrywając mi kartkę z rąk. – Ten facet to przygłup.



Uznałam, że to niedopowiedzenie.

– Wyjaśnij mi, jak ktoś taki jak ty mógł urodzić dziecko takie jak Mitch?

Nie znalazłam odpowiedzi. Wpatrywałam się oniemiała w jego piegowatą, wykrzywioną furią twarz.

– On jest mój, prawda? – Wyglądał tak, jakby już wiedział.

Włożyłam tyle wysiłku, żeby temu zaprzeczyć. Wierzyłam, że najlepiej by było, gdyby nie miał żadnego udziału w życiu Mitchella. Ale tak czy siak, wtrącił się w nasze życie, nawet bez tej wiedzy.

– Tak.

Mimo wygłoszonej tyrady moja odpowiedź chyba nim wstrząsnęła. Nawet usta mu pobladły. Jego świat rozpadał się i przeobrażał, podobnie jak mój prawie jedenaście lat wcześniej.

– Nie miałaś prawa ukrywać go przede mną.

– A skąd miałam wiedzieć, że go chciałeś? Twoje życie – wskazałam palcem na niebo – było na krzywej wznoszącej. A moje... – wycelowałam palec w brudny śnieg na parkingu. Kevin stał, mrugając oczami i najwyraźniej rozważając moje słowa. Byłam ciekawa, czy pamięta tę ostatnią rozmowę równie dobrze jak ja. Miałam świadomość tego, że wszystkie jego przewidywania na mój temat się sprawdziły, mniej lub bardziej.

– Cokolwiek powiedziałem czy nie powiedziałem, on jest moim synem. A ja naprawdę nie miałem pojęcia – wyznał, patrząc smutno na brudny śnieg przy krawężniku. – Trzeba o tym powiedzieć Mitchellowi – dodał. Rozważałam przez moment alternatywy. Wyjazd z miasta w środku nocy. Wrzucenie wstecznego biegu i przejechanie Kevina tak, jak stał. Żadna nie była dobra. – I sam chcę mu o tym powiedzieć. Chyba nie proszę o zbyt wiele.

– W porządku – powiedziałam. – Słyszałeś pewnie, że Calvin właśnie wydalil Mitchella ze szkoły.

– Nie panikuj. – Kevin przewrócił oczami. – Mitchell przechodzi.

– Co to znaczy?

– Wydawało mi się, że kobieta, która z dyrekcją literalnie chodzi do łóżka, będzie lepiej poinformowana... Nieważne. Przechodzi, czyli jest jednym

z uczniów, którzy mogą liczyć na to, że zdadzą ten pieprzony test. Takiego ucznia się nie wydała.

– Kevinie, czy ty mnie w ogóle słuchasz? On już to zrobił. Złapał Mitchella na wyrzucaniu przekazanego na zbiórkę jedzenia... To koniec – skwitowałam, niechcący cytując Calvina.

– Wydalił Mitchella dlatego, że chłopak pryncypialnie zaznaczył swój sprzeciw wobec zbiórki żywności? To bzdura. Nie obroni tego. Ja się nim zajmę, jeśli pozwolisz. Jak pewnie zauważyłaś, jego uczucia w stosunku do ciebie są bardzo ambiwalentne.

Granada zaczęła się trząść. Leżący wciąż w bagażniku Hayes począł kopać i walić, jakby od tego zależało jego życie.

– O Chryste. Przepraszam. – Podeszłam do samochodu i otworzyłam bagażnik. Wyskoczył z niego Hayes Bandercook, z trudem łapiąc oddech i ze zgrozą wytrzeszczając oczy.

– Zostawiłaś mnie tam, żebym zdechł! – wrzasnął.

– Hayes, przepraszam. Po prostu zapomniałam.

– Zapomniałaś? Po prostu zapomniałaś. – Zatoczył wkoło rękoma, jakby próbował odzyskać równowagę i panowanie nad sobą. – Ty i ja... Nigdy więcej! Spędzaj sobie czas w motelu Fox z kimś innym. To koniec! – krzyknął, po czym pobiegł w kierunku siatki ogradzającej szkołę i wdrapał się na nią ze zwinnością człowieka, który często się wspina na ogrodzenia, przy czym zwykle robi to w pośpiechu, ze stróżami prawa depczącymi mu po piętach.

Mitchell przyciskał nos do szyby i chłonał wzrokiem tę scenę, ale miałam nadzieję, że głośno grające radio zagłuszyło pożegnalne słowa Hayesa. Kevin wyglądał tak, jakby ktoś go walnął w ciemną przętą zbrojeniową. Oparł się o samochód i wybałuszył oczy.

– Kiedyś, Rebecca... ale to nie jest odpowiedni moment... będziemy musieli porozmawiać o dokonywanych przez ciebie wyborach.

– Okej.

– Bo coś jest z tobą bardzo nie tak. Zastanawiam się, czy potrafisz się jakoś wytłumaczyć. Cały twój cholerny samochód przesiąknięty jest player pour

homme. Wozisz w bagażniku Bandercooka, prawdziwego, pieprzonego Bandercooka. – Skrzywiłam się. – I niewiele brakowało, żebyś za chwilę miała w nim martwego Bandercooka, sądząc z wygięcia tej rury wydechowej. Więc w pewnym momencie w przyszłości, kiedy już będę pewien, że zdołam utrzymać nerwy na wodzy, porozmawiamy o tym, dlaczego taka jesteś. Bo człowiek nie staje się taki jak ty tak po prostu.. Coś się musiało wydarzyć. Bo jesteś...

    Nie zamierzałam wysłuchiwać tego, co chciał mi powiedzieć.

    – ...matką twojego dziecka – ucięłam. Zamarł w pół słowa, bo niestety prawdziwość tego twierdzenia była w tym momencie bezdyskusyjna.

    – Dobra. Niech będzie – ustąpił, po czym odwrócił się na pięcie i pomaszerował przez parking w stronę budynków szkolnych, starannie składając biznesplan i wkładając go sobie do kieszeni.

Przekazałam pieczę nad nasieniem, jajeczkami i wszystkimi naszymi malutkimi zamrożonymi embrionami doktor Beatrice Roane, która miała zatroszczyć się o nie z przynajmniej równie wysoką świadomością moralnej odpowiedzialności jak my. Ugryzłam się w język, by nie błagać jej o pracę. Z wyrazu zimnego triumfu w jej oczach domyśliłam się, jaką dostałabym odpowiedź.

Nigdy nie czułam się równie zdołowana, więc postanowiłam spędzić większość swojego świeżo odkrytego wolnego czasu na kanapie, pograżając się w rozpacz. Łatwo jest uznać pierwsze życiowe rozczarowania za wyboje na drodze prowadzącej do nieuniknionego sukcesu, ale ja żyłam już wystarczająco długo, by przyjąć do wiadomości, że moja przyszłość może być nieco mniej świetlana niż moja przeszłość. Ku memu zaskoczeniu Madge nie podzielała tego punktu widzenia.

– Nikt by sobie nie poradził z tym psycholem Thadem równie dobrze jak ty. Tylko dzięki tobie to miejsce funkcjonowało przez tyle lat. Wbrew wszelkim przewidywaniom, Becky. A teraz jesteś wolna.

– Ale wolna, żeby co robić konkretnie? – zapytałam, zerkając spod koca, w który się zwinęłam.

– Coś, co nie będzie wymagało wielu kontaktów z ludźmi. Moim zdaniem nigdy nie byłaś odpowiednią osobą do pracy w klinice. Nie mogłabyś po prostu zatrudnić się w jakimś laboratorium?

Upuściłam torebkę pianek, którymi się kompulsywnie zajadałam, i wytrzeszczyłam na nią oczy, podniecona nagłym wzrostem poziomu cukru i raptownym odkryciem. To wcale nie był taki zły pomysł.

– Madge – odezwałam się, popijając resztki gigantycznej pianki łykiem

ciepłego soku pomarańczowego. – Muszę ci coś powiedzieć na temat Mitchella.

– Och, naprawdę? – Madge nachyliła się ku mnie, unosząc brew.

– On nie jest dzieckiem na zamówienie – ciągnęłam, sięgając po jeszcze jedną piankę dla kurażu. – Nie skorzystałam nawet z nasienia dawcy.

– O. Mój. Boże.

Nigdy nie widziałam mojej siostry tak wstrząśniętej.

– Myślałam, że wiesz. Po Świącie Dziękczynienia...

– Od spotkania w kafeterii Wylie's wszyscy nazywali Mitchella „mini-Kevinem”. Ale sądziłam.. Wszyscy sądziliśmy... że to się odbyło za pośrednictwem służby zdrowia.

– Nie – powiedziałam. – Tradycyjna, mała wyrafinowana technicznie metoda.

Zdumiony wyraz jej twarzy zaczynał mnie trochę irytować.

– Ty i Kevin Holts. Ty i Kevin. – Madge z trudem dopuszczała do siebie tę myśl. Oficjalnie nienawidziłam Kevina Holtsa, ale co z tego? Jak to powiedział doktor Thad, wstręt i namiętność to dwie strony tej samej monety. Byłam skomplikowaną kobietą, nie zawsze gotową dostosowywać się do oczekiwań. Powinna spróbować przyzwyczaić się do tej myśli i zatrzymać swoje sądy dla siebie.

– Madge, czy nigdy nie podjęłaś pochopnej decyzji, której nie potrafiłaś później wyjaśnić?

– Nie – odparła Madge, częstując się pianką. – Ale Kevin Holts najwyraźniej tak. Jezu.

Ostatnia nieprzyjemna sprawa, którą musiałam załatwić dla kliniki, rozczapierzała właśnie dziwaczne różowe palce stóp na fioletowej piankowej macie. Nina Flyte prowadziła w tym momencie powitanie słońca dla grupy emerytów. Czekałam w korytarzu, aż klasa zacznie się rozchodzić. Nina podeszła do mnie boso.

– Wiem, dlaczego przyszłaś. – Miała rozbiegane spojrzenie radiosłuchacza

często dzwoniącego do swojej stacji.

– Bardzo poważnie w to wątpię, Nino.

– Chcesz, żebym zerwała kontakty z Thadem. No więc odpowiedź brzmi: „Nie”. Ani dziś, ani jutro, ani w ogóle nigdy. Czaisz?

– Jedną chwileczkę – powiedziałam, zanim zdążyła się odwrócić na pięcie. Uzmysłowiłam sobie, że muszę do niej mówić w jej własnym języku, więc wzięłam głęboki wdech i przygotowałam się do zalania jej emocjami. – Wiesz, co pociesza mnie w te mroczne dni, kiedy wiatr wyje na zewnątrz tak, jakby miał zerwać dach mojego domu i rzucić go na posesję Glassów mieszkających po drugiej stronie ulicy?

– Alkohol? – zapytała Nina. Zastanowiłam się przelotnie, czy będę zmuszona przybrać nową tożsamość miejskiej pijaczki, bo plotka głosiła, i słusznie, że jasne pełne odegrało główną rolę w moim „romansie” z Calvinem.

– Nie. Reyne. Wiem, że niezależnie od tego, jakkolwiek by było źle, to o ile nie odetną prądu, będę mogła włączyć Channel 8 i zobaczyć Reyne’a z ciasno zawiązanym kapturem jego żółtego płaszcza przeciwdeszczowego, wyrzaskującego do kamery informacje na temat prędkości wiatru. Może w łoskocie piorunów nie zrozumie, co mówi, ale zrozumie, co reprezentuje. Etykę zawodową. Odwagę. Trzeba być wyjątkowym człowiekiem, żeby robić to, co robi Reyne. Zawsze, gdy nadchodzi sezon tornad, kładzie na szali jedno i drugie.

– Pewnie tak. Ale dla mnie to już przeszłość. Zostawiłam go. Wyprowadziłam się do mamy... Tylko dopóki Thad i ja nie dogadamy szczegółów naszego nowego życia – powiedziała Nina, nagle rozmarzona, rozkoszując się wizją błogosławieństwa domowego spokoju, którego zapewnienie całkowicie wykraczało poza kompetencje doktora Thada.

– No właśnie w tej sprawie. Doktorowi Thadowi się odmieniło.

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdziła Nina, wskazując na swój brzuch, który w tym momencie nadal był do pozazdrosczenia płaski. – Nie może mnie z tym zostawić.

– Z przyjemnością zarekomenduję ci znakomitego ginekologa położnika. Myślę, że doktor Kreutz z Warlock doskonale poprowadzi twoją ciążę. Pozwoli ci włączyć transową muzykę, poskakać na gumowej piłce i różne takie. Będziesz zachwycona.

– Chodziło mi o to, że nie może mnie zostawić jako ojciec mojego dziecka. Stał się częścią mojego życia na dobre i na złe.

– Nino, to dziecko nie jest jego. Nie może być.

Nina zacisnęła wargi.

– Chyba wiem, kto jest ojcem mojego dziecka, Rebecca.

– A ja myślę, że nie wiesz. Widzisz, doktor Thad nigdy nie przeszedł rewazektomii.

Nina wybałuszyła oczy i odsunęła przepoconą opaskę z czoła.

– Ależ z pewnością tak – odpowiedziała. Zaciekawiałam się, co mu zafundowała w ramach opieki pooperacyjnej, ale uznałam, że lepiej sobie tego nie wyobrażać.

– Nie. To był wyrafinowany podstęp, bo nie chciał cię stracić, ale i nie chciał rezygnować ze swojej bezpłodności. Rozumiesz, on ma charyzmę, jasne. Ale poza tym jest trochę przygłupi. Poważnie.

– Ale przecież nie mógł tego sfignować. A co z lodowymi kąpielami? I utykaniem?

– Mamy tu do czynienia z zawodowcem, sumiennie i z oddaniem praktykującym medycynę i oszustwo. Po kimś takim jak doktor Thad nie powinnaś się spodziewać niczego innego.

Było w istocie tragiczne, jak bezdyskusyjnie górował nad nią człowiek, którego, jak twierdziła, kocha. Równie dobrze mogłaby twierdzić, że kocha fizykę cząstek elementarnych – miała takie same szanse na zrozumienie jednego i drugiego.

– A więc to dziecko Reyne’a? – zapytała Nina. – Jak to możliwe?

Wzruszyłam ramionami.

– Rozmnażanie człowieka to złożony i tajemniczy proces...

Nina wyrzuciła ręce do góry.

– Ale nie pomogły żadne wasze zabiegi.

Wystarczająco wiele wysłuchałam w życiu reklamacji i żądań zwrotu kosztów, by nie wiedzieć, dokąd to zmierza.

– Nigdy się tego nie dowiemy z całą pewnością – powiedziałam, chociaż wydawało się, że Nina ma rację. Pomimo zamięłowania do gorącej wody Reyne w końcu zatriumfował, na własnych warunkach. – Ale najważniejsze pytanie brzmi teraz: jak wygląda twoja relacja z Reyne'em?

Nina westchnęła i zrobiła gest, który wydawał się sugerować, że sytuacja jest zbyt delikatna i złożona, by ująć ją w słowa, co nie było prawdą.

– Nie mam pojęcia, jak moglibyśmy się z powrotem zejść.

Uzmysłowiłam sobie, że Nina bardzo przypomina wysportowaną i elastyczną madame Bovary, a jej perfekcyjnie zrównoważone czakry nie potrafią zaspokoić jej apetytu na chaos i dramat.

– Alternatywnym wyjściem byłoby samotne wychowywanie dziecka.

– Samotna matka? – powiedziała Nina tonem głosu, który ludzie rezerwują zwykle dla określeń w rodzaju „świadek Jehowy” albo „młodociana narkomanka”.

– Nie musimy już nosić wyróżniających nas ubrań ani żyć na obrzeżach miasta – zauważyłam. – To wcale nie jest takie złe.

– Nie jest takie złe? Nie jest takie złe bycie zgorzkniałą, samotną alkoholiczką ze zdziwaczalnym dzieckiem? Uprawianie z litości seksu z dyrektorem szkoły? O nie, nie chcę dla siebie takiego losu.

– No to idź do niego.

– Chyba tak zrobię – zdecydowała Nina, zakręcając nakrętkę wody o smaku kokosowym.

– Czy moglibyśmy porozmawiać o jego imieniu?! – wrzasnął Kevin, starając się przekrzyczeć łoskot zbijanych kręgli. – Bo sędzę, że naprawdę zrobiłaś mu niedźwiedzią przysługę.

– Jest w piątej klasie, Kevinie. Trochę za późno na zmiany.



– Ale Mitchell... To po prostu Michelle z T.

– Tak ma na imię – powiedziałam. – Pogódź się z tym.

W ciągu kilku ostatnich dni pogodziłam się z wieloma rzeczami, więc przemawiałam z pozycji pewnego autorytetu moralnego. Zarówno z wyglądu, jak i z zachowania mój syn był miniaturą Kevina Holtsa, a moja przeogromna miłość do dziecka utrudniała mi nienawidzenie jego ojca tak jak kiedyś. Rozumiałam teraz ekscentryczne poglądy Kevina na wiele spraw, bo mózg Mitchella działał w bardzo podobny sposób. W moim życiu panował mniejszy lub większy chaos i było dla mnie oczywiste jak nigdy wcześniej, że bardzo wiele dobrych cech Mitchella – jego talent do zaprowadzania porządku i tworzenia struktur, jego zrównoważone usposobienie – nie pochodzi ode mnie. Tego sekretu nie dałoby się już dłużej utrzymać. Za rok czy dwa, kiedy Mitchell wszedłby w okres dojrzewania, podobieństwo stałoby się tak uderzające, że nawet przypadkowi przechodnie rozpoznaliby w nich ojca i syna.

Pogodziłam się z tym. Mniej lub bardziej. W każdym razie zaakceptowałam to, że Kevin zdecydował się ujawnić jako ojciec, ale możliwa reakcja Mitchella spędzała mi sen z powiek. Z trudem zasypiałam, wyobrażając sobie, jak będzie wściekły i zraniony. Bałam się, że nigdy mi nie wybaczy. Kevin z pewnością mi nie wybaczył i nie wybaczy, choć odnosił się do mnie z lodowatą uprzejmością, odgrywając swój cichy dramat.

– W porządku. Pogodziłem się. Zmieni sobie imię, jak będzie starszy. Pizza tutaj! – zawołał Kevin. Cała nasza trójka, wraz z większością piątoklasistów, wybrała się do Pizza Planet, by uczcić wygraną szkoły Davisa w okręgowej zbiórce żywności. Nasza wygrana faktycznie poprawiła morale. Dzieci toczyły kule do kręgli z czystą, gwałtowną radością. Może były podekscytowane wyobrażeniem, że mogą zmienić życie swoich współobywateli? A może po prostu szczęśliwe, że przynajmniej raz utarły nosa tym zarozumiałym snobom z Windlowa, mającym więcej szczęścia rówieśnikom, którzy uznawali za przysługujący im z urodzenia przywilej wszelkie zaszczyty i nagrody, jakimi świat chciał ich obsypać? Tak czy siak, piszczeły z zachwyty za każdym razem, kiedy któremuś udawało się strącić kręgle w zagłębienie na końcu toru. – No

to proszę – powiedział Kevin i uśmiechnął się szeroko, rozdając kawałki pizzy swoim byłym uczniom. Sam zjadł tylko małą miseczkę nieprzyprawionej sałaty. Starał się przekonać dzieci, żeby poszły za jego przykładem, ale ku mojemu zadowoleniu nawet jego zdolności perswazji okazały się mieć swoje granice. Wszystkie dzieci wybrały parujące kawałki ociekających tłuszczem węglowodanów. Spojrzał na mnie, kiedy były zajęte jedzeniem. – Myślę, że już pora.

– No to dawaj – zgodziłam się, odsuwając swój kawałek. Za bardzo się denerwowałam, żeby go zjeść. Kevin przywołał Mitchella do naszego stolika.

– Siadaj – rozkazał, po czym odchrząknął. – Mitch, wiem, że mama ci powiedziała, że twoim ojcem jest anonimowy nieznajomy, któremu nie udało się odnieść sukcesu na seksualnym rynku. I wiem, jak musiałeś się z tym czuć. Jak odmieniec, co? Jak totalny nieudacznik?

Mitchell skinął głową.

– Widzisz, problem z pracą twojej mamy... była pracą... polega na tym, że pozwala nieudacznikom się mnożyć – ciągnął Kevin.

– Zawsze się mnożyli – wtrąciłam.

– Nie teraz, Rebecca – uciął Kevin. – To nie jest dobry moment na tę dyskusję. W każdym razie, Mitch, stary, mam dobrą wiadomość. Może twoja mama nie dostałaby piątki za szczerść ani odpowiedzialne wykorzystanie środków antykoncepcyjnych, ale chcę, żebyś jej to wybaczył. Bo jest twoją mamą i cię kocha. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Oczy weszły mi łzami. W tych okolicznościach to była z jego strony niewiarygodna wspaniałomyślność.

– Okej – powiedział Mitchell z ustami pełnymi ciasta.

– Wiem, że jesteś wściekły jak diabli. Ja też jestem wściekły jak diabli. Ale musimy jej wybaczyć, bo pomimo wszystkich swoich wad jedną rzecz zrobiła dobrze. Wiesz, o czym mówię? Domyślasz się?

– Nie.

– Mitch, jestem twoim ojcem.

– Poważnie?

– Poważnie.

Ledwie mogłam na niego spojrzeć, ale zmusiłam się, ocierając łzy cienką serwetką Pizza Planet. Mitchell był wniebowzięty.

– To... mam mówić do ciebie „tato”?

– Koniecznie – zdecydował Kevin. – I chcę, żebyś wiedział, że nie mógłbym sobie wyobrazić dziecka, z którego byłbym bardziej dumny.

– Dzięki... tato – wyrzucił Mitchell, rozpromieniając się. – Czy w takim razie... zamieszkaż z nami w naszym domu?

– No nie. Widzisz, Mitchell, nie wierzę w monogamię. To kompletna bzdura. Nawet nie zaczynajmy tego tematu. Ale sam fakt, że nie zamierzam wchodzić w wyłączną relację seksualną z twoją mamą, nie jest żadnym powodem, dla którego nie mógłbym być dobrym ojcem dla ciebie, prawda?

– Chyba nie – powiedział Mitchell. Kevin zmierzwił mu włosy, które w pewnym oświetleniu miały zdecydowanie kasztanowy połysk.

– Proszę, otwórz swój prezent – zachęcił Kevin i wyciągnął spod stołu wielkie pudło. Mitchell zerwał papier i krzyknął. To był phantom.

– Skąd wiedziałeś? – zapytałam Kevina.

– Po prostu wiedziałem. Sobie też taki kupiłem, Mitch. Możemy je jutro wypróbować.

– To ja pójde do baru – stwierdziłam. – Złapię was później, chłopaki.

Zamówiłam sobie cały dzbanek piwa, bo Kevin odwoził nas wszystkich do domu swoim porsche i miałam nadzieję, że w nim zwymiotuję, po czym wzięłam napój na patio i usiadłam pod jednym z grzejników. Dzień był niewiarygodnie jak na tę porę roku ciepły i wiosenny, a z sopli wiszących wzdłuż tarasu woda kapiała na parking.

– To chyba nie wszystko dla ciebie, co? – zapytał Calvin. Miał na sobie koszulkę zawodnika ligi gry w kręgle z napisem na kieszonce „Cal”, a na to narzucił rozpiętą kurtkę. Kevin bez rozgłosu zrezygnował ze stanowiska i Calvin zastąpił go młodą, idealistyczną absolwentką o imieniu Kylie Hywhistle, która jego zdaniem nie miała szans przetrwać nawet kwartału.

– Czestuj się – powiedziałam, napełniając mu szklankę sikaczem z kręgielni.

Usiadł na krześle obok mnie, sprawiając wrażenie zaskoczonego zaproszeniem.

– Tylko dlatego, że jestem w nastroju do świętowania. Właśnie podpisałem intratną umowę o pracę. Z końcem roku szkolnego obejmuję stanowisko menedżera wprowadzania danych w Ames.

– Wspaniale, Calvinie. – Stuknęliśmy się szklankami. Mówiłam szczerze. Szkoła Davisa nie osiągnęła spodziewanych wyników, ale nie uzyskała ich żadna ze szkół podstawowych. Po pewnych przetarasowaniach i kularowych ustaleniach stanowy resort edukacji postanowił „wprowadzić stopniowo” nowy standard oceniania, co oznaczało, że w tym roku Davis przeszedł. Ale Calvin był zbyt inteligentny, żeby uznać to tymczasowe odroczenie za coś więcej, i udał się na zieleńsze pastwiska.

– Przyznaję, że duża w tym zasługa naszej wygranej w zbiórce żywności. Bez tego wiekopomnego zwycięstwa moje CV zalatywałoby już z daleka porażką i desperacją.

Nie odpowiadając, pociągnęłam potężny łyk Bold County.

Kevin w imieniu szkoły podstawowej Davisa osobiście przekazał dziesięć tysięcy puszek do banku żywności. Obawiał się, że ten gest zostanie uznany za przejaw współczucia, kiedy tak naprawdę był to tylko układ, który zawarł z Calvinem. Układ, dzięki któremu Mitchell skończył swoją pięcioletnią karierę w tej szkole. Mimo to nawet pozory szczodrości zraniły Kevina do głębi; był zbyt zażenowany, by osobiście pokazać się na ostatnim spotkaniu wardiańskich Obiektywistów.

Wbrew sobie byłam pod wrażeniem. Kevin zamówił konserwy w jakiejś mało znanej fabryce Obiektywistów, żeby ulżyć swojemu sumieniu gnębionemu tak altruistycznym aktem, choćby był tylko częścią transakcji. We wszystkich dziesięciu tysiącach puszek znajdowała się marchewka konserwowa Johna Galta, co było ze strony Kevina albo przeoczeniem, albo próbą napiętnowania potrzebujących przez obdarzenie ich brzoskwiniową karnacją. Ten wielkoduszny gest zrobił niesamowite wrażenie również na Mitchellu, co przygnębiło Kevina najbardziej.

– Powodzenia, Calvinie – powiedziałam. Woda z sopli cicho kapiała na

chodnik. Zdjęłam szalik. Przenośny ogrzewacz był tak ciepły, że miałam wrażenie, jakby opalał mi skórę. Na stół sfrunął ptaszek, kardynał, niosąc w dziobie frytkę. W milczeniu popijaliśmy piwo. Po drugiej stronie parkingu brodaty mężczyzna w znoszonym płaszczu kopał z irytacją puszkę i mruzczał sam do siebie:

– Kim, do kurwy nędzy, jest John Galt?

Calvin i ja wymieniliśmy gorzkie uśmiechy.

Viola Holts zadławiła się na śmierć kawałkiem wołowiny w hotelu Musk Rose Inn podczas swoich osiemdziesiątych piątych urodzin, purpurowiejąc i padając z hukiem na nakryty koronkowym obrusem i zastawiony porcelaną stół, przewracając sosjerkę z sosem do pieczeni, który zaczął skapywać miarowo na różową pluszową wykładzinę; podejmowane próby przywrócenia jej do życia zawiodły, a wszystko wydarzyło się przy pełnej sali. Ruwesowie będą musieli co najmniej przez pół roku rozdawać kupony rabatowe, żeby zapewnić sobie chociaż połowiczne obłożenie. Kiedy się to wszystko wydarzyło, Kevin odbierał na zewnątrz telefon. Jego wysokie, rudowłose siostry, Rose i Lynn, które zjechały do miasta na jubileusz matki, wybiegły na zaśnieżony taras, gdzie załatwiał właśnie jakieś interesy, i zaczęły na niego krzyczeć. Nie przestawały krzyczeć, kiedy wbiegł do Musk Rose Inn i zobaczył kobietę, która go urodziła, z twarzą w talerzu ziemniaczanego purée i krwistej wołowiny. Oczy wezbrały mu łzami. Planował podzielić się z nią wieściami o Mitchellu, kiedy będzie pałaszowała swój kawałek urodzinowego sernika, ale stracił tę szansę na zawsze. Stojąc nad bezwładnym ciałem matki, chwycił rogalik z koszyka na pieczywo i zaczął go w roztargnieniu skubać, czego nikt nie miał mu za złe. Był w szoku.

– Wyobraź sobie próbę pogryzienia krwistego steku osiemdziesięciopięcioletnią szczęką. Cóż za witalność – powiedział doktor Thad, kiedy wpadłam na niego w supermarkecie. Przez sześć tygodni nie wychodził z pizamy w paski, popijając świeżo wyciskane soki i pogrywając w tenisa pod palmami ekskluzywnego kalifornijskiego sanatorium, a teraz został na powrót wypuszczony na świat. Wymieniłam zdawkowe uprzejmości i zmyłam się pośpiesznie.

Zaparkowałam granadę na parkingu motelu Fox i czekałam, zgodnie z instrukcją, aż wreszcie Duży John uznał za stosowne do mnie dołączyć. Po parkingu krążyło dwóch młodych koleśków w bluzach z kapturami, którzy stanowili zapewne jego osobistą ochronę. Po spatrowaniu terenu obaj jak na komendę sięgnęli po telefony komórkowe. Kilka minut później wyłonił się Duży John, rzucając krągły cień na parking i mrugając w jasnym południowym słońcu jak kret. Wsiadłam z samochodu.

– Są twoje. – Położyłam kluczyki do granady na jego mięsistej dłoni.

– Moja ślicznotka – powiedział Duży John, uśmiechając się z niekłamana radością. Wobec utraty płynności finansowej zmuszony był sprzedać swoją ukochaną Zieloną Smoczycę. – Dobrze się o nią troszczyłaś. Cudownie pachnie – stwierdził, nachylając się do środka przez wielkie okno i wciągając w płuca zapach playera, który wgryzł się w skaj jak rdza w drzwi, a nawet bardziej, bo rdza przynajmniej od czasu do czasu odpadała płatami.

– A więc jesteśmy kwita?

– Jesteśmy kwita – powiedział Duży John i uścisnęliśmy sobie ręce na zgodę. Hayes Bandercook poważnie się u Dużego Johna zadłużył, co zagrażało jego życiu albo przynajmniej całości jego rzepek kolanowych – zdania były tu podzielone. Sprzeczne były również opinie, czy wchodząca w grę suma była długiem za Xanadu, czy stratami nielicencjonowanego kasyna, które Duży John prowadził w piwnicy jego matki. Wolałam nie dopytywać. Zaproponowałam samochód jako wyrównanie zaległych rachunków Hayesa. – Puszczę w eter, że Hayes może się przestać ukrywać – dodał. – I tak wiem, gdzie zamelinował tę swoją chudą dupę. W garażu Rusty’ego. Co za ćwok.

– Znakomicie. Jeśli jednak nie robi ci to różnicy... proszę, nie wspominaj o mnie. Niech myśli, że ten samochód ode mnie odkupiłeś. Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach... I najlepiej, jak tak zostanie.

Duży John się uśmiechnął. Z zębami na wierzchu był jeszcze bardziej przerażający.

– Kurde. Jesteś matką. Nie ma powodu, żebyś spędzała czas z takimi jak on.

– Dobrze powiedziane, Duży Johnie.

Rozstaliśmy się w przyjaźni.

– Mamo, jak ci coś powiem, to obiecasz, że nie powtórzysz tacie? – Mitchell siedział przy kuchennym stole, trzymając przed sobą zeszyt i odrabiając pracę domową. Albo udając.

– Jasne, że obiecuję. – Miałam znakomite osiągnięcia w dziedzinie niemówienia „tacie” o różnych rzeczach i czułam się wręcz lekko urażona, że musiałam Mitchella w tym upewniać.

– Chodzi o to... – Mitchell spuścił wzrok na dłonie, jakby nie wiedząc, jak to ubrać w słowa. – Nie chciałbym go zawieść, ale nie chcę żyć na diecie niskowęglowodanowej – wypalił nagle, po czym się zaczerwienił.

– A kto by chciał? – zapytałam, biorąc go za rękę. – To zwykła, głupia moda, kochanie. Wcześniej były diety niskotłuszczowe. Jeszcze wcześniej poprzednie wersje diety niskowęglowodanowej. Zresztą już widzę, że zaczyna się z niej wycofywać. W przyszłym roku, wspomnisz moje słowa, twój tata będzie się zajadał talerzami makaronu i wrzeszczał ze zgrozą, kiedy ktoś ośmieli się posmarować mu tost masłem. Który wtedy będzie już jadł. Ale to jest w porządku.

Kevin i ja chodziliśmy na spotkania z terapeutką o imieniu Vee, która miała siwe, krótko obcięte włosy, okulary w kocich oprawkach i siedziała z nogą na nogę w fotelu obłożonym w pokrowiec. Dawała nam do wykonania ćwiczenia, dzięki którym mieliśmy się stać „bardziej skutecznymi współrodzicami”. Wiele z nich polegało na wyobrażaniu sobie nas samych rozciągniętych na rozgrzanym piasku odludnej plaży; w trakcie tego ćwiczenia umysłowego zapadałam zwykle w nieplanowaną drzemkę. Kiedy tylko wpadaliśmy na jedną z rozlicznych mielizn niezgodności naszych opinii, mieliśmy zwrócić się ku sobie, przyznać, że jesteśmy zbulwersowani poglądami drugiej strony, po czym wziąć głęboki oczyszczający oddech i powiedzieć: „Ale to jest w porządku”. Byłam wstrząśnięta tym, jak to świetnie działa. Pomijając nasze ukradkowe spotkania wiele lat wcześniej, nigdy nie mieliśmy tak pozytywnej relacji.

Znalazłam pracę w laboratorium, zaledwie kilka kilometrów od ostatniego



przedsięwzięcia Kevina, ohydny budynek ze stali i szkła, który Kevin określał mianem „korporacyjnego”. Mitchell lubił tam chodzić i obracać się na futurystycznym krześle Kevina, nad którym wisiała, ku memu zaskoczeniu i przerażeniu, wypchana głowa Ślicznego Johnny’ego Kwiatuszka, Księcia.

Moja praca w laboratorium wiązała się z obiecującym preparatem, który wydawał się zwiększać koncentrację, hamować nieobliczalne zachowania i seksualną impulsywność oraz generalnie oliwić trybiki umysłów przyjmujących go zwierzątek laboratoryjnych, nie doprowadzając do przegrzewania się ich ślinianek. Od prób klinicznych na ludziach dzieliło nas jeszcze wiele lat pracy, ale pozwalałam sobie na ostrożne optymistyczne przypuszczenie, że pewnego dnia znarkotyzowana ludzkość będzie się zachowywać logicznie i przyzwoicie, a wówczas cała masa problemów społecznych zostanie rozwiązana. Chociaż czasem łapałam się na myśli, że mój syn był wynikiem szeregu fatalnych, nieprzemyślanych decyzji, a te – kiedy akurat nie rujnowały ludzkich życiorysów, karier i cywilizacji – okazywały się najlepsze ze wszystkich.

– A więc chcesz mi powiedzieć, że możemy zamówić pizzę? – zapytał Mitchell i uniósł z nadzieją brwi, kiedy dalej rozkładałam na czynniki pierwsze wszystkie minusy dietetycznych przesądów jego ojca.

– Dzwon – odparłam, czując, że zostałam wystrychnięta na dudka. W takich chwilach uzmysławiałam sobie, że nie był dzieckiem wyłącznie Kevina.

Mitchell objął mnie za szyję i ucałował w policzek, po czym podniósł słuchawkę i zamówił dużą pizzę ze wszystkimi dodatkami na podwójnym cieście.

## Podziękowania

Mój agent, Noah Ballard, okazał się przy tym projekcie prawdziwie twórczym partnerem, za co serdecznie mu dziękuję. Bez niego ta książka byłaby tylko kolejnym lekko odjechanym dokumentem Worda. Jestem nieskończenie wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobił.

Dziękuję mojej redaktorce, Carmen Johnson, za wiarę w tę książkę. Jej wnikliwe poprawki miały ogromne znaczenie. Miałam wielkie szczęście, mogąc pracować z nią i resztą zespołu Little A.

Dziękuję mojemu przyjacielowi i mentorowi, Davidowi Lissowi. Bardzo wiele zawdzięczam jego radom i zachętom. Stwierdzić, że miałam szczęście, poznając go, jest rażącym niedopowiedzeniem.

Na słowa podziękowania zasługują moje utalentowane przyjaciółki: Amy Minkler, fotografka potrafiąca portretować szybko mrugających i niechętnych bohaterów, Veronica Goldbach, za kluczowe rady dotyczące pisania, Keran Chopin, która dzięki cudowi internetu codziennie mnie rozśmieszała, Cristen Peterson, rozstrzygająca, co jest *cool*, a co nie, i Melissa Nobles, troszcząca się o to, by moje dzieci były nakarmione, zabawione i przebywały z dala od mojego pokoju.

Dziękuję mojej rodzinie: moim rodzicom, Joemu i Kathy De Mottom, którym nigdy nie zdołam się odpłacić, przy czym mówię głównie o karach za przetrzymywanie książek w dziecięcej bibliotece; i mojemu bratu, Johnowi De Mottowi. Jesteś moim Ethanem. Chyba że chcesz być Joelem?

Dziękuję moim córkom, które w trakcie pisania tej książki mężnie spędzały niezliczone godziny przed telewizorem. Bez waszego nienasyconego apetytu na świecące ekrany to wszystko byłoby niemożliwe. A teraz już wyjdźcie, proszę.

Dziękuję wreszcie Lance'owi Curtrightowi za więcej, niż kiedykolwiek

zdołam wyrazić – chyba że opanowałamby kilka podstawowych akordów i napisała łzawą rockową balladę.